

O NAPRAWĘ RZECZYPOSPOLITEJ

Pierwsza Księga: ŻYCIE MORALNE

K. W. Kumaniecki, M. Zdziechowski.

Druga Księga: USTRÓJ PAŃSTWOWY

M. Rostworowski, S. Estreicher, K. W. Kumaniecki.

Trzecia Księga: NAUKA I SZKOŁA

M. Rozwadowski, K. Morawski, M. Siedlecki, J. Łoś, R. Dyboski.

Czwarta Księga: ZAGADNIENIA GOSPODARCZE

T. Brzeski, A. Krzyżanowski, W. L. Jaworski, F. Zoll.

KRAKÓW 1922

NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

O NAPRAWĘ RZECZYPOSPOLITEJ

01

O NAPRAWĘ RZECZYPOSPOLITEJ

Pierwsza Księga: ŻYCIE MORALNE
K. W. Kumaniecki, M. Zdziechowski.

Druga Księga: USTRÓJ PAŃSTWOWY
M. Rostworowski, S. Estreicher, K. W. Kumaniecki.

Trzecia Księga: NAUKA I SZKOŁA
M. Rozwadowski, K. Morawski, M. Siedlecki, J. Łoś, R. Dyboski.

Czwarta Księga: ZAGADNIENIA GOSPODARCZE
T. Brzeski, A. Krzyżanowski, W. L. Jaworski, F. Zoll.

KRAKÓW 1922
NAKŁADEM KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

Nie pożyczaj się do domu

5-1006407



Biblioteka
Uniwersytetu Gdańskiego



1100680515

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

D 192/6/09

100,-

W ostatnich dniach lipca 1921, Prezes Polskiej Akademji Umiejętności, prof. Kazimierz Morawski, rzucił myśl napisania zbiorowej książki, poświęconej ważniejszym zagadnieniom współczesnego życia narodowego w Polsce. Wskrzyszona przed trzema laty Polska musiała zaraz w swem zaraniu stoczyć ciężkie wojny i wśród krwawej pożogi budować swoją państwowość, swój ustroj gospodarczy i społeczny. Nie dziw więc, że jest w tem wiele jeszcze dorywczości, niejednolitości i braku wykończenia. Nie mniej cięży nad nią w wielu dziedzinach nieszczęsna spuścizna ery porozbiorowej. Najważniejsze z tych niedomagań wskazać i odważnie, otwarcie nazwać je po imieniu — oto pierwsze zadanie naszej książki. Lecz sama tylko krytyka byłaby czemś połowicznym, akordem może i silnym, może nawet pożytecznym, lecz zabrakłoby dociągnięcia do końca, wskazania dróg, które wiodą do trwałej, jednolitej i zdrowej budowy. I dlatego w naszej książce niema bezradnego załamywania rąk: Dotykamy się różnych niedomagań, lecz poto tylko, by równocześnie otworzyć oczy na sposoby ich usunięcia i obudzić w społeczeństwie zrozumienie, że takie sposoby istnieją.

Oczywista, że nasza książka nie wyczerpuje wszystkich, choćby tylko najważniejszych, zagadnień; porusza tylko niektóre z nich. Sądzymy jednak, że i taka, jaka jest,

nie przejdzie bez pożytku, bo ułatwi orientację także i w tych problemach, których nie dotyka. Jako zbiorowa praca, ma ona zapewne braki, nieodłączne od każdego tego rodzaju przedsięwzięcia. Puszczamy ją jednak w świat w tem przekonaniu, że okaże się pożyteczną, bo roztrząsa objęte jej treścią zagadnienia z jednego tylko stanowiska: serdecznej miłości Ojczyzny. Staraliśmy się ogarnąć poruszone zagadnienia ze stanowiska całości, pragnąc, by w silnej i sprawiedliwej Polsce dojrzewał naród, zdrowy moralnie, światły, gospodarny i obdarzony państwowotwórczym zmysłem.

Redakcja książki spoczywała w rękach prof. Kazimierza Władysława Kumanieckiego.

W Krakowie, w kwietniu 1922 r.

PIERWSZA KSIĘGA

ŻYCIE MORALNE

DR. KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECKI
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

W PRZEŁOMOWEJ CHWILI

Zagadnień, związanych z moralnym odrodzeniem polskiego narodu, nie można rozważać bez związku z temi prądami, które kształtują myśli i poruszają uczucia cywilizowanej części ludzkości. Żyjąc swem odrębnym życiem, ma oczywista nasz naród także swoiste warunki, wpływające na jego moralny rozwój, ale te wpływy wypowiadają się tylko w pewnych odchyleniach czy w szczególnych właściwościach, towarzyszących mu na drodze wspólnego z innemi narodami pochod. Dość wskazać na odmienny charakter stanu duchowego, wywołanego powstaniem listopadowem, a walką z 1863 roku. Jedno i druga zakończyły się przegraną. Jednak po pierwszej klęsce duchowy stan narodu doszedł do tego silnego napięcia, które się wypowiedziało z jednej strony w mesjaniźmie, z drugiej zaś w kazaniach Kajsiewicza i w założeniu zakonu Zmartwychwstańców; po upadku zaś styczniowego powstania nastąpił zwrot w całkiem innym kierunku: szukania dróg wyjścia z ciężkiego położenia, które było twardą rzeczywistością.

Czemu tak? Dłaczego historyczne fakty, podobne do siebie swą tragicznością, oddziaływały inaczej na zbiorowy odruch duchowy społeczeństwa? Po roku 1831 z pewnością nie ostatnią przyczyną był ówczesny stan dusz na świecie, objawiający się w wzmożonym ruchu sekt w łonie kościoła anglikańskiego, zwłaszcza w Ameryce, w saint-simoniźmie, czy w wystąpieniu ks

Lammenais. Na taki grunt padła gorycz, wyniesiona z kraju na emigrację, a te szczególne warunki polskiego bytowania i jego przeżyć wylały się tylko w pewien odrębny sposób. Natomiast w trzydzieści dwa lat później było inaczej. Po okresie romantyzmu i nastrojów religijno-mistycznych nastąpiło odwrócenie się od nich. Objawił się ten zwrot we wszystkich dziedzinach, choć często pod różnemi nazwami: Rzucono się do nauk przyrodniczych, do badań historycznych, a pomagał temu stan zagadnień społecznych i gospodarczych, coraz więcej się zaostrzający, a oparty pod tym względem o teoretyczny system nieprzeciętnej miary, o system Marxa. Świat żył — jednym słowem — pod znakiem pozytywizmu i materializmu. Nastroje, tkwiące swemi korzeniami jeszcze w poprzedniej epoce, stopiły się do reszty na krwawych pobojuwiskach styczniowego powstania, skonały w nadmiarze bólu i klęsk, które na Polskę spadły. To też polskie społeczeństwo znalazło się na jednej drodze z innemi narodami Zachodu. »Srodze zbudzone«, zaczęło się ono rozglądać w otaczającej je rzeczywistości, by móc przetrzymać politycznie i gospodarczo. Co jednak niósł polskim d u s z o m ó w światopogląd materialistyczny? Bo że w takim stanie, jak wówczas przeżywany, do niego się zwróciły i w nim szukały nie tylko wskazówek, lecz często także odpowiedzi na te dręczące pytania, które doprowadziły poprzednie pokolenia do mesjanzmu i mistycyzmu, to rzecz zrozumiała. Cóż więc tam znalazły?

Francuska rewolucja wysunęła na czoło wolność i równość jednostki. Wolność, z pustego hasła stawszy się zasadą systemu liberalnego, doprowadziła zwłaszcza w dziedzinie wolności pracy do zwycięstwa egoizmu, do dyktowania warunków słabszemu kontrahentowi przez silniejszego. Reakcja, podjęta przeciwko temu, odbywała się pod hasłem obrony równości. Droga jednak, prowadząca do zwycięstwa, wiodła poprzez organizacje, te zaś występowały w imieniu zorganizowanych z równymi dla wszystkich, a więc w tym znaczeniu powszechnymi postulatami. Jeżeli zaś jeszcze kiedy mówiono poważniej o wolności, to chyba o jakiejś wolności zbiorowej, wolności stowarzyszeń i zgromadzeń, gdyż wolność jednostki stawała się coraz więcej pustym dźwiękiem, będąc podporządkowana zbiorowości, organizacji. Również i ten proces doprowadził także do przewagi egoizmu,

lecz innego, jak poprzednio, bo do egoizmu klasowego. Z tego zaś punktu widzenia pod wpływem doktryny zdawały się zacierać zróżniczkowania, stworzone niezmiernym rozwojem dziejowym; jakaś uniwersalność wznosić się poczęła ponad narody, mimo to, że one żyły, rozwijały się, czuły i rozumiały swoją odrębność. Cóż więc przypadło w udziale polskiemu narodowi, który wolność jednostki nosił w swej duszy z pełną świadomością, boć ją w swej przeszłości może nieraz aż wypaczył, i który szukał dróg, by znaleźć dla siebie, jako dla narodu, miejsce pod słońcem? Znalazł się on na drodze kierunku, który, używając często wolności jako hasła, pogrzyżył tę wolność w interesie zbiorowości, zorganizowanej na zasadzie równości, a nadto przechodził obok kwestji narodowościowej, podporządkowując ją uniwersalności. Nasuwają się zatem pytania: Czy pochód na tej drodze mógł być konsekwentny i jednolity? Oczywiście, że nie. Idąc po tej linii, można było uczestniczyć w wielkich zdobyczach nauki i techniki i z nich korzystać, można było znaleźć wiele wskazówek i sposobów dla swego zbiorowego bytu, ale nie dało się z duszy wymazać tych nagromadzonych wartości, które tyle razy wtykały miecz do ręki i które stworzyły najwyższe strofy narodowej poezji. A jeżeli tak, to musiał nasz naród przechodzić w tym półwiekowym okresie i chwile dezorientacji i chwile samoludzenia się, staczać wewnętrzną walkę między drogą, wskazywaną mu przez panujące powszechnie prądy, a postępowaniem, płynącym z innych, a drogich idei. Jasną jest rzeczą, że taki stan rzeczy dla moralnego zdrowia nie mógł być pomyślnym. Jest to pierwsze ważne stwierdzenie.

Egoizm klasowy, mimo swej uniwersalności, nie wpływał bynajmniej na uspokojenie walk narodowościowych, lecz przeciwnie nadawał im tylko pewne szczególne zabarwienie. Zwolna problemy narodowościowe, mające często podłoże bardzo skomplikowanej ewolucji kilkuwiekowej, zaczęły również przybierać namiętny charakter, aż wreszcie zrodził się z nich egoizm narodowy. Obok coraz zaciętszej walki klasowej poczęły się rozżarzać coraz bezwzględniejsze waśnie narodowościowe, a tak zwany „święty egoizm narodowy” usprawiedliwiał wszelkie środki działania i dzielił coraz bardziej narody, rozdzierane równocześnie na wewnątrz egoizmem klasowym. Uniwersalność ostatniego

znajdowała często granice w programach pierwszego i nie zdołała powstrzymać wielkiej wojny, której wybuch był raczej zwycięstwem nacjonalizmu, wykazując, że w przecenianiu siły uniwersalności, opartej na walce klas, było dużo złudzeń.

Egoizm klasowy zaogniał w miarę swego rozwoju społeczne stosunki. Walka, coraz bezwzględniejsza, nie przebiegająca w środkach, stawała się coraz zażartszą; dawno już wyszła poza obręb warsztatów i fabryk, wdarła się do parlamentów, z wolna wycisnęła piętno na całym publicznym życiu. Będąc zaś walką o władzę, przyswoiła sobie formułkę, według której można się w publicznym życiu posługiwać nieetycznymi środkami walki, a to jeżeli już nie całkiem swobodnie, to w każdym razie w zakresie, bardzo dalekim od tego, co się nazywa zwyczajnie moralnością. Wreszcie ta walka, jak każda, dzieliła i niosła z sobą posiew nienawiści. To było powszechne zjawisko. Polskie społeczeństwo znalazło się wobec niego znowu w wyjątkowym położeniu. W jednej części ziem polskich, gdzie ta walka toczyła się otwarcie, tak, jak to na Zachodzie bywa, przebieg i skutki chorobliwych objawów były również podobne tu i tam. Ale były i takie polskie kraje, gdzie kierownictwo tej walki nie mogło występować jawnie, a skryte w podziemiach tworzyło bezimienne i tajne władze, pochodzące z własnej nominacji i własne zaoczne wyroki wykonujące. A do tego nierzadko pod formą walki klasowej kryły się pierwiastki inne, narodowe, wyrosłe na porozbiorowej glebie, i powstawało owo pomieszanie pojęć, częsta sprzeczność i niejasność między celem, jaki przyświecał walczącym, a dążeniami tych, którzy tą walką kierowali nie tylko na polskich ziemiach, ale i gdzieindziej. Że w takim położeniu snadnie się zaciera granica między postępowaniem moralnym a niezgodnym z etyką, jest również zrozumiałą rzeczą — i to jest drugie stwierdzenie, które wypada nam uczynić.

Co zaś stanowiło ośrodek tej walki, o co ona narazie bezpośrednio się toczyła? O zdobycie praw. Ongiś wywieszano sztandar walki o prawa jednostki, teraz walczono o prawa pewnych klas. Gdy zaś klasa społeczna zdobyła jakieś prawo dla siebie, to ta zdobycz działała pośrednio także w sferze jednostki, do tej klasy należącej, a działała oczywiście tem skuteczniej, im bezwzględniej a jednostka poddała swą indywidualność,

swoją wolność, wspólnym interesom tej klasy. Ostateczny skutek był ten, że człowiek nauczył się domagać wyłącznie tylko należących mu się, istotnie czy rzekomo, praw, a zapoznawał swe obowiązki. Mówiono mu wciąż: najpierw, że ma prawa, jako człowiek, potem, że ma prawa, jako członek pewnej grupy społecznej. Co się zaś tyczy obowiązków, to uświadamiano mu je tylko w stosunku do pewnej klasy społecznej, i to znowu pod kątem widzenia praw. Działo się zaś to w ten sposób, że korzystanie z praw, zdobytych przez klasę społeczną, uzależniano od bezwzględnego spełnienia względem niej pewnych obowiązków. Przemilczano zaś to, że człowiek ma obowiązki względem całego społeczeństwa, którego jest członkiem, wreszcie, że ciąży na nim także pewne obowiązki, jako na jednostce. Chrześcijaństwo, przywracając niegdyś jednostce jej godność człowieczeństwa, ustalało także z tego człowieczeństwa wynikające obowiązki i żądało ich spełnienia. Tymczasem materialistyczny światopogląd, panujący u zbiegu XIX i XX wieku, tego nie zrobił. W swych ideowych założeniach dążąc do zrobienia jednostki lepszą w swoim rozumieniu, nie zdobył się na własny etyczny system, a żadnego z istniejących przyjąć nie chciał. Obchodził tylko ten ważny problem, gdyż, nie odrzucając religii, jako takiej, uznawał ją za rzecz prywatną, zostawiał jednostce troskę o etykę w postępowaniu. Chrześcijaństwo żąda od człowieka wewnętrznej pracy nad sobą prawie niejako od urodzenia, socjalizm natomiast pozwala mu czekać, aż urzeczywistni się ów przyszły nowy porządek, przez który i człowiek miałby się stać lepszym. Ale czy da się pomyśleć żywotny kierunek, dążący według pewnego jednolitego planu do przetworzenia ustroju społecznego, gospodarczego i politycznego, a w nim jednostki i wzajemnego stosunku jednostek względem siebie, bez również jednolitego systemu etycznego, tworzącego dopiero całość systemu, wykończoną i zamkniętą dla siebie?

No, tak, ale w takich warunkach mógł socjalizm materialistyczny zdążyć do swoich celów w sposób, nie wystarczający do ich osiągnięcia, jednostka jednak mogła mimo to mieć oparcie o ten czy inny z istniejących systemów etycznych. Jak pod tym względem było, jak jest? By na to odpowiedzieć, musimy zdać

sobie sprawę z położenia Kościoła katolickiego, gdyż ten nas z polskiego stanowiska przedewszystkiem interesuje.

Chrystus chciał mieć przedewszystkiem Kościół missyjny. To też świat dla Jego nauki podbili misjonarze, bo takimi byli Apostołowie i ich uczniowie. Dokonali tego dzieła, wypełniając polecenie swego Mistrza: Idźcie i nauczajcie! Tymczasem Kościół przemienił się w organizację na zasadzie stałości, opartej o materialne ufundowanie, i przekształcił się z wolna w biurokratyczny ustrój kościelnych urzędów. To, co było w założeniach jednym z głównych jego zadań, nauczanie i opiekowanie się kwestją społeczną, przybrało także biurokratyczne znamiona. Pierwsze zeszło do rzędu jakiejś części rytuału, drugie zatrzymało się dawno na pewnym stopniu rozwoju, zamieniło się w działalność na małą skalę i nie zdołało dotąd uzyskać szerszego rozmachu, nawet wówczas, gdy jasno patrzący Papież zabrał głos, by tę działalność zreformować, gdyż inny kierunek już ją tymczasem daleko wyprzedził. Nie można też przeczczać tego, że racjonalizm i światopogląd materialistyczny nie pozostały bez wpływu na duchowieństwo. Chcieć koniecznie rozumowo wyjaśnić zagadnienia, których geneza i istota są przed okiem człowieka zakryte, osiąga często wyniki, inne od zamierzonych. Religia — to dziedzina uczucia, to wiara. Historia uczy, że religia szła od zwycięstwa do zwycięstwa nie siłą rozumowania, ale potęgą rozpalonego uczucia. Z tego źródła szła moc, która wiodła ludzkość po lepszych drogach i uczyła ją ofiarności.

Poza pewnym wpływem wspomnianych kierunków szukać należy w tym objawie śladów jeszcze czegoś innego, mianowicie tego stanowiska Kościoła nauczającego, które sprowadza obecnie pewne nieporozumienie między nim a ogółem wyznawców. Kościół nauczający kładzie główny nacisk na stronę dogmatyczną, wyznawcy zaś szukają w nim przedewszystkiem moralnego rządcy dusz w myśl nauki Chrystusowej. Dogmatyczne rozważania są dla masy wyznawców za trudne, przyjmują dogmaty, poprostu w nie wierząc, a dla niewielkiej stosunkowo cząstki przedstawiają one zazwyczaj tylko interes ze stanowiska filozoficznego dowodzenia. Nie znaczy zaś to bynajmniej, byśmy nie mieli zrozumienia dla ważności rozumowego wyjaśnienia zasad religii. Chodzi tylko o to, by nie przeczczać równocześnie

także doniosłości moralnej strony religii, o ile chodzi o szerokie masy wyznawców. Natomiast należy pamiętać o tem, że do inteligentnych umysłów można skutecznie przemawiać tylko w sposób, odpowiadający dzisiejszemu stanowi kultury, a nie zatrzymywać się pod tym względem na pewnym punkcie, zbyt odległym od tego stanu.

W dziedzinie etyki rozluźnił się zwolna węzeł między Kościołem nauczającym a ogółem wyznawców, a właśnie on powinien był być wciąż i bez przerwy jak najściślej. Dzięki niemu powinna była z Kościoła nauczającego płynąć siła ożywiająca i ciągle podnosząca moralne życie wyznawców i tem życiem kierująca. Takie zaś warunki, jak skreślone poprzednio, nie sprzyjają wyrabianiu się tęgich charakterów. Coraz powszechniejszym stawał się typ ludzi, których Wergili pokazał Dante'mu w przedsiönku do piekła. Pewnoby i teraz rzekł o nich z tem samem lekceważeniem: Spójrz i pójdź dalej!

Na taki stan dusz spadła wielka wojna. Materialistyczny socjalizm począł się wydobywać z jej krwawych mętów potężny, groźny, zwycięski. Działał, jak każda wielka idea, wywołując zmiany, ale dalszy rozwój nie poszedł naprzód z siłą, równą pierwszemu rozmachowi, lecz zaczął zdążać ku jakiejś średniej wypadkowej. Okazało się, że brakło mu czynników, by mógł się wznieść na wyżyny potęgi moralnej. Materialnego szczęścia ludziom nie dał, do wypełnienia moralnej pustki nie dorósł. I dlatego w tej chwili, gdy swych szczytów sięgał, zaczęły występować osobliwe objawy, znaczące inne drogi i inne przemiany. Były ich początki już przed wojną, lecz wówczas zamykały się jeszcze w dociekaniach myśli europejskiej. Również w sztuce pojawiły się dążenia ku wejściu w siebie, a przeciw realistycznemu kierunkowi. Warte byłoby może głębszego studjum zbadanie tych przemian, które dają się dostrzec w pismach niektórych pozytywistycznych pisarzy, wpadających czasami (może coprawda tylko podświadomie) w pewne stany nastrojowe, nie zupełnie idące po linii kierunku, któremu hołdowali. Ale dopiero wojna światowa przez nagromadzenie olbrzymiej sumy przeżytych cierpień i nieszczęść i przez rozpętanie deprawacji, na którą się złożyły lat dziesiątki, wywołała szerszy, powszechniejszy odruch. Człowiek zaczął odczuwać potrzebę wej-

ścia w siebie, szukać jakiegoś stałego punktu oparcia w swem wewnętrznym życiu, pragnął znaleźć jakiegoś przewodnika, któryby go wywiódł z pustki moralnej. A ten, nurtujący gdzieś w głębi, proces wydobywa się różnymi drogami. Odnaleźć go można w szerzącym się coraz bardziej spirytyzmie, branym przeważnie bezpośrednio takim, jak się przedstawia, poprostu, bez dociekań w kierunku tej czy innej hipotezy materjalizacji. Wypowiada się wymownie w garnięciu się ludzi do pewnych kierunków, przybyłych z za Oceanu, co wskazuje na to, jak jest przygotowany grunt dla każdego, kto się zbliży z ewangelicznym słowem i z jego wcieleniem w uczynek miłosierdzia, dostosowany do dzisiejszych potrzeb znękaney i szukającej dróg ludzkości. Wyraża się wreszcie w rzucaniu się ludzi do teozofji.

W takim stanie ducha żyje i polskie społeczeństwo. Przeszedłszy przez wszystkie okropności wielkiej wojny, wydobywszy z siebie wielki moralny wysiłek w boju, który zagrażał bezpośrednio co dopiero odzyskanej niepodległości, targane temi wszystkimi przemianami, które cały świat przeżywa, wypowiada podobnie, jak i on, te przeżywane gdzieś w głębi dusz błędzenia za wyjściem na otwartą drogę, wiodącą do szerszego oddechu, do moralnego wytchnienia. Obok tego zaś wracają pewne formy specyficznie polskie; zjawiają się na nowo objawy mesjanistyczne. Nie można również zamykać oczu na to, że w Polsce zaczynają się budzić objawy, przypominające pewien okres z przed czterech wieków. Odzywają się głosy za kościołem narodowym; wszelka pomoc humanitarna znajduje żywe echo. A w takim położeniu spada na Kościół w Polsce wielkie zadanie; musi on sobie zdać z położenia trzeźwo sprawę, wejść w siebie i zdobyć się na świadomy sobie czyn. Sama defensywa nie wystarczy ani Kościołowi, ani społeczeństwu. Walka zaś na dwa fronty, z materjalistycznym światopoglądem i z pewnemi objawami budzącej się przeciwko niemu reakcji — to niełatwe zadanie. Zwycięzcą będzie tylko ten, kto zdoła ująć moralny rząd dusz i poprowadzić społeczeństwo do moralnego odrodzenia. A to odrodzenie staje się z każdym dniem coraz bardziej piekącą sprawą. Jest zaś to sprawa i polska i powszechna zarazem.

Zadanie polega na podjęciu inicjatywy w reorganizacji Ko-

ścioła. Każda bowiem organizacja kościelna jest instrumentem, który służy pewnemu światopoglądowi i pewnemu systemowi etycznemu, tworzącym podstawę religii. Wiadomo zaś, że, o ile jakaś organizacja kościelna zeszytywniała w pewnym momencie, to padała, a gdy idea, wyrażająca się w religii, której instrumentem miała być ta organizacja kościelna, nie posiadała w podobnym momencie żywotnej siły, to wówczas padający kościół grzebał w swych gruzach także i samą religję. Obecnie przejawy, będące reakcją przeciwko materialistycznemu światopoglądowi, wykazują wyraźne dążności po linii chrystyanizmu — dowód jego potężnej siły. A jeżeli jednak ludzie idą mimo czy obok kościoła, to trzeba przyczyn tego szukać nietyle w ludziach, ile w samej organizacji Kościoła. Reorganizacja jego wtedy tylko może swój cel osiągnąć, jeżeli nastąpi odmaterializowanie organizacyjnych podstaw Kościoła nauczającego, a przy rozwiązaniu licznych kongregacji, które dawno już spełniły swoje zadanie, stworzy się nową kongregację, dostosowaną do potrzeb, dążności i pragnień dzisiejszych czasów. Ta kongregacja winna się stać ośrodkiem planowej, systematycznej i ciągłej pracy misjonarskiej. Przez tę pracę musiałby się nawiązać napowrót silny węzeł między Kościołem nauczającym a ogółem wyznawców w zakresie życia etycznego. Łączy się z tem zadaniem cały szereg szczegółowych zagadnień, jak konieczność odpowiedniej reformy wychowania duchowieństwa, nauki religii itd. Muszą być one rozwiązane w myśl zasadniczych wytycznych dostawowej reorganizacji Kościoła. Ujęcie przez polski Kościół w swe ręce inicjatywy dałoby mu najświetniejsze karty i w dziejach własnego narodu i w historii świata. Niewiadomo, czy nie jest dziś chwila, w której niektóre górne widzenia naszych wielkich wieszczów mogłyby się okazać nietylko marzeniami, nietylko poezją. Jest to z pewnością chwila wielkiej próby dla tych, którzy moralny rząd dusz winni dźwżyć w swych dłoniach. Spóźnienie w takich przełomowych chwilach pociąga za sobą zwykle bardzo głęboko sięgające skutki. Naród, tak jak i świat, ogląda się i szuka przewodnika na drodze moralnego podniesienia i pokrzepienia. Jest to może na razie jeszcze podświadome, ale w ten sposób poczynają się wszystkie potężne prądy. Zdaje się, jakby naprawdę wśród sądu Bożego, który



»się rozgrzmiał ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami«, zbierać się poczynało gdzieś w głębi dusz pragnienie modlitwy, by »świętymi czynami wśród sądu tego zbawić samych siebie. A za pragnieniem modlitwy może pójść pragnienie jej ziszczenia. Jeżeli tego nie wyczuje ten, do kogo to przedewszystkiem należy, to może to tajone w duszach pragnienie w pewnej chwili rozlać się potężnie i szukać dla swego ujścia własnego łożyska. A niewiadomo, czy te pragnienia nie mają szczególnie wielkiej mocy w narodzie, który po przeszło wiekowych udrękach i po cierpieniach wielkiej wojny musiał budować odzyskaną państwowość wśród wyjątkowych warunków i jeszcze wewnątrz nieodbudowanej ojczyzny bronić z mieczem w ręku przed najazdem od zachodu i wschodu. A wszak ten naród wyrobił w sobie — słusznie czy niesłusznie — wiarę w szczególne posłannictwo. Ta zaś wiara od »Wojny Chocimskiej« Potockiego poprzez Woronicza i Brodzińskiego aż do najwyższych natchnień wielkiej poezji i »Ojcie Naszu« Cieszkowskiego wrastała w serca przez cały szereg pokoleń. Słuszna więc sądzić, że takie społeczeństwo, mimo wszystkich jego wad, można łatwiej, niż inne, podnieść na moralne wyżyny, ale również może usprawiedliwionem jest wierzyć, że każde silne wezwanie do wejścia na drogę, wiodącą na te wyżyny, znajdzie w niem potężny odzew. Pójdzie ono za niem, gdy mu przyniesie istotny i skuteczny uczynek miłosierny, da mu dobre słowo duchowego pokrzepienia i wleje w serca wiarę, która swemi uczynkami i przykładem ofiarności będzie żywą wiarą.

W Zakliczynie (pod Krakowem), 14/VIII 1921.

DR. MARJAN ZDZIECHOWSKI
PROFESOR UNIWERSYTETU WILEŃSKIEGO

KOŚCIÓŁ A INTELIGENCJA

Myślą i uczuciem człowiek przekracza sferę, dostępną jego zmysłom, przeczuwa byt wyższy, ponadzmysłowy i szuka z nim związku. Wyrazem tego jest religia. W kim zmysłu religijnego niema, ten jest kaleką. Religia tworzy najgłębszą podstawę każdego zdrowego społeczeństwa. Słusznie powiedział gdzieś Wojciech Dzieduszycki, że tylko religia ma moc wyłaniania z siebie owych siłaczy, zdolnych wydobywać narody i społeczeństwa z upadku.

Ogromna większość narodu polskiego wyznaje religię katolicką, należy do powszechnego katolickiego Kościoła. Kościół ten stanowi potężną, jednolitą organizację, opartą na zasadzie hierarchiczności, stąd kwestja stanowiska Kościoła w społeczeństwie staje się w krajach katolickich kwestją stosunku między hierarchją kościelną a inteligencją świecką. Więc jakim jest stan religijny inteligencji u nas i czy jej uczuciom i potrzebom religijnym odpowiada Kościół nauczający?

Religijność u nas jest naogół powierzchowną; temu chyba nikt nie zaprzeczy; nie sięga ona poza przywiązanie do obrzędów i form, gdy zaś rezonuje, to przybiera charakter, którybym nazwał gospodarskim, co znaczy, że stwierdza potrzebę religii i karności religijnej, pomija zaś najgłębszą treść wiary, jej stronę dogmatyczną, jako *cosa di preti*, sprawę księżowską: Niech tam księża spierają się między sobą o dogmaty, nas to nie obchodzi,

a dogmaty ich dla zrobienia im przyjemności przyjmujemy bez zastrzeżeń... Takie stanowisko, wykluczające myślenie o zagadnieniach, najbliższych obchodzących człowieka, może być dogodnym dla hierarchji, ale czy jest pożądanem? Czy senność religijna inteligencji nie pociąga za sobą takiej samej senności w duchowieństwie i czy nie idzie za tem upadek życia religijnego?

Cały bieg życia dziejów Kościoła szedł w kierunku centralistycznym. Ostatnim centralizmem triumfem było ogłoszenie dogmatu nieomylności. Ale im ściślejszą jest centralizacja, im większą — hipertrofia władzy, tem gnuśniejszą staje się u dołu bierność, przechodząca w inercję. Wprawdzie daje to Kościołowi pozory jednolitości i siły, ale jest to siła, w której brak pierwiastku żywotności.

Konieczność dyscypliny, a zatem i hierarchji w społeczności kościelnej nie ulega wątpieniu. Ale Kościół »nie jest tylko hierarchją, tylko kastą, która się zamknęła w świątyni, otoczywszy siebie anatemami«..., »tchórzliwa jednak prawowierność z jednej strony, z drugiej zaś uczone niedowiarstwo, czyli klerykalizm i neopogанизm podały sobie ręce, aby obniżyć poziom myśli religijnej, aby uśpić świadomość ogromnej wagi zagadnień religijnych, ten głód rzeczy wiecznych, który tak żywym był w wieku i sercu Dantego«... Tak ubolewa pisarz włoski, Tommaso Gallarati-Scotti, ale o ileż bliżej żale jego dotyczyłyby Polski!

Słowa powyższe kreślił on w swoim życiorysie wielkiego pisarza Antoniego Fogazzaro¹, który zarazem był jednym z największych chrześcijan epoki naszej, jednym z tych nielicznych, dla których chrześcijaństwo było nie zagadnieniem, lecz życiem, namiętnością, dramatem codziennym, walką, wysiłkiem; odczuwał je, jako ogień wewnętrzny gryzący, ale i oczyszczający — i w tym ogniu szukał pryncypu, któryby odnowił, odmłodził życie w Kościele. Wprowadzało go to w zatarg z władzami kościelnymi; głośną powieść jego *Il Santo* potępiono i umieszczono na indeksie ku bolesnemu zdziwieniu najświetlejszych członków kolegium kardynalskiego, jak kardynałowie: Agliardi, Capeceletro, Svampa, Matthieu. Pocieszali oni i pokrzepiali autora, podnosząc ten »wzór prawości chrześcijańskiej«, jaki on, z godnością

¹ La Vita di Antonio Fogazzaro (Milano 1920), por. str. 431—435.

poddając się wyrokowi, dał »współczesnemu, nam zarozumiałemu a ślamazarnemu pokoleniu« (Agliardi). »Kardynał — pisał kard. Matthieu — nie może protestować przeciw orzeczeniu Trybunału Rzymskiego, ale wyrok ten nie zniszczył (*supprimer*) i nie mógł zniszczyć ani talentu autora, ani piękna, rozsianego w jego książce, ani szlachetnego natchnienia, które piórem jego kierowało...¹ Osoba Fogazzaro stała się ogniskiem, koło którego skupiał się ruch religijny, ożywiony głębokiem przywiązaniem do Kościoła, wraz z żądzą naprawy w nim tego, co się popsuło.

O naszej płytkości religijnej mówić mogę z osobistego doświadczenia. Zagadnienia religijne pochłaniały mię od dziecka, ale czułem się osamotnionym wśród rówieśników swoich; u jednych religja była wyniesionem z domu przyzwyczajaniem, inni jej wcale nie mieli, albo tracili łatwo i przechodzili do obozu jej wrogów. W ówczesnej atmosferze pozytywizmu byłem spóźnionym epigonem epoki romantycznej i zarazem zwiastunem reakcji przeciwko pozytywizmowi, która przyjść musiała. I przyszła w ostatnich latach wieku zeszłego. Niestety, cechowała ją od początku rozpaczliwa impotencja. Antymaterialistyczna w pozorach, była grubo materialistyczną w treści, niezdolną wznieść się do pojęcia prawdy; gorzej jeszcze, tkwił w niej nieuświadomiony strach przed prawdą, prawda bowiem obowiązuje do czynów, przeciwko którym podnosi bunt zmysłowa natura człowieka. Więc poco myśleć o Bogu, o duszy i jej »przyszłym bycie, skoro bez tego życie jest daleko łatwiejsze; nie myślmy o tem, tem bardziej, że wszystko to jest tak niepewne, nie dające się udowodnić. Słowem, ogarniał tych ludzi strach przed Prawdą z powodu jej nierozwiązalnego związku z Dobrem.

Żywy tego przykład miałem w osobie młodzieńca, ucznia Uniwersytetu Jagiellońskiego, z którym miałem sposobność częstego obcowania. Miał umysł bystry, przytem talent poetycki; pozostawił po sobie zbiorek wierszy, zmarł przedwczesnie. Był odbiciem panującego wówczas nastroju. Pojęcia i wyrazy takie, jak »naga dusza«, »dekadencja«, wprawiały go w nieopisany zapał, a obok tego miał wstręt do filozofji materialistycznej, szukał religji, lecz naigorszej jaka może być, przewrotnej jakiejś, na-

¹ ibd. str. 443—453.

dającej kultowi nagiej duszy i wraz z tem zmysłowości cechy mistycznego uniesienia, otwierającego dostęp do nieba.

Ale działo się to przed laty przeszło dwudziestu. Dziś nawet niema tego; zagadnienia religijne zepchnięte zostały przez zagadnienia i namiętności polityki bieżącej. Przestaliśmy rozumieć, »że kultura, która wielkie i wieczyste problemy pomija, skazaną jest na płytkość i jałowość«..., »bo dociekanie Bóstwa i boskich rzeczy jest zawsze dowodem wzlotu i energii, myśli i uczucia, zaś tój na tem polu wpływem bezkrwistości, znużenia, bezmyśli«. ¹

Kościół ma przeto u nas trudny materiał do obrobienia i trudne zadanie: ma przed sobą albo praktykującą, lecz nie umiejącą myśleć religijnie i senną apatyczność, albo — w razie zaciekawienia i badawczości w rzeczach religji — jakąś specyficznie słowiańską, czy też polską rozwiązłość duchową z instynktownym wstrętem do łączenia religji z wymaganiami moralnemi, które ona stawia i których nie może nie stawiać. Przeciw temu zmaterjalizowaniu serc i dusz, płynącemu czyto z lenistwa i ospałości, czy też z rozwiązłości, Kościół występuje z afirmacją świata ducha, ale i w afirmacji tej daje się również czuć materjalizm, którego podstawą duch panowania, podporą — racjonalizm, uzurpujący sobie wiedzę tam nawet, »gdzie rozum nie sięga«, — wyrazem zaś — biurokratyczny klerykałny autorytaryzm.

Ale pomimo to musimy być i pozostać w chrześcijaństwie, w Kościele. Bo Kościół »jest prawdziwą definicją człowieka, tylko fakt Kościoła odpowiada mu na pytanie: czem jest człowiek we wszechświecie, jak możliwem jest coś takiego, jak życie ludzkie«. ² Kościół to duchowa ojczyzna nasza — i wyjść z niego znaczy spaść na niższy poziom. Najgłębszym systemem religijnym poza chrześcijaństwem jest niezawodnie buddyzm, ale buddyzm postawił jako ideał nirwanę, czyli ucieczkę od świata. Filozofja Platona, która, z misterjów swój początek biorąc, miała też charakter religijny, a stanowi najpiękniejszy wykwit

¹ Słowa prof. Kazimierza Morawskiego w ankiecie »Przegl. Powszechnego«: Dzisiejsze zadania katolicyzmu w Polsce (Kraków, 1906).

² Słowa Stan. Brzozowskiego.

myśli greckiej, była kohtemplacją idealnego świata wzorów. Jedno tylko chrześcijaństwo głosi nie nirwanę i nie kontemplację, lecz czyn, przeobrażający ziemię w Królestwo Boże.

To zaś głosząc, stoi na dwóch dogmatach: upadku czyli śmierci duchowej, jako następstwa wielkiej przeddziejowej, pierwotnej katastrofy, którą teologia grzechem pierwotnym nazywa — i odkupienia, które dało możliwość wyzwolenia ze śmierci ducha, wyzwolonemu zaś obiecuje zwycięstwo nad śmiercią fizyczną, czyli zmartwychwstanie ciała. W zmartwychwstaniu zawarła się essencja chrześcijaństwa, na tem osnuł budowę swoją twórca teologii chrześcijańskiej, Apostoł Paweł — na tym fakcie z własnego życia i doświadczenia, że w drodze do Damaszku padł oślniony i spiorunowany »jasnością, jaśniejszą nad słońce« i że słyszał głos Jezusa. A zatem Chrystus żyje, a zatem dokonał tego, czego nikt przed nim nie dokonał: zwyciężył śmierć. »Jeśliby Chrystus nie powstał z martwych, — woła Apostoł — próżnem byłoby przepowiadanie nasze, prózną wiara nasza«. Ale Chrystus powstał z martwych, więc jest tym, za kogo się podawał: Zbawicielem świata, Synem Bożym, Bogiem i człowiekiem zarazem. Przez niego Bóg wezwał nas do jedności ze sobą: »Jako w ³Adamie wszyscy umierają, tak w Chrystusie wszyscy ożywieni będą«. Bożoczłowieczeństwo staje się celem naszym, celem historii. Ojcowie pierwszego nicejskiego Soboru wyrazili to dogmatycznie, ogłaszając konsubstancjonalność Ojca z Synem. Czyli: boskość, która się nam objawiła w osobie Jezusa Chrystusa, która nam dostępną jest i uczestniczyć w niej możemy, jest boskością rzeczywistą i doskonałą, więc jeśli rzeczywiście chcemy »przebóstwienia siebie«, jak się wyrażał Włodzimierz Sołowiew, to możemy to osiągnąć »nie częściowo i w przybliżeniu, lecz całkowicie, absolutnie«.

Bożoczłowieczeństwo, jako cel bytu, zmartwychwstanie, triumf życia, wiekuisty żywot w Bogu — wszystko to powinno być odczute jako pierwiastek natchnienia, mocy, rozpędu czynu; żadna religja nie roztoczyła przed człowiekiem tak wspaniałych widnokręgów. Zaprawdę chrześcijaństwo jest religją, niosącą zbawienie; jako zbawienie jest Prawdą... Lecz co się stało? W teologii wzięła górę dążność do ścisłości logicznej — i wynikający stąd dogmatyzm racjonalistyczny stłumił, zamroził

pierwiastki uczuciowe. Nie chciałbym, ażeby to, co mówię, brano za objaw niechęci jakiejś czy uprzedzenia względem władz kościelnych — i dlatego rad jestem, że mogę tu znowu powołać się na Sołowiewa i zastąpić siebie powagą wielkiego myśliciela, który całą duszą czuł się oddanym synem powszechnego katolickiego Kościoła: »Wskutek nieprawego skojarzenia — brzmia jego słowa — idei zbawienia z dogmatyzmem kościelnym powstała potworna nauka, że jedyną drogą do zbawienia jest wiara w dogmaty, że bez tego zbawić siebie niema możności«..., »więc przeto dla dzieci nieochrzczonych poczęto wymyślać jakieś *limbes*«, co zaś do heretyków, »to, jak wiadomo, przyzwyczajano ich zawczasu do wiecznego ognia piekielnego, smaląc na doczesnych ogniach inkwizycji«. — W tak zwanej »świętej« inkwizycji mamy skondensowany wyraz wszystkiego złego w Kościele, w niej się uosobił »szatański pryncyp gwałtu w rzeczach wiary«, ona szańbiła Hiszpanję, i dlatego, gdy wybuchnęła wojna Hiszpanji z Ameryką, dla Sołowiewa było rzeczą jasną, że choć dusza Hiszpanji odrodzić się może, ale, jako potęga polityczna, Hiszpanja musi zginąć, ażeby odkupić zbrodnię, którą popełniała w ciągu trzech stuleci, uparcie zatruwając same źródła żywej wody w Chrześcijaństwie«... »Wrodzony instynkt moralny przejmuje każdego wstrętem do zwykłego kata, który pozbawia zbrodniarza jego prawa do życia cielesnego, ale o ileż obrzydliwszem jest katostwo religijne, odbierające ludziom niewinnym ich święte prawa do życia duchowego«.

I patrząc na to straszne zło, jakim są w Kościele te uczucia wszystkie, które były gruntem, na którym wyrosła inkwizycja, musimy wyznać, że dzieje Kościoła, dzieje Chrześcijaństwa, dzieje narodów i państw chrześcijańskich stanowią jedno olbrzymie, straszne *fiasco*.

»Od chwili wyjścia z katakumb — pisałem w roku 1906 w odpowiedzi na ankietę Przeglądu Powszechnego — Chrześcijanie, nienawidząc i tępiąc się wzajemnie, zgodni byli w jednym tylko — w usiłowaniu nagięcia Ewangelji do swoich nie ewangelicznych, lecz samolubnych celów, czyli oparcia prawa mocniejszego na podstawach religji. Podnosili głos przeciw temu wielcy Papieże i wielcy Święci, powstawali również ludzie wyżsi poza Kościołem, ale daremnie. Nieprawość i złość natury

ludzkiej silniejsze były nad bohaterskie porywy wybrańców. Słowem, narody rasy białej »nie umiały spełnić zobowiązania stworzenia chrześcijańskiego porządku rzeczy, które wzięły na siebie, przyjmując chrześcijaństwo«. Więć musiała przyjść kara i oto »nadszedł czas likwidacji«... »Zjawiał się nowy czynnik dziejowy w postaci Japonji, której barki nie były obciążone nieuniesionym przez siły nasze ciężarem wielkiego posłannictwa chrześcijańskiego. Od dział japońskich zachwiała się wewnętrzna budowa państwa rosyjskiego, wybuchnęły nagromadzone tam materiały palne i pożar stamtąd pocznie się szerzyć po Europie. Jesteśmy w przededniu wielkich przewrotów socjalnych, wchodzimy w chwilę, którą w wieszczej intuicji odtworzył niegdyś twórca Nieboskiej Komedji «...

W chwilę tę już weszliśmy. Bezsilni patrzymy na rozpętanie wszystkich ciemnych mocy w duszy człowieka; instynktowo szukamy oparcia w Kościele, ale poza umieszczenie *Il Santo* na indeksie, poza ściganie anatemami wielkiego i szlachetnego pisarza za to tylko, że śmiał zamarzyć o naprawie, o podniesieniu duchowego poziomu Kościoła, władze kościelne pójść nie umiały.

Niema w tem nic dziwnego. Doprowadziwszy bowiem do ostatecznego kresu zasady autokracji i centralizmu, Kościół znalazł się w zaułku bez wyjścia. Iść dalej w obranym kierunku, niema możności. Więć zawrócić? Lecz jak to zrobić, nie łamiąc całej tradycji przeszłości? Centralizm i autokratyzm są w najściślejszym związku z przewagą racjonalistycznej kultury w Kościele. Wyłoniła ona oficjalną scholastyczną teologję, która dumnie ignoruje pierwiastek uczucia w religji, wiarę podaje jako akt rozumu i siłą dowodów rozumowych ujarzmić chce rozum ludzki, dochodzi wkońcu do owego »bezprawia«, jak się wyrażał Włodz. Sołowiew, jakim jest kojarzenie idei zbawienia z dogmatyzmem kościelnym.

Racjonalizm w Kościele, jako afirmacja rozumnej myśli we wszechświecie, do której myśl człowieka własną siłą się wznosi, jest z natury swojej idealistyczny. Ale idealizm ten, będąc wytworem ducha greckiego, oparł się w Chrześcijaństwie na podstawie żydowskiej; grecki *Logos* stał się Jehową, który stworzył świat z niczego; wyodrębniony zaś od świata Bóg jest mo-

narchą. Inaczej go ująć, chcąc go wyobrażeniom naszym uczynić przystępniejszym, nie zdołamy. A nieuniknioną konsekwencją tego — i to tem bardziej na gruncie romanizmu, rzymskiej praktyczności, karności i ładu — jest nasza rzymska koncepcja, którą nam teologowie Wschodu (Chomiakow) zarzucają, przekształcają Kościół w państwo z Papieżem, jako monarchą samowładnym, na czele i z duchowieństwem, jako władzą wykonawczą, despotycznie sprawującą rządy nad społeczeństwem świeckiem, całkowicie pozbawionem wolności myśli i słowa. Koncepcja ta ma swoje piękno, gdy występuje przybrana w szaty greckiej filozofji, roztaczającej między Bogiem a światem doczesnym cudowny świat idei czyli myśli Bożych, które są odwiecznymi wzorami wszystkiego, co jest, a źródło swoje mają w boskim pierwowzorze, w Słowie, które było na początku u Boga i Bogiem było i wszystko przez Nie się stawało, aż samo »stało się Ciałem i mieszkało między nami« w osobie Jezusa Chrystusa... Ale idee Platońskie są dla filozofów, przeciwny zaś katolik pod wpływem wychowania, jakie otrzymał, bierze religję praktycznie, materialistycznie, po żydowsku, tj. że Bóg, stworzywszy świat z niczego, objawił człowiekowi wolę swoją i prawo i prawa tego stróżem wszechwładnym i nieodpowiedzialnym postanowił Papieża. Cała historia teologii jest jedną wielką próbą pogodzenia żydowskiego monoteizmu z wrodzonym każdemu z nas, Aryjczyków, instynktem panteistycznym. Ale zwyciężał zawsze pierwiastek żydowski, zwyciężał siłą prostoty swojej oraz tej pomocy, jaką znajdował w rzymskiej praktyczności; wśród teologów wytwarzał on dążność do traktowania i przedstawiania religji jako rzeczy logicznie tak ścisłej, że prawdy jej równie są jasne i pewne, jak $2 \times 2 = 4$.

Stąd porównywanie teologii z matematyką weszło u apologetyków prawie w nałóg. I naprawdę możnaby zazdrościć tym wyznawcom i nauczycielom matematyki teologicznej. Szczęśliwi są; nakreślają drogi ziemskie i drogi do nieba ze spokojem, z jakim inżynier wytyka linję, po której pójdzie kolej żelazna. Niema w nich polotu, niema poezji wiary, ale jest niezachwiana pewność, a pewność taka potęguje energję do czynu. Tylko, niestety, mówią oni językiem i operują pojęciami, obcemi dzisiejszemu światu. Zdaje się im, że stawiają mocne funda-

menty pod religję, tymczasem kopią jej grób. Jakże trafnie powiedział Stan. Brzozowski, że wszelkie dążenie traci moc twórczą z chwilą, gdy dojrzewa do racjonalnej logicznej formy, bo »co da się wypowiedzieć w sposób całkiem logiczny i przekonujący, jest już martwe... Nadając myślom jakimś logiczną formę, stwierdzamy, że są one już wycofane z liczby twórczych sił historii«. Racjonalizm przeto nie wychowuje, lecz raczej wypacza człowieka, paraliżując wolę, wszelki bowiem logicznie zakończony system jest czemś, co już nie może być przedmiotem zdobyczy, ani się urzeczywistnić, »dlatego właśnie, że już jest urzeczywistnione«. Słowem, wszelka racjonalistyczna filozofia a życie są to dwa odrębne i niemal przeciwległe światy — i do racjonalisty-teologa w większym jeszcze stopniu, niż do każdego innego racjonalisty, stosują się równie złośliwie, jak prawdziwe słowa Stan. Brzozowskiego, że jest to człowiek, »który wtedy dopiero czuje, że zwycięstwo jego jest zupełne, gdy już całkowicie nie rozumie, w jaki sposób myśli jego przeciwnik¹.

Nie bez myśli zacytowałem tu Brzozowskiego. Dzieje duszy tego niepospolitego myśliciela dają odpowiedź na pytanie, jakim ma być stosunek Kościoła do inteligencji. Wychowany w atmosferze socjalizmu, socjalistycznej walki z religją, całkowicie uprzedzeniem i antypatją przejęty do wszelkich wieści z za świata, przede wszystkim zaś do katolicyzmu, Brzozowski ujrzał nagle niespodziane a cudowne światło, spadające na katolicyzm z osoby i pism kardynała Newmana. I światło to olśniło go. Wielki kardynał, dla którego świat nadprzyrodzony był żywą rzeczywistością, rzeczywistość zaś, w której żyjemy i toniemy — cieniem tak nikłym, że nawet w istnienie jej ciężko mu było uwierzyć, stawał przed nim, jako przybysz ze świata, który przedtem wydawał się Brzozowskiemu głupią bajką dla głupich ludzi — jako »naoczny świadek«, przynoszący »jedną z najbardziej zdumiewających, najpełniejszych, nawskróś prześwieconych wieści o człowieku, o duchu ludzkim«, o niezniszczalności i nieśmiertelności duszy. Newman określał wiarę, parafrazując Ap. Pawła, jako uznawanie za istniejące tego, czego istnienia spodziewamy się lub pragniemy. Pragnienie, zdaniem

¹ Por. M. Zdziechowski »Gloryfikacja pracy«, wyd. II. Kraków 1920.

jego, jest w zakresie wiary najwyższą oczywistością — »oczywistością rzeczy, których wcale nie widzimy«. Nie każdemu jest wiara w równym stopniu przystępną, trzeba być do niej przysposobionym, »kto przysposobienia tego nie posiada, odrzuci najsilniejszą oczywistość, kto je ma, przyjmie najstabszą«. Podnosząc w ten sposób indywidualny pierwiastek w myśleniu i poznawaniu, kard. Newman »dokonywał gwałtownego skrętu w naszym sposobie widzenia«, przebudowywał podstawy filozofji i religji, religję zwłaszcza oświecał tem jedynem światłem, które ją wprowadzić może do duszy człowieka naszej epoki. Ale jeśli powiedziałem przed chwilą, że dzieje duszy Brzozowskiego, dla której światło, na nią spadające z pism kardynała Newmana, tem samem było, co dla Ap. Pawła owa »jasność jaśniejsza nad słońce«, która go olśniła w drodze do Damaszku — że dzieje te są odpowiedzią na pytanie, jakim ma być stosunek Kościoła do inteligencji, to odpowiedź ta, niestety, wyraża tylko nasze pragnienie, ale nie rozwiązuje zagadnienia. Tacy »naoczni świadkowie«, rzeczy nie z tego świata, tacy »Australczycy«, co o Australji opowiadają nie z książek, z których uczono ich, lecz ze wspomnień i doświadczeń własnej podróży, są zjawiskiem zanadto rzadkiem, ażeby na ich działaniu móc budować nadzieje przyszłości. Są oni wybrańcami, przebywającymi na wysokościach — i pozostaje nam zakończyć uwagi nasze chyba tylko zwrotem do sumienia każdego kapłana z osobna: Jesteście — pisał Karol Potkański w ankiecie Przeglądu Powszechnego — wielką siłą w naszym społeczeństwie, od was też wiele zależy... Musicie starać się uczynić Prawdę, którą głosicie, wszystkim dostępną — ale to nie znaczy, że macie ją obniżyć. Przeciwnie, to znaczy uczynić ją tak podniosłą, aby wszyscy za nią poszli i stali się jej wyznawcami«.

O ile jednak słowa podobne nie znajdują natychmiastowego i szerokiego oddźwięku, to są one frazesami bez znaczenia. Czyżby więc zakończeniem rozważań powyższych miało być upokarzające dla autora uczucie, że nie umiał dla myśli swojej innego wyjścia znaleźć, jak frazes, którego treścią jest to, że »Bóg da, będzie lepiej«?

Aby siebie — i może czytelnika — pocieszyć czemś kon-

kretnem, zatrzymam się na chwilę tu, na końcu, nad książką X. Jana Ciemnińskiego: «O nowożytną metodę nauczania religii» (1919). Jeśli nie jest ona głosem przypadkowym, odosobnionym, to powinniśmy ją witać jako ptaka, zwiastującego wiosnę, jako świadectwo zaczynającej się w duchowieństwie reakcji przeciw skostniałości racjonalistycznej, w której było wychowywane, jako wyraz pragnienia pracy apostołskiej na innych, niż dotychczas, bardziej zbliżonych do naszych czasów podstawach.

Pracę nad przedmiotem swoim zaczął autor od tego, że zasięgnął zdania profesorów, literatów, wychowawców co do kwestji metody, według której nauczają dziś religii. Odpowiedzi były zadziwiająco jednomyślne. «Religię — pisał profesor Uniwersytetu — tępią u nas raczej, niż rozwijają po szkołach, dając do ręki dzieciom suchy, zimny katechizm...», w którym za dużo jest teologii, a za mało religijności, dlatego nie działa on na uczucie dziecka, a tem samem nie może wpłynąć na jego wolę i charakter«. — «Jedną z przyczyn — potwierdzała słowa te zasłużona pracowniczka na polu oświaty — dzisiejszego upadku religii jest bezwątpienia sam katechizm«. — «Po ukończeniu nauki religii — słowa kierowniczkii zakładu wychowawczego — wszystko, co zostaje w głowie dziecka, redukuje się do dwóch rzeczy: że trzeba modlić się i chodzić do kościoła i że trzeba od czasu do czasu spowiadać się i komunikować«...», «w pamięci wyrłyło mu się wyobrażenie Boga, jako surowego i groźnego sędziego, a nie wyrobiono w nim odczucia, że jest dzieckiem Bożem i dziedzicem Królestwa Bożego«... »Stąd apatja religijna, obojętność do rzeczy najwyższych, do zagadnień najbardziej umysłowi szlachetnemu bliskich, brak wrażliwości na to, co jest rzeczywistą radością życia«. — Przytoczone tu zdania i inne, których nie przytoczyłem, były w istocie swojej parafrazą okrutnych, niegdyś przez Stanisł. Witkiewicza wygłoszonych następujących słów: «Katechizm ma wpoić wiarę i moralność; otóż sposób, w jaki się on bierze do tego zadania, jest jedynym, żeby celu tego nigdy nie osiągnąć, jest jakby umyślnie wynaleziony, żeby odebrać dogmatyczną pewność podawanym przezeń twierdzeniom, a jego słowom dogmatyczną powagę«...

Obydwa zasadnicze w Chrześcijaństwie dogmaty: upadku

i odkupienia stanowią oczywiście podstawę nauki katechizmowej. Ale dogmaty te są tajemnicami wiary; rozrzucają niemyślących prostaczków, niedostępne są i przeto czemś zupełnie obcem dla tych, co myśleć zaczęli — i dopiero wzniosłszy się z pomocą filozofji w sferę metafizycznych dociekań, zaczynamy dostrzegać ich otchłanną głębię. Ale dane to jest nielicznym. I nie popełnię błędu, twierdząc, że praktycznie, obliczem zwróconem ku światu, nauczanie kościelne stoi nie na radosnej nowinie o Chrystusie zmartwychwstającym, wybawiającym ludzkość z katastrofy, w którą grzech pierworodny ją wtrącił, i prowadzącym ją za sobą w kraje wiekuistego życia — ale na dogmacie piekła. Dogmat ten jest rzeczą w religji najdrastyczniejszą, najłatwiej i najsilniej uderza wyobraźnię, a w postaci, w jakiej jest podawany, zgubnie działa na moralną stronę człowieka.

Na egzaminie z katechizmu — opowiada X. Ciemniwski — katecheta zapytał chłopaka: »Czy potępieńców w piekle można nienawidzić?« »Nie, raczej litować się trzeba«. — A katecheta na to: »Przeciwnie, trzeba ich nienawidzić, bo Bóg ich nienawidzi«. I pyta dalej: »A czy można ich przeklinać?« »Można i należy — naucza w razie otrzymania przeczącej odpowiedzi — bo sam ich Bóg przeklął«. — »Egzamin ten, dodaje X. Ciemniwski, z pewnością obniżył moralny poziom ucznia, który może po raz pierwszy słyszał, że należy kogoś nienawidzić i przeklinać«. — »Wszak nie Bóg potępia grzesznika, on się sam potępia« — mówi tenże kapłan. — Bóg tylko spełnia jego wolę; on nie chciał być z Bogiem, więc Bóg go do siebie nie przyjmuje. Piekło jest stanem wewnętrznym, nie zaś wielkim kotłem z wrzącą smołą, nie miejscem tortur fizycznych.

Ów katecheta, egzaminujący chłopaka, nie fantazjował, lecz stał na mocnym gruncie teologii: »Żadna prawda wiary — pisze teolog polski, St. Adamski — nie jest z taką siłą w Piśmie Św. wyrażona, jak ta o karach wiekuistych¹. Idea piekła opiera się na najgłębszych, najżywszych, najbardziej boskich instynktach (*sic*), wypływa z idei sprawiedliwości, z oświecającego sumienia prawa moralnego, które Bóg wszczepił w rozumną naturę ludzką.

¹ Substancjonalność i nieśmiertelność duszy ludzkiej (Warszawa 1905) por. str. 326.

Ponieważ znieważając grzechem naszym nieskończony majestat Boży, dopuszczamy się tem samem zbrodni nieskończonej, więc i kara za nią musi być nieskończoną: Z nieskończoności Boga wypływa nieskończoność »jego mszczącego czynu...«

Czytamy i oczom wierzyć nie chcemy. Cała ta sofistyka, wpa-jana klerowi i świeckim, wydaje się odgłosem pierwotnych pojęć. Dodajmy do tego, że ów »nieskończony czyn mszczący« objawia się w zadawaniu tortur fizycznych, w porównaniu z którymi, według X. Chaignon, niczem są »niezliczone wynalazki sprawiedliwości czy okrucieństwa ludzkiego«, niczem »kły żelazne, rozpalone ruszty, olej kipiący«¹. Pomyślmy, jaki to zamęt sprawia w myślach, sumieniach, gdy uczą, że Bóg jest nieskończoną miłością i zarazem tego Boga przedstawiają jako orientalnego despotę, tem jedynie zajętego, ażeby ktokolwiek gdziekolwiek nie uchybił jego nieskończonemu Majestatowi. Bóg jest twórcą, mi-lującym stworzenie swoje, i zarazem postępuje z niem po jego śmierci z najsurowszą bezwzględnością. I ta perwersja teologiczna już tak głęboko wżarła się w Kościół, że żywe ślady wywoły-wanych przez nią nastrojów znajdujemy nawet u kard. Newmana! Zastanawiając się nad tem, dochodzę do wniosku, że w stosunku Kościoła do tego, co jest jego głównym celem, t. j. do zbawienia człowieka, jakby walczą ze sobą dwie dusze: jedna z nieba, odbiciem jej liturgia — druga z niskich uczuć ziemskich ma swój wyraz w nauce o piekle i we wszystkim, co się z tem wiąże. Dość porównać elukubracje w rodzaju księdza Chaignon, które w istocie swej są satanizmem, wkraczającym do Kościoła pod przykryciem kultu Boga prawdziwego, z modlitwami kościel-nemi przy konających, z cudownem kojącym nabożeństwem li-turgicznym, z Prefacją w czasie Mszy św. za zmarłych śpiewaną, tym śpiewem natchnionej nadziei, która na zgłiszczach »cielesnego domu«, w którym żywot doczesny się odbył, głosi triumf szczę-śliwego, wiekuistego, przeobrażonego życia.

Liturgia światłem jest dla rozumu, powiedział niegdyś Dom Guéranger, ogniskiem zaś miłości Bożej dla serca; inny bene-

¹ »Rozmyślania dla wiernych« w 4 tomach; wyszły w przekładzie polskim w Warszawie 1869 r. i dotychczas należą do najpopularniejszych dzieł ascetycznych.

dyktyn, Dom Festugière, zestawiając w czasach ostatnich, niemal w przededniu wojny, ogrom usiłowań Kościoła w zakresie wychowania młodzieży, propagandy książkowej i kaznodziejstwa, a małość wyników, rzucał pytanie, czy wśród tych prac wszystkich nie zostało zaniedbane jedno z wielkich źródeł żywotności chrześcijańskiej, jakim jest liturgia?¹ Oczywiście, daremną jest rzeczą uczyć ogół naszej, tak rozpaczliwie płytkiej inteligencji słuchać liturgji i ją rozumieć; nic nie poruszy tych ludzi, pojawiających się w kościele tylko na obowiązkowych żałobnych czy dziękczynnych nabożeństwach i bezmyślnie rozwalonych w swoich fotelach. Polem do działania dla duchowieństwa jest inteligencja myśląca religijnie, a z rozmaitych powodów zniechęcona do Kościoła, i młodzież, bo młodzież jest szczególnie wrażliwą na żywe słowo, o ile odczuje za niem serce, płonące ogniem wiary. I słusznie powiedział X. Ciemniowski, że na nią chcąc działać, należy brać, przedstawiać religję przedewszystkiem jako cnotę, nie zaś jako naukę, bo religja polega na związku duszy z Bogiem. Więc nie dość jest dać uczącym się pojęcie o Bogu, jako *Ens Perfectissimum*, trzeba im zaszczepić świadomość Boga«. »Bóg, o którym mamy tylko pojęcie, jest abstrakcją i dlatego nie wpływa na wolę i serca nasze i nie może stać się podstawą religji przyrodzonej, a tem bardziej nadprzyrodzonej; do tego trzeba mieć świadomość Boga, czyli takie przeświadczenie, jakie mamy np. że świat istnieje, że słońce świeci«. »Bóg staje się wtedy czemś bardzo realnem, realniejszym, niż świat cały, nawet niż my sami«...

Aby świadomość tę rozwinać, oprzeć się trzeba na zmysle religijnym, który pierwotniejszym jest, niż świadomość, głębiej tkwi, jest zmysłem nieskończoności i zarazem żądzą absolutu, czyli czemś, co człowieka wywyższa ponad wszystkie istoty, jako istotę religijną. Zmysł ten jest ową wyższą mocą, stanowiącą pryncyp woli w człowieku, owym głosem Boga, który w głębi jaźni rozbrzmiewa i z nizin zmysłowego bytu ku Niebu ją porywa, ową transcendentalną inicjatywą czynności naszej, o której tak głęboko i wymownie mówi Jerzy Blondel². Zmysł ten

¹ Por: M. Zdziechowski »Pesymizm, romantyzm a podstawy Chrześcijaństwa« (1914) Tom I, Przedmowa.

² W epokowym dziele »L'Action« (1893). Streszczone w drugim tomie pracy mojej »Pesymizm, romantyzm a podstawy Chrześcijaństwa« (1914).

nazywał kard. Newman zmysłem wnioskowania (*illativ sense*), który urabianym będąc i kierowanym przez sumienie, rozstrzyga o pewności, prawdopodobieństwo wiary przeistacza w niezachwianą pewność, staje się objawieniem wewnętrznym, które odnajdzie w sobie każdy, kto ma dobrą wolę.

Bardzo słusznie powiązał ks. Ciemniwski owo objawienie z działaniem Ducha Świętego. Wśród szczegółów i drobnostek, — mówi on — w jakie obfituje nauka katechizmowa, »zagubiono naukę o Duchu Świętym, dawcy łask wszelkich i sprawcy nadprzyrodzonego życia duszy«; dlatego to ludzie dzisiejsi tak słabe mają o tem życiu pojęcie. Jesteśmy świątynią Bożą i Duch Święty w nas mieszka (1 Cor. 3, 16), uczmy się głos jego poznawać. »Odnowienie i postęp świata od tego zależą, czy i o ile nauczymy się korzystać z natchnień Ducha Św. i iść za jego głosem«. — Czyżby więc kapłan katolicki wpadał, to mówiąc, w jakiś protestantyzmem zabarwiony indywidualizm religijny? Wcale nie. »Indywidualizm w religii — powiedział gdzieś Förster — polega najczęściej na przeciwstawianiu indywidualnego nonsensu owemu *Consensus sapientium*, który jest wyrazem doświadczenia wieków«. I podnosząc natchnienie Ducha Świętego, czy objawienie wewnętrzne, ks. Ciemniwski wie dobrze, że natchnienie to w tym zawiązku swoim, który nazywamy zmysłem religijnym, pozostawione samo sobie, zanika, potrzebuje przeto oparcia w powszechności i solidarności religijnej, żąda potwierdzenia i podniety — i znajduje to w Kościele, w autorytecie Kościoła. Ale autorytet ten nie jest oczywiście sam sobie celem, lecz środkiem; zadaniem jego być źródłem natchnienia w życiu duchowem i wszystkie tego życia moce zlewać w harmonji¹.

Ale na jakim wysokim poziomie powinien stać kapłan, aby móc obudzić w uczniu czy w słuchaczu swoim ów zmysł religijny, religję uczynić w nim przeżyciem wewnętrznym, żywą świadomością Boga! Uczyć powinien nie słowem, ale i przykładem własnego życia. Metoda taka jest więcej niż trudną, »przyznaję to wszystko — kończy ks. Ciemniwski — i widzę dobrze nasuwające się trudności, a jednak nie znam innej drogi do

¹ M. Zdziechowski: »Pesymizm, romantyzm a podstawy chrześcijaństwa« (1914 Kraków).

wyjścia z obecnego religijno-moralnego upadku Chrześcijańskiego świata — do wydobycia się z płytkości, z formalizmu, jaki nas przygniata».

»A my wszyscy... naprawdę wszyscy jesteśmy w naszych kazaniach, przemowach, odezwach tacy banalni, tacy powierzchowni, tacy ześwietczali!...« Są to słowa X. prof. Józefa Rokosznego w rozprawie, którą w tych dniach czytałem z rozkoszą, czując w każdym zdaniu gorące kapłańskie serce autora, podziwiając jego zdrowe, mądre i zarazem podniosłe rady w sprawie podniesienia poziomu duchowego, tak kleryków, jak również ich nauczycieli¹.

Jedno jest dla mnie jasne, — pisałem w ankiecie Przeglądu Powszechnego — że wynikająca z racjonalistycznego ujmowania skłonność do *ekskluzywizmu* ma ustąpić miejsca *inkluzywizmowi*, wychodzącemu z zasady, że Kościół jest przedewszystkiem życiem, nie zaś doktryną, że do Kościoła należą, jak się wyraził niegdyś Towiański, ci wszyscy, co mają czucie chrześcijańskie, że przeto katolicyzm powinien odczuć, objąć i pogodzić w sobie wszystko, co jest istotnie pięknem, dobrem i prawdą, co kiedykolwiek, jako takie, było w duszach szlachetnych i wielkich... Ale czy katolicyzm dziś jest zdolnym do tego? »Walka człowieka przeciw Bogu — pisałem tamże — zaznaczyła cały wiek XIX, występując w najgłośniejszych objawach jego literatury, filozofji, polityki; w końcu doszła do kresu roznamiętnienia: Człowiek-Bóg postawiony został na miejscu Boga-Człowieka. Wśród tych zawichrzeń najprzedniejsze duchy narodu naszego stawaly, począwszy od Mickiewicza, w obronie idei Boga i Kościoła, łącząc ją w promienną całość z miłością ojczyzny. Powinniśmy przyjąć to wielkie spadkobierstwo... z powodzi rewolucji ratować ideę wielkiej, powszechnej, katolickiej społeczności kościelnej... i przechować ją do chwili, gdy rasa świeższa, zdrowsza i szlachetniejsza przyjdzie zastąpić konające w konwulsjach nienawiści społeczeństwa Europy«.

Pisałem to w 1905 roku. Ostatnie słowa wyszły mi były z pamięci; dziś czytam e ze zdumieniem: aktualniejszemi są te-

¹ »Wychowanie i nauka w polskich Seminarjach duchownych« (Radom 1921).

raz, niż były wówczas. Nad Europą szalała od roku 1914 nawałnica; burze i nawałnice przeczyszczają nieraz powietrze; ta nie przeczyszczała, przeciwnie, zostawiła po sobie grube osady błota. I w błocie tem babrzą się narody, wyszczerzając zęby jedne przeciw drugim. Idące z Rosji barbarzyństwo zabierało się w roku zeszłym do przeistoczenia Europy w kupę gruzów, w jedno wielkie popielisko; dziś, gdy rachuba ta zawiodła, przeciska się pocichu, powoli, przez wszystkie możliwe wejścia. Zarazkami śmierci przepelnia atmosferę Polski. Na barbarzyństwo to odpowiadamy nie nateżeniem sił wszystkich, ażeby je zgnieść, lecz próbami zasymilowania go, przyjmując je w zmniejszonych nieco dozach. Są to objawy tego, że nasz organizm narodowy już zatrutym został! A słabą to jest pociechą, że gdzieindziej nie jest lepiej

Gdy racjonalizmem trawione narody i państwa Europy giną, zarazem w barbarzyństwie wewnętrznym, które kierunki krańcowe wytwarzają, punkt ciężkości świata przenosi się na daleki Wschód, na wybrzeże Oceanu Spokojnego. Z jakim lekceważeniem i może obrzydzeniem patrzą stamtąd na ten mikroskopijny, a rozkładający się światek europejski, który nie tak dawno dominował nad kulą ziemską.

Żyjemy pod znakiem wzmagającego się antagonizmu między Ameryką a Japonją. Wszystkie szanse są po stronie Ameryki, tem bardziej, jeśli Anglia pójdzie za nią. Zwycięży jednak rasa żółta. Nie prorokuję, głoszę tylko to, co wielu czuje. Czują zbliżający się dzień sądu nad nami, nad rasą białą. Nie spełniła ona zadania, przez Chrześcijaństwo na nią włożonego. »Sprzeniewierzył się Zachód — mówi najłagodniejszy z mędrców indyjskich i najżyczliwszy dla nas, Rabindranath Tagore — powołaniu swemu, Zachód przekleństwem był dla narodów, z którymi się zetknął«. — Czytajcie dzieje państwa Kongo, przejrzycie książkę, przedmiotowi temu poświęconą przez szlachetnego E. D. Morel'a »The black man's burden« (London, 1921). Książkę tę nazwano »najstraszniejszym aktem oskarżenia, jaki kiedykolwiek wytoczono przeciw człowiekowi i jego dziełu«. Człowiekiem tym był Leopold II, król Belgów. Uprzymińcie sobie, że jednym pociągnięciem pióra, za zgodą mocarstw europejskich, ogłosił siebie samowładnym panem nad Kongo w celu udostępnienia tych krajów działaniu »cywilizacji zachodniej«.

A cywilizację tę zrozmiał jako wywłaszczenie całej 20-miljonowej tubylczej ludności z ziem ich przodków i jako przywłaszczenie ziem owych sobie, w charakterze osobistej własności. Opierających się temu murzynów, a raczej nie rozumiejących dekretu czy dekretów królewskich, ogłoszono za złodziei czy zbrodniarzy, przemieniono w niewolników, i terrorem, dochodzącym do najpotworniejszych, w rocznikach historii nieznanymi okrucieństwami, zmuszano ich do pracy, która równała się śmierci. A działo się to zgorą lat dwadzieścia, aż do śmierci króla, przy aprobacie katolickiej większości sejmu belgijskiego! Czyż mamy się dziwić czy gorszyć, gdy wychowaniec prastarej indyjskiej kultury nazywa Zachód »przekleństwem ludzkości« i przepowiada dzień sądu i zemsty!

Słowa moje nazwą pesymizmem. Nie przeczę. Ale rozumny pesymizm nie jest skargą rozpacz, lecz bodźcem do czynu, — do czynu, który się śnił poecie, gdy kreślił obraz walącej się bazyliki św. Piotra, której sklepienia podtrzymują szablami ostatni rycerze Polski. Bazylika się nie zawali, ale w tych, co w niej są, nowego Ducha wlać trzeba, aby przetrwali grozę nadchodzących czasów.

Wilno, 8/XII. 1921 r.

DRUGA KSIĘGA

USTRÓJ PAŃSTWOWY

DR. MICHAŁ ROSTWOROWSKI
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

WYKŁADNIA NASZEJ KONSTYTUCJI

Ogłoszenie i wejście w życie konstytucji marcowej nie osłabiło bynajmniej wysiłków myśli politycznej, skierowanej ku jej krytyce i poprawie. Przeciwnie, dopiero gdy stała się prawem i można było ogarnąć ją w całości, zarysowały się wyraźniej jej niedomagania i utwierdziło się słuszne przekonanie, że stanowczo nie jest ona zrobioną na miarę państwa polskiego; że niedostatecznie liczy się czyto z jego potrzebami, czyto z jego środkami; że należy więc ją zmienić, rozszerzyć, uzupełnić.

Stanowisko to wobec nowopowstałej karty konstytucyjnej tłumaczy się psychologicznie tem snadniej, iż ludziom, przyglądającym się zbliska procesowi jej genezy, śledzącym pilnie za obradami w komisji i w Sejmie, mającym wreszcie świeżo w pamięci okoliczności, wśród jakich usuwano, zmieniano, lub zastępowano niemal w ostatniej chwili poszczególne artykuły — trudno oprzeć się wrażeniu, że tak nieraz niewiele brakowało, by przepis, który pozostał bez zmiany, otrzymał wygląd wręcz odmienny, a inny, który dostał się do konstytucji, wcaleby tam miejsca nie znalazł. Przejście ze sfery »możliwości« do sfery »rzeczywistości« odbywało się niejednokrotnie w sposób tak przypadkowy, iż zrozumiałą mogłaby się wydać pokusa, ażeby tę niedociągniętą i obciążoną tylu wadami konstytucję traktować jako pewnego rodzaju konstytucję próbną, tymczasową, pozbawioną znaczenia

definitywnego i skazaną, tak, jak w procesie jej opracowywania, na dalsze poprawki, przeróbki i odmiany.

A jednak, mimo i bez względu na najsluszniejsze zarzuty i najmocniej uzasadnione wnioski *de lege ferenda*, które w pełni przyjmuję, myślę, iż pokusie ujęcia konstytucji w powyższej perspektywie oprzeć się należy, tak jak należy zapomnieć o całym procesie jej genezy, uprzytomniając sobie natomiast ten fakt elementarny, że konstytucja uchwalona ma za zadanie — i to jest jej założeniem — stać się tą niewzruszoną ramą, uznaną przez wszystkich, w obrębie której jedynie otwiera się droga do obrony legalnemi środkami wszelkich praw i interesów. Gdy taka podstawa całego porządku prawnego raz powstanie, trudno przypuścić, ażeby bez pewnej szkody dla samego porządku prawnego jednocześnie mogła być kwestjonowana, wyszydzana, wydrwiwana. Z samym faktem więc ustanowienia norm zasadniczych wiąże się w sposób nieusuwalny tendencja ich do trwania i pretensja do respektu. Dołączają się zresztą znaczne formalne trudności przeprowadzenia rewizji: warunek zgodności uchwał Sejmu i Senatu i warunek kwalifikowanego *quorum* i kwalifikowanej większości w niczem nie przypominają procedury, jakiej się trzymało przy uchwalaniu konstytucji, gdy jeden głos większości w jednoizbowym Sejmie Ustawodawczym wystarczał do zamiany w prawo poszczególnych przepisów i całej konstytucji.

Nie uznając więc bynajmniej konstytucji marcowej za wieczną, ani nie tamując w najslabszym stopniu drogi do jej poprawy, liczyć się niemniej musimy i z tą ewentualnością, że ze wszystkimi wadami i błędami pozostanie ona przez czas dłuższy w stanie niezmienionym, choćby przeciwnikom jej wypadło żywić się nadzieją, że funkcjonowanie w praktyce ujawni tem jaskrawiej tkwiące w niej braki, a zwolennicy jej krzepili się otuchą, iż próbę czasu zwycięsko przetrzyma. Rozpocznie się więc z konieczności okres nieuniknionego urzeczywistniania konstytucji, wcielania jej w życie i wypełniania owego hasła z czasów restauracji: *Que la Charte devienne une vérité* — proces, który będzie wymagał trwałego i ciągłego wysiłku ze strony organów państwowych, ale nie powinien się obejść bez czujnej kontroli ze strony społeczeństwa, a w szczególności bez najczynniejszego udziału polskiej nauki

prawa. Za tę cenę jedynie Polska wejdzie w poczet państw praworządnych.

W procesie realizacji przy szukaniu »prawdy« w samej konstytucji nasuną się mianowicie nowe trudności i wątpliwości, wynikające czyto z niefortunnego wysłowienia, czy też z milczenia naszej ustawy zasadniczej. Praktycznie możeby to nie stanowiło jeszcze samo o jej szkodliwości, o ileby istniała nadzieja, że wykładnia i sposób postępowania organów najwyższych: Prezydenta, Rządu, Sejmu, Senatu — nie stracą ani na chwilę z oka drogowskazu interesu powszechnego. W drodze interpretacji i praktyki odpowiedniej można będzie niejedno naprawić, co wydaje się beznadziejnie zepsutem, i niejednemu nadać sens nowy, odmienny od tego, który na pierwszy rzut oka tu się nasuwa. Oczywiście i tu, tak, jak przy układaniu konstytucji, mogą wystąpić odmienne tendencje, nacechowane ciasnym doktrynerstwem i nie mniej ciasną stronniczością, które sprawią, że interpretacja i praktyka nietylko tego źdźbła nie uratują, które w danej chwili uratowaniem być mogło, ale jeszcze bardziej pogłębią wyżłobione przez konstytucję brzozy i z niedoskonałej uczynią wprost nienawistną.

Niebezpieczeństwo to nie jest bynajmniej urojonem. Niejednokrotnie spotkać się możemy, już po ogłoszeniu konstytucji, z trzema metodami argumentowania, z których żadna nie wydaje mi się trafną.

Pierwsza polegać będzie na tłumaczeniu znaczenia przepisów i na wypełnianiu luk ustawowych przy pomocy osławionego »ducha konstytucji«. Cóż bardziej zawodnego i dowolnego, jak tego rodzaju subiektywna instancja! »Ducha« potrafi każdy skonstruować, jak mu to będzie najdogodniej, a cóż wówczas łatwiejszego, jak wyciągnąć pożądane wnioski z podobnie zbudowanych przesłanek?

Druga metoda, bardzo zbliżona do poprzedniej w swych wynikach, operować będzie »zamiarem ustawodawcy« — oczywiście nie zamiarem istotnym, którego doprawdy niewiadomo gdzie i niewiadomo jak odszukaćby należało — ale zamiarem fikcyjnym, przypisywanym ustawodawcy na podstawie znajomości zamierzeń tej lub innej grupy poselskiej, a nawet tego lub innego posła. Dowolność tej argumentacji nie jest

mniejszą od poprzedniej, choć pozory jej są bardziej nacechowane empiryzmem, któremu zresztą nic, ale to zgoła nic nie odpowiada w rzeczywistości. Przyjmując zresztą, że taki a nie inny zamiar dałby się stwierdzić w konkretnym przypadku, jakie to mogłoby mieć praktyczne znaczenie wobec oderwania się normy prawnej od jej autorów. Co sobie ci lub inni wyobrażali lub zamierzali, to może interesować anegdotyczną historję, ale jest wręcz obojętnem dla przyszłych rządów, sądów, parlamentów, które nie z grzęskim terenem nastrojów wśród nieistniejących już może ustawodawców, ale ze skonsolidowaną formułą prawną mieć będą do czynienia. Lekceważenie momentu »zamiaru ustawodawcy« przez praktykę sądową i polityczną angielską stało się jednym z fundamentów jej świetności.

Trzecia wreszcie metoda, zgodna niejednokrotnie w swych ostatecznych wnioskach z dwiema poprzednimi, choć używana dla celów odmiennych, polegać będzie na pewnej przesadzie, na tłumaczeniu przepisów w sensie najbardziej ujemnym, a dla państwa najniekorzystniejszym i na doprowadzeniu tą drogą konstytucji aż do absurdu. Mimo jej chwalebного zamiaru przygotowania w ten sposób gruntu pod inną, przyszłą, lepszą konstytucję, nie mogę tej metody uważać za trafną, gdyż w międzyczasie, w swej konsekwencji, skazuje ona pokolenie żyjące na fatalne skutki tak bezwzględnie jednostronnie interpretowanej konstytucji. A przecież instynkt samozachowawczy każdego pokolenia wskazuje mu na jego prawo do szczęścia i broni go, by cierpiało, aby następnemu było lepiej.

Ani więc »duch konstytucji«, ani »zamiar ustawodawcy«, ani chęć zdyskredytowania konstytucji nie mogą i nie powinny przeszkadzać takiej interpretacji i takiej praktyce konstytucyjnej, któraby cechowała wciąż żywa i na chwilę nie ustająca troska o istotne interesy całego narodu. Ale trzeba umieć się na nią zdobyć.

Wystarczy kilka przykładów dla wyjaśnienia naszej myśli.

Z »ducha konstytucji«, z »zamiarów ustawodawcy«, z ujemnej interpretacji — wyniknąć może teza, że Prezydenta Rzeczypospolitej niema, albo tak jakby go nie było. Podpisywanie ustaw przezeń jest czczą i błahą formalnością. Veto Prezydenta nie istnieje. — Czy tak jest w istocie? Czy taką jest »prawda« konsty-

tucji? A przecież ta sama konstytucja czyni z Prezydenta organ zwierzchniczego narodu, a dając mu wyraźnie w art. 44 prawo podpisywania ustaw, nie wiąże go równocześnie żadnym terminem: składa więc w jego ręce bardzo cenną atrybucję konstytucyjną, z której bez obawy naruszenia konstytucji może czynić użytek. Nie istnieją przepisy o veto, nie przewidziana jest procedura na wypadek sprzeciwu Prezydenta. Cóż stąd? Rzeczą będzie praktyki obmyśleć właściwy sposób postępowania i wytworzyć precedensy. Czemu zapomocą niewłaściwej interpretacji zamykać mamy drogę do rozwinięcia konstytucji w sensie korzystnym dla sprawy publicznej?

Na to spotykamy odpowiedź: Rzecz jest i tak przesądzona, gdyż w art. 3. ust. 3. Sejm określa czas, w którym ustawa ma uzyskać moc obowiązującą. — Nic podobnego. W cytowanym przepisie nic więcej nie jest zawarte, jak to, że ustawa (nie Sejm) określa czas swego wejścia w życie. — Ale na to musi stać się najprzód ustawą, a więc uzyskać podpis Prezydenta, i od tej chwili dopiero liczy się czas, przez nią oznaczony. Przepis ten jest wogóle błędnie sformułowany, ale bądź co bądź nie zawiera tego, co się weń gwałtem wтягиwa.

Inny przykład: Z »ducha konstytucji«, z »zamiaru ustawodawcy« etc. wynika, że mimo iż Senat odrzuci projekt, przez Sejm uchwalony, projekt ten w razie przyjęcia go ponownie przez Sejm $\frac{11}{20}$ głosów — staje się wbrew Senatowi ustawą. Z brzmienia konstytucji to bynajmniej nie wynika. Art. 35, ustęp 3, każe stosować procedurę forsowania sejmowego projektu tylko w wypadku poprawek, przez Senat zaproponowanych. Milczy — i zupełnie słusznie — o wypadku odrzucenia przez Senat, gdyż forsowanie projektu, który wcale nie znalazł łaski w Senacie, nie jest ani racjonalnem, ani w interesie ogólnym wskazanem. W podobnym przypadku i Senat i Prezydent stanąć mogą zupełnie słusznie na stanowisku, że projekt pierwotny upadł. Czemu i tu zamykać mamy drogę do ewentualnego porozumienia między dwoma ciałami reprezentacyjnymi w duchu kompromisu i w interesie ogólnym państwowym, a popychać raczej do konfliktu, do rozgoryczenia i do triumfu prawdopodobnie szkodliwej decyzji Sejmu, ot tylko dla tego, by postawił na swoim?

Inny wreszcie przykład: Z »ducha konstytucji«, z »zamiaru

ustawodawcy etc. wynika, że Sejm ma prawo bezwzględne uchwalania wydatków wbrew sprzeciwowi Ministra Skarbu. Pretensja Ministra Skarbu do hamowania szczodrości Sejmu jest sprzeczna z konstytucją. W istocie, konstytucja nic nie stanowi o tej materji. Potrzeba publiczna natomiast wymaga, ażeby w dziedzinie równowagi budżetowej kierownik Skarbu miał głos współdecydujący. I oto w myśl zdrowej interpretacji przychodzi do skutku wprowadzenie nie ustawy, ale uchwały Sejmowa z 16 grudnia 1921 (poz. 749), przyznająca wyraźnie Ministrowi Skarbu to prawo sprzeciwu.

Przytoczone przykłady wykazują wyraźnie, jak przy pomocy takiej czy innej wykładni można łatwo przyszużyć się lub zaszkodzić sprawie publicznej.

Jeżeli akcja w kierunku poprawy naszej konstytucji przypuszcza pracę, że tak powiem, na dwa warsztaty, z których jeden będzie funkcjonował dla przeprowadzenia zmiany konstytucji, czyli rewizji, a drugi dla inspirowania pewnej praktyki i trybu postępowania organów najwyższych — jest rzeczą jasną, że wykładnia odegrać musi wielką rolę, wskazując, które przepisy są tak jawnie szkodliwe, iż tylko w drodze ich zmiany może nastąpić poprawa ustroju, a które i bez ich usunięcia dadzą się pogodzić z praktyką korzystną. O tę wykładnię początkową, decydującą, na który warsztat dana materja się dostanie, chodzi mi przedewszystkiem. Starajmy się brać tekst konstytucji niezmiernie ściśle, nie każąc mu mówić więcej, niż w nim samym jest powiedziane. Z milczenia konstytucji wyciągnijmy wniosek, iż w braku wiążącego przepisu zostawia ona otwartą drogę dla swobodnego uregulowania danej kwestji, w drodze zwykłej ustawy lub precedensów. Przy tem wreszcie rozwiązaniu swobodnem kierujmy się nie postulatami abstrakcyjnymi, ale względami praktycznymi na dobro i interes państwa, ażeby przy rozwinięciu konstytucji złągodzić choćby częściowo jej pierwotny doktrynerski charakter, a nadać jej z konieczności cechy bardziej swojskie.

DR. KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECKI

PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

O STANOWISKO RZĄDU

W dawnej szlacheckiej Rzeczypospolitej wytworzyły się dwie jej śmiertelne choroby: Jedną było niezdrowe pojmowanie wolności, jako swawoli; upominał pod tym względem swoich współczesnych Modrzewski w tych krótkich a dobitnych słowach: »...niewola i wolność zbytńia przemierza jest«. Druga wyrosła z jakiejś chorobliwej obawy przed »dominium absolutum«; upatrywano je w każdej próbie ukrócenia swawoli, w każdym usiłowaniu, zmierzającym do przywrócenia zachwianej równowagi w ustroju najwyższych władz państwowych. Z obu tych chorób wyrosło liberum veto i doktryna o złotej wolności. Na tym gruncie sejm został z szczytów suwerenności, po którą sięgał, zepchnięty do rzędu bezsilnego ciała, pociągając za sobą państwo nad brzeg przepaści. Gonienie za popularnością stało się charakterystyczną cechą rządów w Polsce. A »taki rząd popularitatis — jak biadał Skarga — musi przecię mieć swoje króliki«. Skutkiem takiego stanu rzeczy było osłabienie rządu, zniszczenie wszelkiej jego powagi, co w związku z bezsilnością sejmów, ze swawolą, kryjącą się pod płaszczykiem obrony wolności, prowadziło do marazmu i anarchji. Reformy Sejmu Czteroletniego były wyrazem walki przeciwko tym chorobom życia publicznego w Polsce, a konstytucja 3-go maja ukoronowała to dzieło przez usunięcie tych wszystkich instytucyj prawnopolitycznych, które wyrosły

na poprzednim chorobliwym gruncie. Tę konstytucję uważał naród w okresie porozbiorowym za testament niepodległej Polski, padającej w chwili, gdy się zerwała do wykorzenia złego, do odrodzenia się w sobie. Pierwszy zaś Sejm wskrzeszonej Polski ogłosił dzień 3-go maja Świętem Narodowym. Czy został wierny temu testamentowi? Czy czcząc pamięć wielkiego dzieła odrodzenia z końca XVIII stulecia i przekazując tę pamięć w tak uroczysty sposób następnym pokoleniom, nie zboczył od jednej z głównych idei, przyświecających twórcom tej konstytucji? Czy ustrzegł się mirażu własnego wywyższenia i własnej miłości? A pod względem zrozumienia dla stanowiska rządu w państwie po czyj sięgnął spadek? Twórców Konstytucji 3-go maja, czy po spuściznę doktrynerów z XVII wieku?

W swojej uchwale z 20 lutego 1919, w której, powierzając nadal władzę Naczelnika Państwa Józefowi Piłsudskiemu, pierwszy Sejm wskrzeszonej Polski ustalił w krótkich artykułach pewne zasady, mające być niejako prawami zasadniczymi do czasu uchwalenia stanowczej konstytucji, przyznał sobie władzę suwerenną. Z tego wyciągnął też odpowiednie konsekwencje: Rząd miał być powoływany przez Naczelnika Państwa w pełnym swoim składzie na podstawie porozumienia z Sejmem. Odpowiedzialność rządu wobec Sejmu rozciągnięto także na Naczelnika Państwa. Tego ostatniego usunięto zupełnie poza nawias w zakresie władzy ustawodawczej, bo nie dano mu ani prawa inicjatywy, ani prawa veto, nawet nie powierzono mu ogłaszania ustaw, uchwalonych przez Sejm, oddając to Marszałkowi Sejmu. Na ustawach z tego okresu próżnoby szukał kiedyś przyszły historyk podpisu Naczelnika Państwa. Nie znajdzie go, jakgdyby go nie było. Jeżeli się zważy, że w zakresie władzy administracyjnej uchwała lutowa zrobiła Naczelnika Państwa tylko najwyższym wykonawcą uchwał Sejmu w sprawach cywilnych i wojskowych, to dochodzi się do wniosku, że Naczelnik Państwa naprawdę został tylko przedstawicielem Państwa, to znaczy w zwykłym biegu spraw mógł przyjmować posłów obcych państw, by na uroczystych audjencjach odbierać od nich listy uwierzytelniające.

W takim stanie rzeczy Sejm stworzył sam dla siebie olbrzymie zadanie rządzenia państwem. A stało się to w chwili, gdy

parlamentaryzm wogóle przechodzić począł poważne przesilenie. Już zadania parlamentów w zakresie władzy ustawodawczej przerastają dzisiaj często ich siły. Coraz większe skomplikowanie zadań nowożytnego państwa i rosnący z dnia na dzień ich zakres sprawiają, że główna praca ustawodawcza przeniosła się do komisyj, a odbywające się w pełnej izbie dyskusje tylko raczej wyjątkowo wpływają na ostateczne głosowanie, którego wynik bywa często już przesądzony z chwilą, gdy projekt załatwiono w komisji. Mimo to jednak te sprawy pochłaniają wiele czasu parlamentom, skutkiem czego zadania kontroli nad rządem schodzą na mniej lub więcej popularne interpelacje, a główne z tych zadań, odnoszące się do gospodarki państwowej, wyczerpuje się w dyskusji budżetowej, gdzie chodzi zawsze o cele polityczne, a sprawa gospodarki państwowej jest tylko środkiem, mającym służyć tym celom. Natomiast nie słyhać o podobnych dyskusjach nad zamknięciami rachunkowemi, które jedne mogą dać dopiero rzeczywisty obraz gospodarki państwowej. Ten ujemny stan rzeczy łagodzi na Zachodzie doborowość sił w administracji państwowej, dzięki czemu projekty ustawowe, opracowywane przez rząd, są pracą fachową, tudzież lepszy dobór wytrawnych i fachowych sił w samych parlamentach. W Polsce było inaczej i stąd pierwszy Sejm nie był w stanie podolać swym zadaniom w zakresie władzy ustawodawczej, a cóż dopiero by móc być suwerenem w państwie! Wynikiem było to, że w społeczeństwie nie zdobył sobie należnego poważania.

Nie przeszło to bez wpływu. Uchwalając konstytucję marcową, Sejm nie miał już odwagi narzucić otwarcie swej suwerenności narodowi. Toteż artykuł 2 konstytucji uznaje, że władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej należy do Narodu, a tylko jego organami są w zakresie władzy ustawodawczej Sejm i Senat, w zakresie władzy wykonawczej Prezydent Rzpltej łącznie z odpowiedzialnymi Ministrami, a w zakresie wymiaru sprawiedliwości niezależne sądy. Pojęcie suwerenności wymaga w swoim piastunie konkretności, bo inaczej suweren rozplywa się — biorąc rzecz z prawniczego stanowiska — w pewnej fikcji. Tak też i w tym wypadku rzeczywistością zostają tylko wymienione co dopiero organy suwerena. Naczelnik Państwa ma według konstytucji prawo ogłaszania ustaw, prawo rozwiązania

Sejmu za zgodą pewnej kwalifikowanej liczby członków Senatu, nie jest za czynności urzędowe odpowiedzialny ani parlamentarnie, ani cywilnie i t. p. Sądząc po tem, możnaby myśleć, że Sejm zeszedł z pierwotnego swego stanowiska suwerenności, a wstąpił na drogę utrzymania równowagi między piastunami najwyższej władzy państwowej. Czy tak jest istotnie?

Aby na to odpowiedzieć, dość zdać sobie sprawę z następujących postanowień konstytucji: Rada Ministrów i każdy minister z osobna muszą ustąpić na żądanie Sejmu. Do rozwiązania Sejmu potrzebuje Prezydent Rzpltej zgody aż $\frac{3}{5}$ ustawowej liczby członków Senatu. Wreszcie Prezydent Rzpltej jest wybierany przez Sejm i Senat, złączone w Zgromadzenie Narodowe. Wystarczają one, by zrozumieć, że Sejm, nie proklamując już otwarcie swojej suwerenności, uczynił to jednak niejako pocichu, uzależniając od siebie w zupełności rząd. Niebezpieczeństwo takiego stanu rzeczy występuje dopiero wtedy, gdy mu się przypatrzyć w świetle postanowień konstytucji o nietykalności poselskiej. Wyjmujemy z nich tylko jedną kwestję. Według ustępu pierwszego artykułu 21 posłowie »nie mogą być pociągani do odpowiedzialności za swoją działalność w Sejmie lub poza Sejmem, wchodzącą w zakres wykonania mandatu poselskiego«, a to »ani w czasie trwania mandatu, ani po jego wygaśnięciu«. W jednym tylko wypadku może poseł odpowiadać za swą działalność zawodową, jeżeli naruszył prawa osoby trzeciej i o ile Sejm zezwolił na pociągnięcie go z tego powodu do odpowiedzialności. Wprowadziła więc konstytucja bardzo ogólnikowe pojęcie działalności poselskiej w wykonywaniu mandatu poza Sejmem. Wszak da się pod nią łatwo podciągnąć niemal każdy czyn posła, mający charakter publiczny. Nawet podżegacz do zdrady głównej przeciw państwu będzie tu szukał azylu i pewno znajdzie obrońców w osobie przyjaznych sobie interpretatorów politycznych. Te konsekwencje wystąpią jeszcze jaskrawiej, gdy sobie uprzytomnimy, że przytrzymanie posła w razie schwytania na gorącym uczynku może nastąpić tylko wtedy, gdy chodzi o pospolitą zbrodnię, popełnioną nie w wykonywaniu mandatu poselskiego. Co to znaczy? Że stworzono drugą furtkę: Jeżeli się nie da pewnej działalności o charakterze publicznym podciągnąć pod wykonywanie zawodu, to w ostateczności może się

uda nadać popełnionemu czynowi znamię polityczne, a wówczas wolno będzie posłowi dalej rozwijać swoją działalność, choćby ona była wymierzona nawet przeciwko państwu.

Trzeba mieć odwagę tym konsekwencjom zaglądnąć w oczy. Ten sam Sejm, który naprzykład postanowieniem artykułu 72 stworzył podstawę może nawet wprost dla pozbawienia władzy administracyjnej wszelkiego posłuchu dla jej zarządzeń, gdyż dopuścił odwołanie się stron od karnych orzeczeń władz administracyjnych, zapadłych w drugiej instancji, do właściwego sądu, ten sam Sejm posunął się w artykule 21 do wyjęcia działalności swych członków pod pewnemi względami z pod kontroli sądów, obowiązującej zresztą wszystkich obywateli państwa. Jest to stworzenie bezkarności, wyniesienie posłów, ponad prawo, a taki stan rzeczy rodzi zawsze swawolę.

Tak więc Sejm, mimo czci złożonej twórcom Konstytucji 3-go maja, nie poszedł po ich linii, lecz raczej zawrócił na tę drogę, od której chcieli oni naród odciągnąć. Można nawet zaryzykować twierdzenie, że w świetle postanowień konstytucji o nietykalności poselskiej Sejm nie zatrzymał się nawet już tylko na własnej suwerenności, choć tego na początku konstytucji wyraźnie nie powiedział, ale że złał pewne konsekwencje, płynące z suwerenności, na swoich członków.

Jakież stąd płyną następstwa? Trzeba co do tego odróżnić dwie możliwości: Jedna z nich — to wypadek, jeżeli Sejm zdoła wytworzyć stałą większość i będzie miał w swem łonie talenty polityczne i silne charaktery, ludzi, oceniających zadania Sejmu i własną działalność ze stanowiska ogólnopañstwowego. W takim razie sprawa nie będzie się przedstawiać groźnie, bo wówczas rząd, oparty o taką większość, będzie przedstawiał tem samem odpowiednią siłę, a tego rodzaju Sejm znajdzie środki, by ukrócić nadużywanie przepisów konstytucji o nietykalności poselskiej. Ale — nie należy bać się tego stwierdzić — ta pierwsza możliwość może być raczej wyjątkiem, częstszem zjawiskiem może być raczej coś wprost odwrotnego: Sejm rozbity na liczne partje, nawzajem się zwalczające, niezdolne do stworzenia trwałszej większości. Do czego to prowadzi, wiadomo aż nadto dobrze z tragicznych dziejów dawnej szlacheckiej Rzeczypospolitej: Jest to prosta droga do bezrządu i wszystkich jego następstw.

Ustrzec państwo przed tą katastrofą może tylko rząd. Wydać się to może na pierwszy rzut oka dziwnem i sprzecznem z tem, cośmy poprzednio powiedzieli, charakteryzując odpowiednie postanowienia marcowej konstytucji. A jednak tak jest. Już trzechletnie dzieje pierwszego Sejmu wykazały, że wielogłowy suweren, rozbity na walczące z sobą stronnictwa, jest bezwładnym, a w tym chaosie pozornie wszechpotężnym tak długo, dopóki nie spotka się po stronie rządu ze zdecydowaną wolą, opartą o pewną myśl, o plan i system. Dotąd były to wszystko tylko próby, i to próby cząstkowe i raczej dorywcze, lecz ileż rzuciły one ciekawego światła na to zagadnienie! O zmianie konstytucji i naprawie jej błędów należy myśleć i do niej dążyć, ale wiadomo z doświadczeń, że to droga zwykle daleka, okrężna i żmudna. Zresztą natychmiastowa zmiana mogłaby być z różnych względów nawet niepożądana. Toteż trzeba zdać sobie sprawę z problemu na gruncie istniejącego obecnie stanu rzeczy. Z tego zaś punktu widzenia na rząd spada wielka odpowiedzialność, ale zarazem i doniosłe zadanie. Rząd w Polsce nie może być rządem biernym, lecz musi spełniać wciąż swój główny obowiązek: Mieć jasny i systematyczny plan i dążyć konsekwentnie do jego urzeczywistnienia przez nadawanie kierunku pracom sejmowym. Wówczas bowiem albo rozbity Sejm zdobędzie się wreszcie na stworzenie większości, zrozumiawszy w końcu swoją słabszą pozycję, albo w swoim rozbiciu będzie mógł co najwyżej przeszkadzać i utrudniać, ale nie zdoła unicestwić planowego i systematycznego wciągania siebie przez rząd w obręb spełniania zadań państwowych. Konstytucję bowiem pisali ludzie, ale także ludzie mają nadać jej postanowieniom treść żywotną. Chodzi tylko o to, by to byli ludzie tęgiego charakteru, jasnej myśli, świadomi celu i kochający nadewszystko tego jedynego suwerena, którego nosiły i przechowały w swem sercu cztery pokolenia w latach długiej niewoli, a któremu na imię: Ojczyzna! Tylko bowiem do takich ludzi należy zwycięstwo, a ich zwycięstwo — to przyszłość wskrzeszonej Polski.

DR. STANISŁAW ESTREICHER
PROFESOR UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

UDOSKONALENIE USTAWODAWSTWA

I.

Idea demokratyczna, stanowiąca podstawę wszystkich nowych konstytucyj, zrodziła się na tle niezadowolenia z rządów biurokracji, sprawowanych szablonowo, bez zrozumienia istotnych potrzeb społeczeństwa i bez znajomości faktycznych stosunków życia. Wychodzą z założenia, że dopuszczenie ludności do wykonywania władzy okaże się najlepszym lekarstwem na wszystkie niedomagania państwa biurokratycznego.

W wysokiej mierze istotnie tak się stało. System ludowładczy odpowiada niewątpliwie najlepiej warunkom nowożytnego życia, charakteryzującego się wysoką dojrzałością polityczną zamożniejszych warstw ludności oraz powolnym zbliżaniem się ku ich poziomowi warstw mniej zamożnych a zarazem mniej wykształconych. Postępująca niewątpliwie mimo wszystko edukacja społeczna mas pozwala też żywić nadzieję, że zasada ludowładztwa ma pod sobą silny grunt i że nie prędko przestanie być fundamentem ustroju wszystkich społeczeństw cywilizowanych.

Oparte na tej idei szczegółowe formy naszego politycznego życia doskonałą się istotnie coraz więcej, dalekie od skostnienia i od zatrzymania się na tym stopniu ewolucji, na którym opisał

je Monteskiusz lub na który wydzwignęła je rewolucja francuska. Ta zdolność doskonalenia się, ta płynność, jaką okazuje w ostatnich stu latach życie polityczne Europy a nawet życie polityczne angielskie — pozornie tylko konserwatywne, w gruncie rzeczy skłonne do racjonalnych przemian — jest jedną z rękojmi, że ustroj demokratyczny oswobodzi się w bliskiej przyszłości z wielu swoich braków i uchroni się tem samem od losu, grożącego ustrojom skostniałym: od nagłego upadku.

Postęp taki jest ogromnie potrzebny, bo nie można zamykać oczu na fakt, że ustroj demokratyczny posiada jeszcze poważne braki i że w porównaniu do swego poprzednika: systemu biurokratycznego zatracił niejedną dodatnią polityczną właściwość. Najslabszym, najbardziej potrzebującym doskonalenia okazał się on zwłaszcza na tem polu, które najwybitniejszy teoretyk jego, Rousseau, uważał za najważniejsze, — na polu ustawodawstwa; parlamenty, będące, zwłaszcza w krajach przodujących cywilizacją, doskonałym organem dla kontroli administracji i dla uchwalania budżetu państwowego, przedstawiają nawet i tam pewne braki, o ile przychodzi im działać jako organa, mające stwarzać i uzupełniać istniejące ustawodawstwo.

Przyczynę tego łatwo zrozumieć. Posłowie do parlamentu nie są wybierani pod tym kątem widzenia, aby w skład jego weszli ludzie fachowi, doskonali prawnicy, znawcy stosunków życiowych — ale decydują o ich wyborze tego rodzaju przymioty, jak karność partyjna, ruchliwość, zręczność agitacyjna, popularność u mas, silne i niewrażliwe nerwy podczas starania się o wybór, rozporządzanie środkami propagandy — a na nieostatniem miejscu także i możność poświęcenia całego swego życia i sił duchowych przykremu rzemiosłu politycznemu. Ciało zbiorowe, utworzone z takich żywiołów, wśród których rzadko i przypadkiem tylko pojawia się talent legislacyjny, nie może też rodzić na każde zawołanie dobrych ustaw. Wymaga koniecznie pewnej pomocy, pewnego uzupełnienia dla tego celu.

Pomoc tę przy dzisiejszym systemie ma mu zapewnić współudział władzy wykonawczej w pierwszej fazie tworzenia znacznej części ustaw, tj. w przygotowywaniu ich projektów celem wniesienia ich następnie przez rząd do parlamentu. Istotnie znaczną część ustaw, i to zazwyczaj najważniejsze — przygoto-

wuje rząd, który powierza tę pracę urzędnikom-referentom, aby potem projekt, przez nich ułożony, przedestylować jeszcze przez aprobatę odpowiedniego ministra i uchwałę całej rady gabinetowej. Mała tylko część projektów ustawodawczych zjawia się w parlamencie jako owoc inicjatywy poselskiej.

Ale doświadczenie uczy, że przyzwanie zawodowych urzędników do współdziałania przy układaniu większości projektów nie wystarcza jeszcze dla zagwarantowania, iż ustawy będą stały na dostatecznie wysokim poziomie. Niema żadnej rękojmi, że urzędnicy układający go będą w każdym wypadku znali dokładnie wymagania życia, albo że będą znakomitymi prawnikami, obdarzonymi talentem legislacyjnym. Badanie projektu przez ministra fachowego, względnie na radzie ministrów, ogranicza się najczęściej do strony politycznej projektu, a pod innymi względami bywa prostą formalnością. Toteż nie dziw, że zarówno ustawy wychodzące z inicjatywy rządowej, układane najczęściej od t. zw. »zielonego stolika«, jak i ustawy projektowane przez członków parlamentu, a więc przez zawodowych polityków, są wszędzie, gdzie tylko istnieje system parlamentarny, przedmiotem ostrej krytyki kół prawniczych i narzekañ społeczeństwa. Jeśli zaś wszędzie gdzieindziej, to z pewnością w pierwszej linii w krajach państwowo-młodych, konsolidujących się dopiero i mających przed sobą bezbrzeżne zadania ustawodawcze w każdej dziedzinie, istnieje niebezpieczeństwo, iż rząd i parlament, pozostawione własnym siłom, nie potrafią tych zadań należycie opanować. Doświadczenie ostatnich kilku lat, a pierwszych lat istnienia naszego państwa, stwierdza te obawy najzupełniej.

Ustawy sejmu polskiego — nie wyłączając samej konstytucji — bywają przygotowane i uchwalane w sposób niedbały i niepoprawny. Przedewszystkiem razi ich forma, która dla praktyki życia jest z pewnością równie doniosłą, jak i materialna treść ustawy. Otóż pod tym względem wystarczy wziąć do ręki głośny memoriał prawników lwowskich z r. 1920, wykazujący niesłuchanie niski stan techniki ustawodawczej w ustawach naszego sejmu, ich sprzeczności, luki, omyłki; albo takie rozprawy, jak prof. Starzyńskiego »Błędne teksty konstytucji«, lub prof. Jaworskiego »Uwagi prawnicze o projekcie konsty-

tucji», — aby nabrać złego wyobrażenia o zdolnościach ustawodawczych rządu i parlamentu, pozostawionych samym sobie. Cóż dopiero mówić o rozporządzeniach, przygotowywanych przez ministerstwa jeszcze pośpieszniej i jeszcze mniej troskliwie, aniżeli ustawy! A to samo można powiedzieć na temat już nie tylko prawniczej formy, ale i błędnej treści wielu naszych ustaw szybko przygotowywanych — i pod wrażeniem chwili, pod wrażeniem tak potężnego w ciałach zbiorowych »nastroju«, przez sejm uchwalanych.

Niedomagania powyższe polskiego ustawodawstwa są zresztą powszechnie znane i silnie w całym państwie przez obywateli odczuwane. Prawda, na naszą obronę trzeba podnieść, że najprzód stoją one w związku z tym bezprzykładnym w dziejach innych ludów chaosem, z jakiego się państwo nasze dopiero zwolna wyłania — a powtóre, że nie tylko nasz polski, ale żaden inny czyto rząd, czyto parlament, gdyby o własnych siłach miały ustawodawczo działać, nie potrafiłyby rozwiązać tak trudnego zadania bez wielkich błędów. Są to okoliczności, tłumaczące niejedno, a do nich dopiero przybywa, jako trzecia przyczyna, fakt niższego u nas, niż wszędzie gdzieindziej na Zachodzie, stopnia wykształcenia mas, znajdujący swe odbicie w niższym może niż gdzieindziej poziomie naszego sejmu.

Ale wobec takiego zbiegu trzech przyczyn, tem słuszniejszym musi się chyba wydać postulat, aby wkroczo i w Polsce na drogę udoskonalenia systemu parlamentarnego, wprowadzając w życie środki, zdolne (wedle doświadczeń, poczynionych na Zachodzie) ułatwić sejmowi, aby uchwalał dobre ustawy, a rządowi, aby ogłaszał dobre rozporządzenia.

II.

Jakaż jest zaś najskuteczniejsza korektywa przeciwko tak ważnemu niedomaganiu systemu parlamentarnego, jakim jest niedoskonałe ustawodawstwo? Niedoskonałe, bądźto pod względem formy, bądźto także pod względem treści.

Nie ulega wątpliwości, że pierwszym warunkiem, umożliwiającym powstanie dobrej ustawy (względnie rozporządzenia),

jest dopuszczenie do głosu w pewnej fazie ich powstawania — a nawet zapewnienie przeważnego wpływu na genezę projektu — ludzi fachowych i dokładnie tę gałąź życia z praktyki znających, do której projekt się odnosi. Dopiero poddanie projektu takiej prawniczej i zawodowej rewizji wykazuje niemal zawsze, jak wiele w projekcie, przygotowanym czyto przez biurokrację, czyto przez zawodowego polityka, było błędów, albo niedokładności. Jak wiele szablonu, jak wiele nieznamomości faktów, jak wiele nawet nieznamomości obowiązującego w innych dziedzinach prawa!

Od dłuższego czasu wchodzi też w zwyczaj w społeczeństwach cywilizowanych, iż projekty ważniejszych ustaw — a także ważniejszych rozporządzeń — bywają albo poddawane pod rozpatrzenie specjalnym ankietom, złożonym z prawników i fachowców w danym przedmiocie, albo nawet, że przygotowanie takich projektów powierza się nie referentom ministerjalnym, ale specjalistom-znawcom.

Zwolywanie jednak *ad hoc* tego rodzaju ankiet jest — zwłaszcza w sprawach, mających zabarwienie polityczne — rzeczą bardzo trudną i do celu nie zawsze prowadzącą. (Dość przypomnieć z naszych stosunków kwestję ankiety konstytucyjnej z lutego 1919 r., której praca zupełnie się zmarnowała). Dlatego też o wiele bardziej celowem może być utworzenie ciała stałego, złożonego ze znawców możliwie bezstronnych i trwale działających.

A nawet w naszej krótkiej fazie życia politycznego możemy już dwie takie próby udoskonalenia projektów ustawodawczych zanotować. Na tę właśnie drogę weszła naprzód nasza ustawa z 3 czerwca 1919 (poz. 315 Dz. pr. p.), powołując do życia »Komisję Kodyfikacyjną« celem (jak mówi artykuł 2 ustawy): »przygotowania projektów jednolitego ustawodawstwa dla wszystkich ziem, w skład państwa wchodzących, a to w dziedzinie prawa cywilnego i karnego«, oraz dla przygotowania innych projektów ustawodawczych, które Komisja Kodyfikacyjna wypracuje bądź na skutek uchwały sejmu, bądź też w porozumieniu z ministerstwem sprawiedliwości«.

Powołanie do życia Komisji Kodyfikacyjnej o tak rozległych zadaniach stanowi bardzo chlubną kartę w działalności

naszego sejmu, wytycza bowiem trafnie kierunek drogi, na której można znaleźć zaradę przeciwko tym wszystkim niebezpieczeństwom, jakie przynosi ze sobą dla poziomu ustawodawstwa system parlamentarny. Co się tyczy ustaw »z dziedziny prawa cywilnego i karnego«, cel powyższy Komisja niewątpliwie już spełnia. Natomiast zarówno jej skład, jak i ogrom prac, jakie na nią z tytułu głównego jej zadania spadają, wykluczają wprost możliwość, aby mogła skutecznie dopomóc parlamentowi w dziedzinie szerszej, poza kodyfikacje sądowe sięgającej. Dlatego też użyłem powyżej wyrażenia, iż ustawa z 3 czerwca 1919 wytycza tylko kierunek drogi, na której należy szukać zaradzenia pewnym brakiem parlamentaryzmu, ale trudności radykalnie nie rozwiązuje.

To samo odnosi się do drugiej, o dwa miesiące późniejszej próby, podjętej przez nasz sejm, aby swą działalność w dziedzinie ustawodawstwa udoskonalić. Mam tu na myśli zamiar wyzyskania pomocy innego organu, stworzonego ustawą z 31 lipca 1919, a mianowicie »Prokuratorji Generalnej« Rzpltej polskiej, dla której w art. 2 punkt 6 zastrzeżono możliwość »opinjowania na życzenie rady ministrów lub poszczególnych ministerstw projektów ustaw i ogólnych rozporządzeń centralnych władz państwowych ze stanowiska ogólnoprawnego, organizacyjnego i techniki ustawodawczej«. Władza ta, przeciążona innemi zadaniami i nie posiadająca składu dostosowanego do potrzeb ustawodawstwa, nie jest istotnie w stanie oddać rządowi i parlamentowi tych usług, jakich one dla podniesienia poziomu ustawodawstwa niezbędnie potrzebują.

Niemniej obie te ustawy są ważnym objawem odczuwanego przez nasz sejm braku, a kierunek przez nie wskazany — to jest poddawanie każdego projektu pod rozpoznanie ciał fachowych, zanim ten projekt do parlamentu wpłynie — jest istotnie najlepszą korektywą, od wielu lat wypróbowaną już gdzieindziej i skrytalizowaną w organach, noszących zazwyczaj nazwę t. zw. »Rady Stanu«. Należy też wyrazić zdziwienie, że konstytucja nasza z 17 marca powyższego kierunku rozwoju, wskazanego w ustawach z dnia 3 czerwca i 31 lipca 1919 roku, nie uwzględniła i nie powołała do życia stałego ciała opiniodawczego dla celów podniesienia poziomu naszych ustaw i rozporządzeń.

Jak doświadczenie okazuje, najskuteczniej i najlepiej starały się bowiem wprowadzić do działu ustawodawstwa pewien wysoki poziom te państwa, które — z Francją na czele — utworzyły przy boku rządu i parlamentu stały organ pomocniczy, mający za zadanie (bądźto wyłączne, bądźto obok innych przydzielonych mu zadań) przygotowywać lub rozpatrywać wszystkie projekty, przedkładane przez rząd parlamentowi do uchwały, a także i projekty rozporządzeń, mających być wydanymi przez rząd. Organ taki (istniejący już dawniej w wielu państwach absolutnych przy boku monarchy, obdarzonego nieograniczoną władzą ustawodawczą) rozwinął się w wieku XIX najlepiej we Francji, powołany tam do życia przez Napoleona w latach 1799 i 1800, zreorganizowany w pół wieku później przez Napoleona III, a utrzymany i udoskonalony na nowej podstawie przez ustawodawstwo trzeciej republiki (1872—79). Ów organ pomocniczy ustawodawczy nazwano we Francji *Conseil d'Etat*, co przetłumaczono fałszywie u nas, jako Radę Stanu, zamiast Rady Państwa, tak samo zresztą, jak mówimy błędnie o trybunale stanu, o zbrodniach i więzieniach stanu, racji stanu etc. Niezależnie od Francji rozwinęło dawniej podobny organ kilka innych państw europejskich, choć nigdzie nie osiągnął on tego znaczenia, co we Francji (Anglja, Austria). Na wzór francuski utworzono zaś »Radę Stanu« w wieku XIX w kilku mniejszych państwach (np. Bawarja); między innymi istniała ona w latach 1807—1867 w Księstwie Warszawskim i Królestwie Kongresowem, urządzona dość podobnie jak francuska.

Francuska »Rada Stanu« otrzymała od Napoleona i utrzymała do dzisiaj dnia bardzo szerokie zadania — jest przecież i dzisiaj na podstawie ustawy z r. 1872 nietylko ciałem, wydającym opinie o projektach ustaw i rozporządzeń, ale rozstrzyga w charakterze trybunału rekursy i zażalenia nieważności w sprawach administracyjnych. To drugie jej zadanie jest jednak w większości innych państw zbędne, o ile utworzyły one specjalne trybunały administracyjne, będące, jak wiadomo, jedną z najcenniejszych i najchlubniejszych zdobyczy państwa praworządnego, tak, jak się ono ukształtowało w ciągu XIX wieku. Połączenie funkcji sądowo-administracyjnej i ustawowo-opiniodawczej, istniejące we Francji, nie jest zresztą ani rzeczą konieczną, ani nawet

pożądaną. We Francji tłumaczy się ono historyczną tradycją — gdzie tradycja jednak nie działa, stosowniej jest może dla tak specjalnego celu i specjalnych kwalifikacyj wymagającego zadania, jak rozstrzyganie sporów administracyjnych, wytworzyć osobny organ, z osób biegłych w tym specjalnym kierunku życia państwowego złożony.

III.

O wkroczeniu na tę drogę myślały już, jak zaznaczyłem, wspomniane wyżej ustawy (jedna o Komisji Kodyfikacyjnej, druga o Prokuratorji Państwa) — ale obie uczyniły to nieśmiało i w sposób niepraktyczny. Na drodze prowadzącej do stworzenia pomocniczego, ustawodawczego organu należałoby też pójść śmiało dalej i stworzyć u nas stały organ na podobieństwo francuskiej »Rady Stanu« wogóle dla przygotowywania projektów, względnie dla wydawania opinji o projektach wszelkich ustaw i rozporządzeń, jakie czyto mają być uchwalone, czyto przez rząd wydane.

Polska »Rada Stanu« — o ileby ta nazwa, właściwie błędna, ale mająca za sobą u nas tradycję lat sześćdziesięciu (1807—1867) się przyjęła — po winnaby więc otrzymać następujące kompetencje:

- a) Wydawanie opinji o projektach ustawodawczych, jakie rząd zamierza wnieść do sejmu;
- b) Wydawanie opinji o projektach ustaw, przedstawionych sejmowi przez jego członków (senat nie ma, jak wiadomo, wedle art. 10 konstytucji inicjatywy ustawodawczej);
- c) Wydawanie opinji o projektach rozporządzeń władz rządowych;
- d) Wydawanie opinji o projektach ustawowych, wniesionych do ciał ustawodawczych terytorjalnych, w przypadkach, w których bądźto konstytucja (art. 3), bądźto inne ustawy legislatywę im przyznają (np. autonomia Śląska).
- e) Opracowywanie projektów ustaw lub rozporządzeń, o ile jej to rada gabinetowa albo sejm zleci;

Tak pojęta kompetencja »Rady Stanu« nie stałaby w żadnej kolidz z konstytucją, pomimo, że konstytucja o stworzeniu

»Rady Stanu« nie pomyślała, podobnie zresztą, jak nie wspomina ona o istnieniu Komisji Kodyfikacyjnej. Zmiana konstytucji byłaby potrzebna tylko w tym wypadku, gdyby przedłożenie Radzie projektu ustawy, względnie rozporządzenia, do zainicjowania miało być jednym z czynników koniecznych dla ich ważności. Jeżeli tego nie zażądamy i nie zwiążemy ani rządu, ani parlamentu pod tym względem, to tem samem odpada potrzeba uzupełnienia konstytucji i Rada Stanu mogłaby być stworzona prostą ustawą.

Należałoby natomiast uniknąć tego błędu, jaki popełniła obecna konstytucja pruska, stwarzając »radę państwa« (Staatsrath) w charakterze przedstawicielstwa prowincji, a więc z elementów politycznych. Stało to się podstawą do dążenia, aby »Staatsrath« przemienił się w rodzaj senatu, w którym ścierają się stronnictwa i czynił konkurencję izbie poselskiej. Obecny konflikt konstytucyjny, jaki od roku wywiązał się w Prusiech między rządem a »radą państwa« i dał pochop do powstania osobnej literatury politycznej, wyświetlającej właściwą funkcję rad stanu (np. memoriał prof. Stier Somlo) — jest jaskrawym przykładem, że w interesie moralnej powagi i zgodnego z parlamentem funkcjonowania Rady Stanu należy z całą stanowczością odsunąć myśl przemieniania jej na ciało polityczne. Inaczej łatwo przychodzi do tarć i zmniejszenia jej autorytetu, jako ciała w walce słabszego.

Nie powinno też być kolizji między tak pojętą kompetencją Rady Stanu a Komisją Kodyfikacyjną, ciałem przejściowym, której głównem — a jak dotąd jedynem — zadaniem jest przygotowanie projektów kodyfikacyjnych z zakresu prawa cywilnego i karnego, a więc ustaw, wyczerpujących pewną większą dziedzinę prawa sądowego. Po spełnieniu tego zadania, tj. po ułożeniu jednolitych dla całej Polski kodyfikacji sądowych, zadanie Komisji Kodyfikacyjnej będzie i tak wyczerpane — ale nawet w trakcie jej funkcjonowania podział pracy między obu organami byłby bardzo wyraźny i obawa o spór kompetencyjny byłaby chyba płonna.

Rada Stanu, jeśli by miała odpowiedzieć powyższemu zadaniu, musiałaby się składać z fachowych prawników (»radcy stanu«), gdyż właśnie pierwszym jej celem byłoby to, aby pro-

jekty i rozporządzenia, wychodzące w Polsce, były pod względem techniki juredycznej równie doskonałe, jak są np. we Francji. Tylko ludzie, fachowo całość ustawodawstwa w pewnej dziedzinie znający i w sztuce legislacji zawodowo biegli, mogą wskazać błędy, jakie popełnia minister czy przypadkowy referent ministerjalny (niezawsze nawet prawnikiem będący), układając projekt ustawy albo wydając rozporządzenie, — oraz jakie popełnia polityk sejmowy, występując z pewną inicjatywą.

Aby jednak nie tylko forma, ale i treść ustawy została przez Radę Stanu należycie zbadaną i zaopiniowaną, należałoby dozwolnić jej w razach ważniejszych lub wątpliwych posługiwać się pomocą ankiet; mogłaby powoływać do nich znawców tego przedmiotu, do którego pewien projekt się odnosi (np. znawców szkolnictwa przy ustawach i rozporządzeniach szkolnych, lub znawców w zakresie zdrowotności przy ustawach i rozporządzeniach sanitarnych itp.).

Rada Stanu musiałaby się dzielić dla łatwiejszego funkcjonowania na kilka sekcji, załatwiających samodzielnie projekty o mniejszej doniosłości, podczas gdy obrady i uchwały plenarne zarezerwowane byłyby tylko dla ustaw najważniejszych, tj. dla tych, co do których rząd, względnie sejm, zażądałby uchwały plenum Rady. Bliższe określenie, jakby te sekcje wyglądały, należałoby może pozostawić nie ustawie, stwarzającej Radę Stanu, ale regulaminowi, bardziej elastycznemu i do doświadczenia dającym się dostosować. Co najmniej musiałaby istnieć dwie sekcje: 1) dla działu sądowego, 2) dla działu politycznego i administracyjnego. Ale zapewne byłby wskazany podział bardziej szczegółowy.

Jako organ opiniodawczy rządu i sejmu, musiałaby Rada Stanu być podporządkowaną jednemu z ministerstw, któreby za jej działalność ponosiło konstytucyjną odpowiedzialność. Najtrafniej byłoby podporządkować ją prezydentowi gabinetu, skoro jej działalność obejmowałaby wszystkie resorty ministerjalne. Minister odpowiedzialny za Radę Stanu byłby jej nominalnym przewodniczącym; nie mógłby jednak wydawać Radzie wskazówek i poleceń, dotyczących treści jej działania. Niezawisłość radców stanu musiałaby być ustawowo zawarowaną podobnie, jak sędziowska.

Faktycznym przewodniczącym Rady Stanu powinien być też wiceprezydent, nominowany stale i kierujący tokiem jej czynności. Do jego obowiązków należałoby w pierwszym rzędzie pilnować, aby projekty rządowe i sejmowe, oddane Radzie Stanu do zaopiniowania, względnie wypracowania, zostały załatwione w terminie, zgóry przepisany. Leżałaby w tem rękojmia, że instytucja Rady Stanu nie przyczyni się w żadnym razie do przewlekłości toku ustawodawczego. Wprost nawet przeciwnie: zarówno co do projektów rządowych, jak sejmowych, fakt skrupulatnego uprzedniego zbadania ich co do formy i treści przez ciało tak kompetentne, jak Rada Stanu, wpłynąłby tylko na przyspieszenie toku. Znaczną część mozolnych i długotrwałych prac przedwstępnych zastępowałyby teraz praca Rady Stanu. Sejm otrzymywałby projekty dojrzałe, przemyślane i ściśle sformułowane. O ileżby to ułatwiło i skróciło obrady na komisjach i na plenum sejmowym! To samo dotyczy ułatwienia pracy dla rady gabinetowej, która przecież do badania szczegółów w projektach, przedstawianych jej przez poszczególne ministerstwa, zupełnie się nie nadaje i zatwierdza czyto projekty ustaw, czyto rozporządzenia po bardzo powierzchownem rozpatrzeniu, zwykle nawet bez badania treści i formy. — W obradach Rady Stanu oprócz jej członków powinienby uczestniczyć przedstawiciel rządu, delegowany w miarę tego, o sprawy którego ministerstwa przy danym projekcie głównie chodzi. Rząd musiałby też mieć prawo wglądu w protokoły obrad Rady Stanu, tak, aby mógł zapoznać się z motywami głosowania oraz z wotami mniejszości. W ten sposób byłby podkreślony tem silniej moment, że Rada Stanu jest tylko organem pomocniczym i opiniodawczym.

IV.

Tak skonstruowany i taką kompetencją wyposażony organ mógłby się znakomicie przyczynić do ułatwienia prac ustawodawczych, odciążając zarówno rząd, jak i sejm w wielu zadaniach, a w niczem nie umniejszając dotychczasowych ich prerogatyw ustawodawczych. Wszelka nieufność pod tym względem — gdyby żywiona była przez sejm — byłaby nie na miejscu. Funkcjo-

nowanie francuskiej Rady Stanu, posiadającej dużo szersze atrybucje, aniżeli projektowane tutaj, nie zmniejsza ani na włos supremacji, jaką we Francji posiada od lat pięćdziesięciu parlament ponad wszelkimi innymi organami zwierzchnictwa narodowego. A natomiast jest tam ono podstawą znakomitej ustawodawczej działalności parlamentu, dzięki której każda ustawa francuska stoi na wysokim poziomie co do przemyślenia treści i co do precyzji formy. Wprost przeciwnie, jak dotąd u nas. Toteż nie jest żadnym paradoksem twierdzenie, że Rada Stanu nie umniejsza, ale niesłuchanie zwiększa autorytet, jaki parlament w społeczeństwie posiadać winien.

Stworzenie Rady Stanu przyczyniłoby się niewątpliwie w wysokim stopniu do naprawy naszego ustawodawstwa. Parlament nasz, będący mikrokosmem całego społeczeństwa, będzie jeszcze bardzo długi czas maszyną niewyrobioną, nieprecyzyjną, niedokładnie funkcjonującą. O szybkim podniesieniu się jego poziomu niema mowy, a nadzieje żywione pod tym względem — przy panowaniu dzisiejszej proporcjonalnej, wadliwej ordynacji wyborczej — są iluzją. Jak długo ta ordynacja istnieje, poprawa jego ustawodawczej działalności może nastąpić tylko przez to, że otrzyma on obok siebie organizację pomocniczą. Będą z tem połączone niewątpliwie znaczne koszty — (radców stanu musi być przecież kilkudziesięciu) — ale opłacą się one z nawiązką wyższą doskonałością ustawodawstwa. Złe ustawy należą bowiem do bardzo kosztownych eksperymentów! Zresztą należy uwzględnić, że utworzenie Rady Stanu zmniejszyłoby agendy ministerstw i pozwoliłoby zwinąć niejedną posadę, której dzierżyciel poświęca obecnie swój czas dla wygotowywania projektów rządowych — i to często, jak doświadczenie pokazuje, bez dostatecznie pomyślnego skutku¹.

¹ Myśl rozwiniętą powyżej rzuciłem już w nr. 171 *Czasu* z 29. VII. 1921 r. W lutym 1922 przesłało »Towarzystwo Kresów wschodnich« w Warszawie projekt ustawy, opracowany przez p. E. Starczewskiego, dotyczącej powołania do życia Rady Stanu. Projekt ten, zarówno co do kompetencji, jak co do składu Rady Stanu, różni się od zapatrywań bronionych powyżej. Nie przeprowadzam z nim polemiki ze względu, że projekt p. Starczewskiego, niewątpliwie bardzo zasługujący na uwagę, rozesłany został tylko rękopiśmiennie.

DR. KAZIMIERZ WŁADYSŁAW KUMANIECKI

PROFESOR UNIwersYTETU Jagiellońskiego

NA DRODZE DO ZESPOLENIA

W chwili, gdy odrodzona Polska w jesieni 1918 roku zjawiała się na dziejowej widowni, musiała odrazu walczyć na kilku frontach: we wschodniej części dawnej Galicji toczył się bój z Ukraińcami, Czesi wkroczyli na Śląsk Cieszyński, w Poznańskim broniono się przeciwko wypartym z części kraju Niemcom; do tego niebawem przybyła wojna z Rosją sowiecką¹.

Wewnątrz kraju, wstrząśniętego czteroletnią wojną, która wielką jego część przeorała kilkakrotnie wzdłuż i wszerz, były braki i nieudomaganie wszelkiego rodzaju. W każdej dzielnicy mieliśmy odmienny stan gospodarczy, różną walutę, inny poziom oświaty, inny system ustawodawczy; z wyjątkiem jednej Małopolski, brakowało wystarczającej liczby odpowiednio przygotowanych ludzi do objęcia administracji państwowej; skarb i wojsko prawie tak dobrze jak nie istniały.

Do tego przybywał jeszcze jeden bardzo ważny fakt, mianowicie wielka różnorodność systemów administracyjnych, odziedziczona po państwach zaborczych. W dawnym Królestwie Kongresowym była inna organizacja administracyjna w północnej części, na obszarze dawnej okupacji niemieckiej, inna zaś w południowej, w obrębie byłego austrjacko-węgierskiego jenerał-gu-

¹ Por. mój artykuł »Z rozważań nad zespoleniem dzielnic Polski« w Nr. 2 »Wiek XX« (Warszawa 1921, str. 101 i nast.).

bernatorstwa lubelskiego. Dawny zabór pruski przedstawiał znowu całkiem odmienny ustrój administracyjny, a na ziemiach należących niegdyś do Austro-Węgier, nie było nawet jednolitości, bo — pomijając już Spisz i Orawę — trzeba pamiętać, że ustawodawstwa krajowych sejmów, galicyjskiego i śląskiego, wprowadziły różne odmiennie urzędnictwa. Nadto na ziemiach byłego zaboru rosyjskiego istniały jeszcze pozostałości dawnego ustroju rosyjskiego. Tak zatem mieszało się z sobą sześć, a właściwie nawet siedm różnych ustrojów administracyjnych.

Jeszcze gorzej sprawa się przedstawiała z prawem administracyjnym. W dawnym Królestwie Kongresowem pozostało jeszcze wiele przepisów rosyjskich. Nadto rządy okupacyjne wydały szereg własnych przepisów administracyjnych, i to odmiennych w obu okupacjach. Do tego zaś trzeba dodać, że już podczas okupacji wyszły (choć nieliczne) ustawy istniejących w owym czasie w tej dzielnicy władz polskich. W dawnej Galicji i na Śląsku Cieszyńskim zastał przełom nie tylko austriackie ustawy państwowe, ale także ustawy krajowe, osobne w obu tych krajach, a nadto szereg patentów i rozporządzeń jeszcze z czasów absolutnych rządów. Na Spiszu i Orawie obowiązywały ustawy węgierskie, w Poznańskim i w Prusach Zachodnich ustawy i rozporządzenia pruskie.

W takich to warunkach odrodzona Polska, zmuszona do walki na wschodzie i na zachodzie, miała się urządzać wewnętrznie w odziedziczonym chaosie sześciu czy siedmiu różnych ustrojów administracyjnych i dziesięciu czy nawet jedenastu rozmaitych systemów prawa administracyjnego, powstałych w innym czasie i w odmiennych ustrojach państwowych.

Pierwszy etap budowy ustroju administracyjnego odbywał się zrazu pod znakiem dzielnicowości. Było to następstwem tego stanu rzeczy, który już poprzednio pokrótce naszkicowaliśmy. W Warszawie był wprawdzie rząd centralny, ale nie zdołał on jeszcze uchwycić w swe ręce całości, tem więcej, że rozwój wypadków biegł w poszczególnych dzielnicach odmiennym torem. Wyrazem tej dzielnicowości była Polska Komisja Likwidacyjna, urzędująca w Krakowie, tudzież skutkiem wypadków we wschodniej części dawnej Galicji powstały we Lwowie Tymczasowy Komitet Rządzący; na Śląsku Cieszyńskim rządy objęła Rada

Narodowa Księstwa Cieszyńskiego, a w dawnym zaborze pruskim Naczelna Rada Ludowa. Drugą charakterystyczną cechą była dążność do zmian w dotychczasowym ustroju administracyjnym, czynionych zwykle naprędce i dorywczo w dawnej Galicji i w byłym Królestwie Kongresowem.

Dalszy rozwój poszedł innemi nieco torami. W dawnym Królestwie zaczęto zwolna zawracać z obranej początkowo drogi. Ewolucja ta doprowadziła pod jesień 1919 roku do wprowadzenia województw i przywrócenia urzędu starostów. Poza kilku odrębnymi działaniami skoncentrowano zresztą całą administrację w rękach wojewody, względnie starosty. Zrozumiano też, że wojewoda powinien mieć kontakt także z wydziałami administracji i że takie zetknięcie wyjdzie również na dobre i tym ostatnim. Toteż do Rady Wojewódzkiej wprowadzono obok szefów wydziałów wojewódzkich i przedstawicieli samorządu powiatowego oraz miast wydziałowych także zastępców owych odrębnych działów administracji państwowej, t. j. wojskowej, sądowej, skarbowej, szkolnej, kolejowej, pocztowo-telegraficznej, górniczej, tudzież sprawowanej przez urzędy ziemskie. Nie zdobyto się jednak jeszcze na jeden doniosły krok, mianowicie na wprowadzenie samorządu wojewódzkiego. Dzielnicowość zaczęła zwolna zanikać w dawnej Galicji. Próba kontynuowania rządów dzielnicowych z pierwszej doby po przełomie w postaci Komisji Rządzącej nie udała się, a to zanim nawet ta Komisja zaczęła naprawdę swoje urzędowanie. Wprawdzie z powodu nieopanowania jeszcze przez rząd centralny całokształtu administracji zostawiono narazie w tej dzielnicy Generalnemu Delegatowi Rządu, który zastąpił dawnego namiestnika z austriackich czasów, władzę w III instancji w niektórych działach (rolnictwa, aprowizacji, robót publicznych, przemysłu i handlu oraz sztuki) wspólnie z delegatami właściwych ministerstw. Jednakowoż stosunkowo dość szybko zostały powyższe sprawy objęte przez rząd centralny, a z tem zniknęły ostatnie ślady dzielnicowych rządów. Zniesiono także formalnie ustawą z dnia 30 stycznia 1920 r. Sejm i Wydział Krajowy dla Galicji, a miejsce tego ostatniego zajął Tymczasowy Wydział Samorządowy, dopóki nie nastąpi jednolite zorganizowanie samorządu wyższego rzędu.

Natomiast w dawnym zaborze pruskim narazie wzmocniła się nawet jeszcze odrębność dzielnicowa przez stworzenie Ministerstwa byłej Dzielnicy Pruskiej. Zwolna jednak unifikacja poczęła robić coraz dalsze postępy; właściwe ministerstwa poczęły przejmować poszczególne działy administracji.

Zewnętrznie ta dążność do zacierania odrębności w ustrojach administracyjnych poszczególnych dzielnic wypowiedziała się w przyjęciu zwolna dla całego obszaru państwa zasady podziału na województwa i starostwa; rozciągnięto go konsekwentnie także na ziemie, wcielone do Polski na podstawie pokoju ryskiego. Uzupełnieniem tego jest stopniowe wprowadzenie jednolitej organizacji innych specjalnych władz administracyjnych, jak skarbowe, szkolne, ziemskie, nie mówiąc już o organizacji władz wojskowych i sądowych, gdzie unifikacja również nastąpiła.

W takim stanie rzeczy doszła do skutku konstytucja z 17 marca 1921 roku. Ustala ona wytyczne zasady, na których ma być zbudowane i wykończone zespolenie dzielnic Państwa Polskiego.

Co się tyczy administracji państwowej, ma być ona zorganizowana według systemu realnego, zespolenia agend pod jednym kierownictwem i na zasadzie dekoncentracji. Pod względem zaś samorządu, konstytucja ustala następujące zasady:

a) Budowa samorządowa ma być trójstopniowa: gminna, powiatowa i wojewódzka.

b) Prawo stanowienia w sprawach, należących do samorządu, przysługuje radom obieralnym.

Wreszcie stosunek samorządu do administracji państwowej oparła konstytucja na następujących podstawach:

Samorząd powiatowy i wojewódzki ma mieć egzekutywę o charakterze kolegjalnym, złożoną z członków, wybranych przez radę powiatową, względnie wojewódzką, i z urzędników państwowej administracji powiatowej i wojewódzkiej, przyczem przewodnictwo spoczywać będzie w rękach tych ostatnich. Jest to więc zasada zespolenia, której też odpowiada postanowienie co do podziału terytorjalnego, według którego jednostki administracji ogólno-państwowej mają się pokrywać z jednostkami samorządu.

Jak w dać zatem, to konstytucja marcowa weszła na drogę

decentralizacji, dekoncentracji, zespolenia i systemu realnego, a więc na dobrą drogę, ale na tem stwierdzeniu zagadnienie bynajmniej się nie wyczerpuje. Konstytucja bowiem rozróżnia poza samorządem wojewódzkim, powiatowym i gminnym jeszcze samorząd mniejszości narodowych (art. 109), samorząd wyznaniowy (art. 113 i następne), tudzież samorząd gospodarczy (art. 68). Zanim się tym zagadnieniom bliżej przypatrzemy, należy zaznaczyć, że pod względem ścisłego odgraniczenia pojęć i terminologii konstytucja grzeszy wielkimi brakami, mianowicie niektóre z jej przepisów używają obok siebie terminów »samorząd« i »autonomja«, albo pośrednich ich określeń, jak np. »samodzielne prowadzenie swych spraw wewnętrznych« lub »rządzenie się własnymi sprawami«, a to w taki sposób, jakgdyby sobie przy ich redakcji nie zdawano sprawy z tego, że samorząd i autonomja — to nie to samo. A ponieważ dla samorządu zna konstytucja — jak widzieliśmy — aż cztery kryteria, przeto brak ścisłości i jednolitości terminologicznej wprowadza w problem jeszcze więcej niejasności.

Skoro zaś zasady, ustalone w konstytucji, mają być dopiero przeprowadzone w osobnych ustawach, przeto właściwe zadanie jest dopiero do spełnienia. Aby się w niem zorientować, trzeba sobie wpierv zdać sprawę z najważniejszych wątpliwości.

Zaczynamy od samorządu mniejszości narodowych, gdyż tego rodzaju »autonomiczne związki o charakterze prawno-publicznym« mają istnieć »w obrębie związków samorządu powszechnego«, a celem ich ma być zabezpieczenie tym mniejszościom »pełnego i swobodnego rozwoju ich właściwości narodowościowych«. Otóż osobne ustawy, przewidziane w tej kwestji w art. 109 konstytucji, będą musiały rozstrzygnąć następujące pytania, co do których konstytucja nie zawiera jasnych postanowień:

- a) Co to znaczy »mniejszość narodowościowa« w rozumieniu art. 109 konstytucji?
- b) Co to znaczy »autonomiczny« związek mniejszości narodowościowej, t. j., czy ma on mieć legislatywę, czy nie, a w danym razie jakim ma być zakres autonomji, względnie samorządu?
- c) Co to znaczy »w obrębie samorządu powszechnego«?

Czy mają takie związki mniejszości narodowościowych powstać na wszystkich trzech stopniach samorządu powszechnego, a jeżeli nie, to na których?

- d) W jaki sposób ma być rozwiązane stanowisko takiego związku mniejszości w obrębie odpowiedniej jednostki samorządu powszechnego i jaki ma być ich wzajemny do siebie stosunek? Czy ma się to stać na zasadzie kuryj narodowościowych lub podziału pewnych organów samorządu powszechnego dla pewnych spraw na sekcje narodowościowe, czy może jeszcze w jakiś inny sposób?
- e) Skoro te związki mają powstać w obrębie jednostek samorządu powszechnego, to czy mają one także objąć odpowiednią część agend administracji ogólnopństwowej, sprawowanych przez organy ostatnio wymienionych jednostek? A jeżeli tak, to które to będą organy i jak ma wyglądać stosunek władz administracji państwowej do organów obu związków samorządowych, powszechnego i specjalnego narodowościowego, a to ze względu na stosunek zasady zespolenia, tudzież stosunek organów obu samorządów do siebie, skoro związek mniejszości narodowej ma istnieć i działać w obrębie samorządu powszechnego?
- f) Dalsze pytanie brzmi: Czy oba związki będą miały odrębny aparat administracyjny, czy nie?
- g) Wreszcie ostatniem jest zagadnienie władztwa finansowego: Czy związek mniejszości narodowościowej będzie miał samoistne prawo nakładania podatków, dodatków do podatków, opłat? A jeżeli tak, to w jakim zakresie i w jakim stosunku do analogicznych uprawnień tej jednostki samorządu powszechnego, w obrębie której podobny związek mniejszości będzie istniał.

Widać z powyższego przeglądu najważniejszych tylko z pytań, które się nasuwają w przedmiocie samorządu mniejszości narodowościowych, że każde z nich odnosi się do zagadnień natury zasadniczej i że konstytucja wypowiedziała się pod tym względem i niejasno i niewystarczająco. Czegóż należy żądać od owych osobnych ustaw, które, normując ustrój samorządu mniejszości narodowościowych, dadzą dopiero naprawdę sens ogólny

nikowym określeniom artykułu 109 konstytucji? Aby zachowały spistość ustroju samorządu powszechnego i stworzyły takie jednostki samorządu powszechnego i mniejszości narodowościowych, aby były zdolne do spełnienia powierzonych im zadań. W tym celu jednak należy najpierw ustalić i wprowadzić w życie ustrój samorządu powszechnego. Wogóle cała ta kwestja łączy się z inną jeszcze, również doniosłą: z urządzeniem ustroju niektórych części Państwa Polskiego na kresach. W tym ostatnim wypadku chodzi o wyjątek w stosunku do zasady. Chcąc przeto unormować wyjątek, trzeba wpierw ustalić zasadę, a pod tym względem zaczęto u nas odwrotnie. Mianowicie statut organiczny dla Województwa Śląskiego uchwalono jeszcze przed konstytucją marcową, nie mówiąc już o tem, że niewiadomo dotąd, jak zasady tej konstytucji co do samorządu i autonomji będą wyglądały w urządzeniu ustaw specjalnych. Do zajęcia się najpierw wyjątkiem zmusił nacisk stosunków, zemściło się niezdecydowanie i zwlekanie z zasadniczem urządzeniem samorządu i autonomji w państwie. Otóż ważną jest rzeczą, by nie brnięto dalej na drodze wyjątkowych urządzeń, bo może się snadnie potem okazać, że wyjątki wyrosły ponad zasadę i że nie będzie tej harmonijnej całości, której istotę stanowi równowaga, będąca podstawą normalnego rozwoju państwa.

Wreszcie z kwestyj, łączących się z powszechnym samorządem terytorjalnym, pozostaje do rozpatrzenia jeszcze jedna. Konstytucja stanowi, że jednostki tego samorządu mogą się łączyć w związki dla przeprowadzenia zadań, wchodzących w zakres samorządu i że takie związki mogą otrzymywać charakter publiczno-prawny tylko na podstawie osobnej ustawy. Jakież nasuują się tutaj wątpliwości?

1) Jeżeli związek przyjdzie do skutku w pierwszy z dwu przez konstytucję przewidzianych sposobów, t. j. bez ustawy, to w takim razie związane ze sobą jednostki samorządowe zachowują swoją odrębność, a ich organy swój zakres działania. Jeżeli będzie chodzić o jakąś poszczególną konkretną sprawę, np. o szpital, sytuacja będzie jeszcze mniej skomplikowana, bo może ją uregulować wzajemny układ. Ale przecież konstytucja nie wyklucza związku nawet co do wszystkich spraw, wchodzą-

cych w zakres związanych jednostek samorządowych. A jeżeli tak, to czy da się pomyśleć podobny związek bez ustawy?

2) Ustawa, nadająca związkowi jednostek samorządowych charakter prawny-publiczny, stworzy jakąś wyższą ponad nimi jednostkę samorządową. Otóż stajemy zaraz przed pytaniem, czy jest potrzebny jeszcze czwarty stopień w budowie samorządowej? A drugie pytanie: Czy da się pomyśleć ze stanowiska jednolitości państwa wprowadzenie podobnych wielkich jednostek samorządowych w pewnych tylko częściach państwa? Niewiadomo, czy autorowie konstytucji przemyśleli te konsekwencje dostatecznie i co właściwie mieli na myśli. Jeżeli przyświecał im wzór francuskiej »région«, nad którą we Francji już się od dłuższego czasu zastanawiano, aż ją wprowadzono do projektu reformy administracji, to przeoczono, że we Francji jest tylko samorząd dwustopniowy i że potrzebę stworzenia trzeciego, wyższego stopnia wyniosły na porządek dzienny potrzeby życia. Nie dopatrzone też tego, że we Francji postawiono odrazu sprawę jasno, tak co do zakresu owej »région«, jak i co do jej charakteru prawnego, gdyż przewidziano nadanie jej osobowości prawnej i stworzenie ustawą ustalonych organów. Szkoda też wielka, że nie zwrócono uwagi na ustawę czesko-słowacką z 29 lutego 1920 (Nr. 126 Zbioru ustaw i rozporządzeń) o ustroju władz powiatowych i obwodowych. Otóż ta ustawa przewiduje możliwość łączenia się powiatów samorządowych dla przeprowadzenia wspólnych urządzeń, stanowi jednak, że bliższe przepisy o takim połączeniu i wykonaniu wspólnych urządzeń wyda w poszczególnych wypadkach starosta obwodowy względnie minister spraw wewnętrznych w porozumieniu z ministrem robót publicznych. Zna powyższa ustawa także związki obwodów dla takich spraw, wchodzących w zakres samorządowego obwodu, które wskutek swego zakresu przekraczają potrzeby poszczególnych obwodów, odnoszą się do interesów większej części obszaru związku obwodów, a nie mają znaczenia ogólnopaństwowego. O tem jednak, które to są tego rodzaju sprawy, ma się rozstrzygać w drodze rozporządzenia. Nadto ustawa zgóry ustala trzy ich grupy: właściwą czeską, potem drugą, obejmującą obwody na Morawach, na Śląsku i w częściach należących dawniej do Austrii Dolnej, wreszcie

trzecią, złożoną z obwodów słowackich. Zatem ustawa czesko-słowacka wprowadziła bliższe postanowienia co do zakresu merytorycznego, przy związkach obwodów także co do terytorjum, i oddała decyzję w podstawowych kwestjach rządowi. Mogła tak zrobić, gdyż konstytucja Rzeczypospolitej Czecho-Słowackiej z 29 lutego 1920 (Nr. 121 Zb. ustaw i rozp.) nie skrępowała ustawodawcy, odsyłając w § 89 ustrój władz administracyjnych państwowych i samorządowych do osobnej ustawy i stanowiąc, że ta osobna ustawa przekaże bliższe uregulowanie tej kwestji na drogę rozporządzeń. Uchwalono tam konstytucję i ustawę o władzach obwodowych i powiatowych tego samego dnia. Znaczy to, że w Czechosłowacji odrazu ustalono zasadniczy ustrój administracyjny. Zyskano tem samem jednolity punkt widzenia, z którego będzie się urządzać ustroje wyjątkowe, jak np. przewidziany w § 3 konstytucji dla Rusi Przykarpackiej. U nas — jak już wspominałem — stało się inaczej. Jednak ogólnikowe przepisy naszej konstytucji dopuszczają różne możliwości, chodzi więc o to, by przy uchwalaniu owych specjalnych ustaw, przewidzianych w konstytucji, wybrać z tych możliwości te, które będą w stanie zapewnić równowagę, jako podstawę ładu i zdrowego rozwoju państwa.

Dwa pozostałe samorzady, w y z n a n i o w y i g o s p o d a r c z y, wychodzą poza ramy powszechnego samorządu terytorjalnego. Co się tyczy pierwszego z nich, to pierwszą kwestją jest sprawa uznania związku religijnego przez państwo. Kościół rzymsko-katolicki takiego uznania nie potrzebuje, inne zaś związki religijne mogą być przez państwo uznane, jeżeli nie są przeciwne porządkowi publicznemu i obyczajności publicznej. Z uznaniem łączy się kwestja samorządu i autonomji.

Mianowicie związek religijny, uznany przez państwo, ma osobowość prawną, to znaczy, może posiadać majątek ruchomy i nieruchomy, posiadać i używać swoich fundacyj i funduszków, tudzież zakładów dla celów wyznaniowych, naukowych i dobroczynnych. Samorząd takich związków odnosi się do zarządu ich majątku i wymienionych zakładów i fundacyj i do samodzielnego prowadzenia swych spraw wewnętrznych. Nadto mają one prawo urządzać zbiorowe i publiczne nabożeństwa. Pod względem zaś autonomji, to konstytucja odrazu przyznała Kościołowi

rz.-kat. prawo rządzenia się własnymi prawami, podczas gdy inne związki religijne muszą wpieryw uzyskać uznanie przez państwo ich własnych ustaw, czego państwo nie może odmówić, jeżeli te ustawy nie zawierają postanowień sprzecznych z prawem. Wreszcie stosunek Kościoła rz.-kat. do Państwa ma być ustalony na podstawie konkordatu, a stosunek innych związków religijnych w drodze ustawy, wprawdzie po porozumieniu się z ich prawnymi reprezentacjami, ale przecież jednostronnie.

Wreszcie co się tyczy samorządu gospodarczego, to będzie on stworzony dla poszczególnych dziedzin życia gospodarczego, a z organów jego ma wyjść drogą wyborów pośrednich Naczelną Izba Gospodarcza Rzeczypospolitej. Zadaniem jej ma być współpraca z państwowymi władzami w kierowaniu życiem gospodarczym i prawo inicjatywy w dziedzinie legislatywy w zakresie gospodarczym. Otóż trzeba zauważyć, że, skoro konstytucja marcowa przewidywała samorząd gospodarczy, powinna była pójść jeszcze o krok dalej i liczyć się ze stanem, już istniejącym na ziemiach Państwa Polskiego. Twórcy konstytucji zapomnieli, że są pewne zawodowe związki samorządowe, których zadania ani nie wyczerpują się w zakresie potrzeb gospodarczych, ani nawet nie zmierzają przedewszystkiem do ich zaspokojenia, lecz są znacznie szersze, i z tego powodu organy tych związków są nawet wyposażone w pewne władztwo, objawiające się np. w dyscyplinarnej władzy, wykonywanej wobec członków związku. Należą tu przedewszystkiem związki niektórych zawodów wolnych, jak Izby adwokackie, notarialne lub lekarskie. Są one charakterystycznym wynikiem ewolucji i pominąć ich nie można. Rozumiem, że ich tworzenie, działalność i rozwój mają się odbywać drogą zwykłych ustaw. Skoro jednak konstytucja zawiera zasadnicze przepisy o samorządzie gospodarczym, to nie powinna była przeoczyć samorządu zawodowego i o tyle jest za ciasną.

Do jakiego więc wyniku dochodzimy? Konstytucja marcowa przyjęła dla ustroju administracyjnego zasady dobre i mogące zapewnić na równowadze oparty normalny rozwój państwa. Sposób jednak określenia tych zasad nasuwa wiele wątpliwości i otwiera szerokie pole różnym możliwościom. Zależać więc będzie od specjalnych ustaw, czy te dobre zasady zostaną wypa-

czone, czy raczej potrafi się z nich wykrzesać podstawy dla zdrowego ustroju administracyjnego.

Konstytucja marcowa ma braki i niedomagania, i to nawet niemałe. Bezstronny jednak badacz musi stwierdzić, że w jednym kierunku mimo wszystkiego nie poszła po linii pewnych niepokojących objawów, jakie obserwowaliśmy zaraz w pierwszych tygodniach życia wskrzeszonej państwowości polskiej. W szczególności można w jej ramach stworzyć podwaliny pod spoiste wewnętrzną siłą zespolenie dzielnic. Aby jednak tak się stało, trzeba spełnienia pewnych warunków po stronie Sejmu i po stronie rządu. Co się tyczy pierwszego, to już Andrzej Frycz Modrzewski w swej »Naprawie Rzeczypospolitej« upominał: »A tak niechaj tego pilnie strzegą posłowie, aby dla nich kiedy Rzeczpospolita wielkiej szkody nie wzięła z wielką stanu ich sromotą i nędzą«. Ale na rządzie spoczywa również brzemie wielkiej odpowiedzialności. Sejm dał w konstytucji tylko ogólne wskazania. Teraz jest rzeczą rządu ująć w swe ręce przeprowadzenie tych wskazań i niemi tak pokierować, by z tych zasad wykrzesać każdą myśl rozumną i w roztropny sposób wzniesć na tym fundamencie dobrą budowę. Do tego jednak musi rząd mieć pełną świadomość wielkiego celu i środków, do niego zmierzających, i pamiętać o kardynalnej zasadzie, której Modrzewski żądał od królów, »aby rzeczpospolitą nad inne wszystkie rzeczy miłowali, żadnej części jej nie zaniedbywali«.

TRZECIA KSIĘGA

NAUKA I SZKOŁA

DR. JAN MICHAŁ ROZWADOWSKI
PROFESOR UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

SPOŁECZNE ZNACZENIE NAUKI

Człowiek bywa zdrowy, bywa chory: nawet najzdrowszy czasem słabuje. Występują nieraz nagminnie choroby i ciężkie zarazy i trzeba stałej uwagi, wysiłku i »przyrodzonego« sposobu życia, aby zdrowie utrzymać, a od choroby się bronić. To samo jest z życiem psychicznym.

Że choroba jest pojęciem — jak i zdrowie — względnym, że jest właściwie walką organizmu o zdrowie, że jest zjawiskiem stałym, a nie wyjątkowym — wszystko to dobrze wiadomo. Ale również pewną rzeczą jest to, że istnieją stany, które właśnie jako choroby odczuwamy, kiedy się źle czujemy, i że ulega im także nasze życie duchowe, zarówno jednostkowe, jak społeczne.

Nasze życie duchowe, to znaczy zatem kultura ludzka, dziedzina religji, nauki i sztuki i całe wogóle nasze działanie. Bywa zatem także nauka zdrowa, bywa i chora, i wymaga, jak wszystko, ciągłego czuwania, wysiłku i trzymania się w garści, aby się bronić od chorób — które i tak musi przebywać — a zwłaszcza aby nie ulec zarazie.

Sam jestem człowiekiem nauki i nie przykrawam jej żadnymi nożycami, ani »dobrze myślących« starych krawców, ani »postrzelonych« młodych krawczyków; jej siły i słabości nie mierzę niczym łokciem, tylko jej własnym i życiowym; tem prapierwotnym czuciem prawdy, mocy i uczciwości, na którym jak na

kotwicy stoi dusza ludzka — albo się błąka na morzu życia jak latający Holender. Jeżeli tedy mówię o szkodliwości i użyteczności nauki, jej kierunków i stanów, to tylko w takim rozumieniu rzeczy i w takim zamiarze, a jeżeli błędę, to tylko z przyrodzonej ludzkiej głupoty, zarówno powszechnej, jak swojej własnej, nie zaś z namaszczonej obłudy.

Jakież więc jest znaczenie nauki w stanie zdrowia i siły dla człowieka, społeczeństwa, dla narodu i ludzkości?

Nad jej praktycznym znaczeniem nie będę się rozwodzić; dosyć rzucić okiem na potężną materialną kulturę, na całą technikę i zastosowanie nauki w życiu, aby zrozumieć ścisły, wzajemny związek ludzkiego działania i nauki: działanie pobudza naukę, nauka pomaga działaniu.

Daleko ważniejszą rzeczą jest rola nauki w wewnętrznym życiu człowieka, bo cała kultura i wszelkie działanie jest zewnętrznym objawem tego, co się w samym rdzeniu żywej jednostki układa i tworzy; jest wytworem, często tylko znakiem, przebiegów i stanów psychicznych. Nauka, jako poznanie życia i otaczającej nas rzeczywistości, nie tylko uczy z tej korzystać, a tamto rozwija, ale ten stały i ogromny wysiłek poznawczy wnika coraz dokładniej w to, »co jest«, prowadzi z wolna, ale nieustannie, do coraz większej zgody między nami a rzeczywistością poza nami; sięga poza powszednią, wierzchnią zjawiskowość — i przez to się całe nasze życie potęguje.

Nauka odkrywa prawidłowość zjawisk, ich związki i układ, odnajduje porządek w chaosie szczegółów; uczy, co jest właściwą, niezmienną trwałością wbrew powierzchownemu doświadczeniu. Burzy przesady i uprzedzenia, wyzwala nas z wolności z naiwności wniosków; przez nią wyswobadza się dusza ludzka z różnorodnych więzów, uczy zaufania we własne siły, a równocześnie uczy mądrej i wzniosłej pokory. To znaczy: kiedy dochodzimy do granic, albo raczej do ostatecznego natężenia poznania, kiedy przewyciężymy przyrodzoną swoją niewiedzę, wtedy dopiero rozumiemy tę zasadniczą »niewiedzę« naprawdę i zdajemy sobie z niej jasno sprawę; wtedy dopiero zyskujemy dostępną dla nas »mądrość«. I znowu: kiedy się wzniesiemy do ostatecznego napięcia mocy, kiedy przewyciężymy swoją przyrodzoną niemoc i bezwładność, wtedy dopiero zdajemy sobie naprawdę z nich

sprawę i zdobywamy właściwy dostępny dla nas szczyt moralności, »pokorę«. To jest kwintesencja ludzkiej mądrości i mocy.

Czyż trzeba osobno wywodzić, że z tego wyrasta charakter i prawdziwa »ludzkość«?!

Nauka jest jednym z konarów drzewa życia. A skoro szkoła ma zaznajamiać z elementami życia i przygotowywać do niego wśród otaczającego nas świata, to jest rzeczą pewną, że między nauką a szkołą musi i powinna panować zupełna zgoda. Muszą być te same podstawy, aby z nich wypłynął ten sam nastrój. Jest bardzo źle, jeżeli między szkołą a nauką są rozdźwięki i sprzeczności, jeżeli z jednej strony uczy się o rozwoju człowieka, świata organicznego, ziemi i wszechświata, a z drugiej »uczy się« Starego Testamentu,¹ jeżeli moralności »uczy się« zapomocą kucia oderwanych i niezrozumiałych określeń i formuł, których zbiór nazywa się Katechizmem; jeżeli szkoła zostaje za nauką bardzo w tyle, jeżeli wlecze za sobą przestarzały balast, hoduje przerost literatury albo matematyki, widzi zbawienie albo tylko w przedmiotach humanistycznych, albo tylko przyrodniczych, jeżeli nie zaznajamia z nauką o kulturze, nie rozumie właściwego stosunku między faktem a jego pojmowaniem; jeżeli nie zdaje sobie z tego jasno sprawy, że na jednej szali wagi jest wysiłek, tak, wysiłek i nabywanie przyzwyczajień i wprawy, a na drugiej swoboda i samodzielność obserwacji, rozumienia i pracy, i że nie wolno przesadzać ani w jednym, ani w drugim kierunku, bo z tego nie tylko nie wyniknie nic mądrego ani dobrego, ale owszem wiele złego i głupiego; że wreszcie razem z mocną nauką o kulturze w szerokim tego słowa znaczeniu powinien młodzieniec brać ze sobą na drogę życia jasne wyobrażenie o tym olbrzymim wysiłku ludzkości, jaki nazywamy filozofją.

Uczciwa nauka wyrabia jasny realizm, potrzebny, aby nie być niedołągą i widzieć ziemię pod nogami, a uczy też mocnego idealizmu i nie dozwala nurzać się w błocie materializmu i bestjalności; uczy obiektywizmu i bezinteresowności i pracy — wszystko rzeczy pierwszorzędnej wagi dla człowieka i społeczeństwa; niczem

¹ Jest tu zresztą często także niezgoda z moralnością, tak boleśnie i oddawna przez myślących chrześcijan odczuwana. Te sprzeczności napozór niby niewiele szkodzą, ale ostatecznym ich rezultatem jest zachwianie albo religii, albo nauki, a właściwie obojga.

niezastąpione. Systematyczne zaznajamianie z podstawowemi faktami »poznania«, to nie tylko szkoła nauki, ale i życia, moralności i pracy, ścisłości i jasności myślenia.

Przypatrzmy się teraz nauce chorej. Po upadku grecko-rzymskiej kultury nauka, zaniedbana i osłabiona, długo chorzała wśród barbarzyńskich społeczeństw Europy; potem popadła w niewolę teologiczną, czyli jej naturalny stosunek i związek z resztą kultury uległ wywichnięciu. Zaś po ostatecznem zwaleniu średniowiecza, jego haseł i ideałów, po wydobyciu się z niewoli scholastycznej, po posadzeniu na ziemskim tronie wszechrzeczy człowieka, jego rozumu i jego »ja«, wśród nowej fali barbarzyństwa i odrodzenia, niesionego przez zdobywające prawa masy, zakwitła nauka wspaniale, tak wspaniale, że aż poczęła chorzeć. Przerost obserwacji, doświadczeń i faktów, często pozytywistyczna hiperkrytyka chłopskiego zdrowego rozsądku, gubienie się w szczegółach, podziałach i osobnych dyscyplinach, przerost nauk przyrodniczych, odwrócenie się od filozofji i od nauk duchowych — wszystko to wywoływało w drugiej połowie XIX wieku różne niepożądane objawy. Najgorsze jednak to to, jeżeli nauka, to znaczy oczywiście taki prąd wśród uczonych, zapomina o tem, że jest tylko jednym ze stanowisk, zajmowanych przez człowieka wobec rzeczywistości, a nie jedynem, i jeżeli, w ślad za tem, popada w tendencyjność i megalomanię, pewną martwość i urzędową wyłączność. Patrzyliśmy na to nieraz. Ze wzrostem idei państwowej w Europie, z upaństwowieniem szkół i wszechnic była nauka narażona na nowe zwichnięcie, szczególnie nauki humanistyczne, łatwo idące w służbę narodowego egoizmu i imperjalizmu państwowego. Wielkim i odstrasającym przykładem tego, to wpływ pruskiej idei państwowej, jako przedstawicielki niemieckości, na teorie etnograficzno-historyczne, na zrównywanie pojęcia rasy germańskiej z indoeuropejską czy aryjską, i wywodzenie z tego tezy o wyższości germańskiej i co z tego, rzekomo dla dobra ludzkości, miało wynikać, i co w imię tego należało, nie oglądając się na sentymentalną rzekomo moralność, robić. Pewne, liczne nawet, niezaprzeczone i wysokie zalety moralne ludu niemieckiego uogólniono bezwzględnie w imię egoizmu narodowego, hodując prądy i hasła »wszechniemieckie«, a wywołując mniej lub więcej udane naśladownictwo gdzieindziej;

i u nas zrodziła się »wszechpolskość« — powiała zaraza na świat cały.

Historja własnego narodu bywa też prawie zawsze zaprawiona megalomanią, egoistycznie, tendencyjnie, przecenianiem siebie i własnego znaczenia, a niedocenianiem albo wprost niesprawiedliwą oceną sąsiadów, zwłaszcza zaś wrogów. I u nas się to teraz systematycznie wszczepia przez t. zw. naukę »obywatelską«, a broni się tego stanowiska potrzebą wychowania państwowego, optymizmu i dodawania otuchy. Ale równocześnie słyszy ten młody obywatel na lewo i prawo ciągłą krytykę wszystkiego, drwiny z rządu i władz, narzekanie na ogólną nieuczciwość itd. bez końca! Więc jakież może być z tego wynik?! Najlepszą i jedyną drogą, prowadzącą do celu, jest zawsze prawda. Poznanie prawdy o sobie, poznanie zarówno swych zalet, jak niedomagań moralnych nie jest wprawdzie jeszcze środkiem do rozwijania jednych, a poprawiania drugich, ale jest koniecznym początkiem. Miłość ojczyzny nic na prawdzie nie ucierpi, tak samo jak szeroki, ogólnoludzki horyzont nic a nic jej nie szkodzi — przeciwnie!

Jest jeden tylko dobry i naprawdę skuteczny »imperjalizm«: jeżeli się opiera nie na etykietach, zarządzeniach policyjnych, napisach, odbieraniu praw drugim, gwałcie i bezprawiu, tylko na realnej wartości własnego społeczeństwa, na rzeczywistej jego kulturze: niema innego naprawdę skutecznego środka — rzeczywistość nie da się oszukać! Zwyczajnym imperjalizmem można tylko na chwilę coś uzyskać, ale potem tem rychlejsze i smutniejsze przebudzenie — bo przecież z bezsilności nie da się wykrzesać siły! I żadna t. zw. realna polityka nic na to nie poradzi, choćby się na łbie stawiała!

Wraz ze zdobywaniem praw obywatelskich i politycznych przez szerokie masy, a także pod wpływem silnie odczuwanej potrzeby oparcia państwa o cały lud, a nie tylko na wyższych jego warstwach, zabrzmiało wszędzie hasło: oświaty! i rozpoczęło się gorączkowe kształcenie ogółu, nadrabianie zaniedbań przeszłości, rozpowszechnianie nauki i wiedzy. Ale przytem nauka poczęła się zabarwiać politycznie i socjalnie, wykłady i uniwersytety »wolne«, »ludowe« przeciwstawiały się nauce i szkołom »urzędowym«, »tradycyjnym«, niby przeciwstawienie postępu

i swobody zacofaniu i rutynie. I często ginęło z oczu bezstronne »poznanie«, a wysuwały się na pierwszy plan tendencyjne teorie, nieprzemyślane problemy, jednostronne oświetlenia. Że zresztą nauki przyrodnicze same z siebie miały dosyć radykalnych skłonności, więc zaczęło się burzenie na wyścigi wszelkich tak zwanych »autorytetów«, jako oznak zacofania, usuwanie tradycji w kulturze, zbyt gwałtowne zrywanie z przeszłością — aż wreszcie nowożytna ludzkość straciła prawie zupełnie mocny grunt pod stopami i doszczętnie się zdeзорientowała. Przyszedł Lenin, Trocki..., Lenin, który z naiwną otwartością przyznaje, że się pomylili, że nie przypuszczał, aby bolszewizm miał takie straszne następstwa. Oto skutki głupiej popularyzacji »wiedzy«, podstawiania doktryny zamiast rzeczywistego »poznania«.

Niezawsze tedy bywa nauka zdrowa, uczciwa, nieuprzedzona... o tem trzeba pamiętać, aby wogóle choroby nie uważać za zdrowie, zwyrodnienia za ideał — a z drugiej strony, pamiętając, że »zdrowie« i »choroba« to tylko stany jednej fali, nie wpadać w przypadku choroby zaraz w rozpacz i nie uważać np. bolszewizmu za koniec świata. Wszystko to już było, tylko w innych warunkach i w innej postaci — i jeszcze będzie.

Zresztą, co do nauki, to jej słabości i podłości bywają częściej własnością jej przedstawicieli i uprawiaczy, aniżeli nauki, jako całości.

Zreasumujmy.

Nauka, ten nieustanny, olbrzymi, »poznawczy« wysiłek całej ludzkości, wypływając z życia i działania człowieka, czyni nawzajem to życie i działanie coraz potężniejszym; jest konieczną i skuteczną bronią w walce o byt, zarówno pokojowej, jak orężnej; przyświeca człowiekowi na jego drodze, a rozjaśniając mroki jego bytu, jest przez to samo potężnym czynnikiem moralnym, podobnie jak sama jawność obrad i postanowień w każdym zbiorowisku ludzkim w tej chwili *eo ipso* poziom etyczny podnosi. Rozświecając mroki, wnikając w istotę zjawisk, wyswobadza nauka człowieka od więzów ciemnoty, przesądów, nieistotnych związków, niezasłużonych przywilejów i od skostniałych form życia, a zarazem uczy, że bez tradycji i bez form życie istnieć nie może — o to tylko chodzi, aby ten wzajemny stosunek tradycji i postępu jasno rozumieć. Nauka uczy człowieka objek-

tywizmu, wykazuje obiektywność naszych dążeń moralnych, religijnych i metafizycznych, a zarazem ich nieustanną ewolucję; jest wielką wychowawczynią ludzkości w imię Prawdy, tej prawdy, która nawet w codziennym życiu, na każdym kroku, w najdrobniejszych sprawach się objawia, bo nikt, nawet najzdolniejszy i najsprytniejszy, nie jest w stanie na długo nadać kłamstwu pozorów prawdy!

Uprawiać naukę samodzielnie i z pożytkiem mogą oczywiście tylko ci, co na to się urodzili, tak samo, jak w każdym innym zakresie działalności kulturalnej, ale przyswajając ją sobie, korzystać z niej, mieć do niej prawo, uważać ją za swoją i rozumieć jej rolę powinien każdy członek nowożytnego społeczeństwa, od góry do dołu.

Słabościami i przesileniami, które są konieczne, się nie przerażać, ale i nie uważać ich za wykwit kultury; pamiętać, że ani same nauki przyrodnicze, ani wyłącznie humanistyczne człowieka nie zbawia, bo razem dopiero tworzą całość. A wreszcie: nie tylko nauka istnieje na świecie, ale także dziedzina religii i moralności, sztuka i działanie, — nauka to właśnie część działania ludzkiego, czyli życia.

DR. KAZIMIERZ MORAWSKI
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

NOWA EPOKA LUDZKOŚCI I SZKOŁA KLASYCZNA

Po ostatniej wojnie światowej, ogłoszeniu hasel bezwzględnej demokracji, zrodził się w wielu umysłach zamiar, aby stanowczo zrywać ogniwa, łączące nas z przeszłością, a nową erą zaznaczyć nowymi porządkami i kierunkami we wszystkich nieludwie życia dziedzinach. Goethe kiedyś powiedział, że biada wnukom, którzy się uginają pod spuścizną dziadów; bezwzględni więc postępowcy chcieliby zrzucić te wnuków dziedzictwa i we wszelkich zakresach być ojcami i praojcami nowych kierunków... bez przodków. Zakotłowało wskutek tego także w dziedzinie zagadnień wychowawczych. »Nowi ludzie« zaczęli przemyślać o przyszłych pokoleniach i szerzyli przekonanie, że starzy ludzie, a przede wszystkim starożytni, nie powinni być dopuszczonymi do słowa w świecie zupełnie odmiennym, który na innych torach szukać będzie szczęścia człowieka i ludzkości. Burza się tedy zerwała nad tradycyjną pedagogią i szkołą. Wśród łoskotów walki doniosłe gromy i wielkie pożogi padły na nasz kraj, który w radykalizmie prześcignąć nieraz usiłował bardziej zrównoważone i dojrzalsze społeczeństwa Zachodu, Anglię, Francję i Amerykę. Podczas gdy w tych krajach, jako też i w Niemczech, uszanowano i w znacznej mierze zachować zamyślają humanistyczne zakłady i na świecie starożytnym budować dalej duszę

społeczeństw, u nas wyznaczono szkole dawnej zaledwie czas ostatecznej próby, kilkunastoletni byt skazańca, a więc właściwie zawyrokowano jej wymarcie. Jakby ta szkoła w całym świecie już owocnych wyników nie była wykazała, jakby nie była przetrwała już lat kilkuwiekowej próby zwycięsko!

Dalekimi jesteśmy od żądań i pragnień monopolu, owszem, uważamy różnorodność typów szkolnych za konieczność i błogosławieństwo dla naszego narodu. Niemniej w interesie naszej kultury, nie tej, która jedynie na doraźny zysk jest obrachowana, i nie tej zdawkowej, która z drugiej i trzeciej ręki, a nie u źródeł, czerpie swe »ogólne wykształcenie«, uważamy zachowanie typu klasycznej szkoły za potrzebę narodu i pewną jego cywilizacji rękojmię. Nie będziemy się tu bawić w błędnych rycerzy, walczących za wyszarżale sztandary, ani też w okopach Świętej Trójcy bronić jako ostatni szermierze spraw straconych, bo żywymy przeświadczenie, że przy życiodajnym stoimy sztandarze; a choć uwagi nasze nie przekonają zawziętych postępowców w kraju, sprawa, rzekomo stracona, nie będzie nią w świecie i po latach dojdzie do praw swoich, podyktowanych rozumem i nauką historii, także i u nas. Doświadczenia czasów ostatnich nauczyły wymownie, że uczniowie zakładów klasycznych nie zerwali bynajmniej związków z teraźniejszością, lecz w przednich szeregach dawali swe życie za ojczyznę na polu walki, a naukę swoją dla ojczyzny poza szeregami, w domu.

Dawniej broniono często zakładów klasycznych tym argumentem, że one uprawiają dziedzinę bezinteresowną, udzielając wiedzy, której nie można odrazu zmienić na dotykalne korzyści, a przeto krzewią idealizm w młodych umysłach. Nie odmówimy tym argumentom pewnego znaczenia. Ale ostatecznie idealizm może także na innych drogach dostawać się do umysłów młodzieńczych, nie zaś przez takie okężne i odległe przedzierać się ostępy. Idealizm wsiąka w dusze przez naukę religii i słowa Chrystusa Pana, przez życie z przyrodą i zgłębianie jej tajników, przez znajomość i zrozumienie nowoczesnych i wzniosłych utworów literatury, a niekoniecznie trzeba by poń sięgać aż do Rzymian i Greków. Umysłu, który chciałby doraźnie zmieniać wszystko »na drobne«, nie podniosą ani uszlachetnią środki bezinteresowne z greckiej lub rzymskiej apteki. Ale obok uszla-

chetniającego wpływu niosą te środki wyraźne i namacalne korzyści.

W progu jednak tych rozważań stają przed nami ci, którzy wszelkie trudności jednym usuwają i rozcinają zamachem, chwalecy tłumaczeń. Nie zaprzeczają oni błogosławionych wpływów starożytnej literatury, lecz zaznaczają stanowczo, że, aby oszczędzić znoju i straty czasu przy uczeniu się starych i zamartwych języków, należy się posługiwać nowożytnymi przekładami arcydzieł starożytności. Dowcip, przygodnie rzucony przez Heinego o Rzymianach, że dlatego świat podbili, bo nie potrzebowali lat swych marnować na wyuczanie się łaciny, przypadł do przekonania pewnych ludzi stanowczo. Jakby przekład, choćby względnie dostateczny, mógł wspomnianym potrzebom zadosyć czynić. Jeżeli będzie dosłownym, to kaleczyć będzie najczęściej myśli nasze i uczucia i ściągnie twór wrodzonego natchnienia na poziom lichej przeróbki, czegoś prozaicznego, co zagranicą »oślim mostem« nazywają; jeżeli zaś będzie mniej dosłownym, nie pozbawionym polotu i nastroju, to zabarwi częstokroć obcemi wtrętami myśl i uczucie starożytne i da nam coś oryginalnego, nowożytnymi natchnionego myślami, co nie pokryje oryginału. Wszelkie usiłowania tłumaczy nigdy nie oddadzą w całej pełni rdzennych myśli pierwowzoru; jest to zmaganie się z obcym duchem, z którego tylko w przybliżeniu wychodzi się zwycięsko. Ani język nasz, ani bieg naszej myśli nie odda najczęściej bez reszty tego, co w obcym świecie i języku powstało; względnie więc dobre tłumaczenie wypłynęłoby chyba z pod pióra głębokiego językoznawcy i człowieka, który wchłonać do pewnego stopnia zdoła cudzą duszę; takie jednak metempsychozy są rzadkim objawem.

Nie odmówimy mimo tego oczywiście znaczenia i dobroczynnego wpływu przekładom; zgotują one nam wzbogacenie naszego wnętrza i rokosze estetyczne, ale oszczędzą trudu wczytania się i zagłębienia w tajemnice pierwowzoru, a ten trud i ten znój tysiączne niesie korzyści, których żadne estetyczne, bezznojne rokoszowania nam nie zapewnią. A chociaż w Rzymie szkoła nazywała się niekiedy zabawą (*ludus*), a w Grecji wyraz, od którego nasza »szkoła« pochodzi, oznacza pierwotnie wczas, to jednak nie chcielibyśmy ze szkoły trudu i wysiłku osobistego

wykluczyć. Przejmowanie bierne i łatwe nauki bez gorliwej pracy i współpracy dziecka może oczywiście mu przynieść pewne wiadomości, być rodzajem igraszki i wytchnienia, ale nie wykształca w niczem jego charakteru i nie ujędrni mu woli, a o to w pierwszym powinno rzędzie nam chodzić. Dlatego trud pewien jest nieodłącznym warunkiem i znamieniem dobrej szkoły, choćby mięccy rodzice nań sarkali i miększa jeszcze dziatwa.

Wnikanie w treść starych, obcych wyrazów i zdań o odmienniej od naszych budowie, zmusi nas do gimnastyki myśli i rozumu, a zarazem każe się naszemu językowi naginać do rozmaitych, nieznanym mu odcieni i tak mowę naszą i ducha ubogaci. Tłumacz, jak mówił bystry uczony Jakób Bernays, może się równać ze zdobywcą, który łupy po obcych krajach zagarnięte zanosi do swej ojczyzny, w której odtąd ten pożyteczny nabytek pozostanie i rozwijać się będzie przez wieki. A gdyby kto powiedział, że takie same korzyści odnieśćby można z czytania nowych, obcych autorów, to śmiemy mu powiedzieć, że się myli. Bo stare języki mają odrębnego ducha, odmiennego od nowożytnych, nakłonią nas więc do większego, zbawczego w celu ich zrozumienia wysiłku, a przytem w gramatyce mają daleko przejrzystsza budowę, niż języki nowożytne, i bogactwem swych form językowych, zatraconych w nowożytnych mowach, skłonią nas do przenikania rozmaitych myśli odcieni, a zarazem tych odcieni zrozumienie ułatwią. Przytem wśród nowożytnych narodów jest pewna pokrewność myślenia a wśród ich języków ciągła i stała wymiana pożyczanych z obczyzny wyrazów, które jak konwencjonalne, zdawkowe monety obiegają po wszystkich krajach, o zblakłym, często niejasnym już znaczeniu. Takimi nazwami opatrywa nowożytny człowiek częstokroć niejasne swe pojęcia. Niejeden wyraz, który dziś jako termin stały i techniczny krąży po całym świecie, znajdziemy po raz pierwszy w źródle greckim czy łacińskim i będziemy musieli dokładnie go objaśnić i zrozumieć.

Ale to zyski, które uchodzą w wielu oczach za mniejszej wagi nabytki, a składają się na tak zwane formalne wykształcenie umysłów. Wspomnieć więc warto z naciskiem rzeczowe korzyści, które ze źródeł starożytnych przypadną nam w udziale

Młody uczeń obcuje w tej dziedzinie z duchami, które stoją w samych progach głównych rodzajów literatury i nauki pokoleń. Pozna więc ojca epopei przez Homera, praojców naszych tragedyj, choćby tylko Sofoklesa, przemówi doń czar i naiwność wczesnego historyka Herodota, może zapozna się z powagą Tucydidesa, dalej nauczy się na Rzymianach literatury pochodnie odróżniać od oryginalnej, zakosztuje niewątpliwie w romantyzmie i dźwięczności Wergilego i trzeźwych, pełnych zdrowia Horacego utworów, przejmie może nieco siły i jędrności od Cezara, wysłyszy walki wewnętrzne z pamfletów Sallustjusza, rozmiłuje się w psychologicznych Tacyta obrazach. A choćby szkoła tego doraźnie w całej pełni nie osiągnęła, to siejby, rzucone w dusze, zejną później gorącym autorów starożytnych wspomnieniem i głębszą ich miłością. Bo wbrew głosom sceptycznym tych, którzy naukę starożytności w szkołach za stratę czasu i nakładu ogłaszają, śmiem twierdzić, że znałem bardzo wielu ludzi, którzy w najrozmaitszych powołaniach życie swe krzepili i krasili powracaniem w późniejszym wieku do klasyków, poznanych w młodości.

A to, że świat starożytny stanowi już zamkniętą w sobie całość, w której bez przymieszki naszych namiętności oglądamy przyczyny i następstwa, śledzić możemy błędzenia ludzi i dzielne ich zamiary, fałszywe kroki lub błogosławione czyny, wiodące do szkody, upadku lub do podniesienia ojczyzny i chwały, niezrównaną jest mistrzynią dla późniejszych państwa obywateli. Powiedzą mi może, że historyczne opowiadanie bez poznania źródeł tego samego dokáže, ale śmiem twierdzić, iż szkoła klasyczna daje jedyną okazję czerpania historycznych wiadomości ze samych źródeł, a nauka, na źródłach oparta, jest zawsze żywszą, owocniejszą od wiedzy, przez pośredników wpojonej. Kto w religijnem swem życiu nie czyta ewangelji i pisma świętego, nie zdobędzie się nigdy na serdeczny, gorący do Chrystusa stosunek. — Jest ta literatura starożytna i nauka starożytności wielką ostoją pokoju, w której nie kłębią się ani nie kotłują walki nasze bieżące i nie grają nasze namiętności; przejście przez te ostępy i przypatrzenie się dokładne objawom starożytnej ludzkości uzbraja, na burze życia, przynosi zrozumienie walk naszych pokoleń, a także często wyrozumienie niezbędne. Uczymy się na

starożytności historii, historjografji i nabywamy przygotowania do późniejszych osobistych działań.

Poza burzami naszego wieku znajduje się także moralność starożytnych, inna jak nasza, ale bardzo cenna pod niejednym względem. W czasach, kiedy moralizowanie się zużyło i mało przemawia do większości ludzi, kiedy religja nie trafi łatwo do wielu serc i rozumów, wielkie prawdy moralne, ubrane przez starożytnych w piękne i zwarte nieraz formy, będą sukursem etyki i drogowskazem wśród błędzeń i rozterków żywota. Ta świecka moralność, leżąca poza przeciwieństwami religijnymi i patriotycznymi, które nasz świat dziela, rzuci w młodzieńcze dusze hasła, które z wiekiem nie zatrą się w zapomnieniu, lecz naprostują i wskażą niejednemu drogi życia w wahaniach. A że dla wielu przykłady starożytności były wielką szkołą miłości ojczyzny, to stwierdziły i życiorysy osobników i roczniki historii.

Dalej zaś z tego źródła, zawsze tego samego, biją obfite błogosławieństwa dla literatury. Chleba duchowego mimo realizmu wieku i ciężkich warunków życia potrzebować będzie ludzkość, a piśmiennictwa wszystkich narodów wykazują zgodnie, że wszelkie wzmożenia się literatury, przyplwy jej żywotności, zbiegają się zawsze z cieplejszym stosunkiem do starożytności. Wystarczy z naszych pisarzy wspomnieć Kochanowskiego i Mickiewicza; Fryderyk Nietzsche wątpił, aby kto pisać umiał porządnie bez Rzymian. Klęską więc dla narodu byłoby to zerwanie ze starożytnością, krokiem wstecznym naszej cywilizacji, któryby groził znacznem obniżeniem się poziomu. Bez nauki prawa rzymskiego na źródłach ledwie się doczekamy tak upragnionego męża stanu o silnej myśli i dłoni, bez rzymskiej literatury i jej krzepiącego balsamu narazimy naszą literaturę na zwątlenie, niejasność i mieliznę myśli, bez oglądania twarzą w twarz greckiej piękności obniżymy zmysł piękna i do piękności tęsknotę. Żadne surogaty i pośrednictwa nie powetują szkód i strat, któreby z wyschnięciem tych natchnień, co tyle już podsycaly pokoleń, na nas przypadły.

Kiedy w naszym społeczeństwie, tak jeszcze dalekiem od prawdziwej kultury, kruszyć i niszczyć zamyślają podstawy, na

których oparła się cywilizacja zachodu, wyszła w Ameryce księga, a raczej manifest tych wszystkich, którzy nauki klasycznej bronią i przy jej sztandarze się opowiedzieli.¹ Cały zastęp słynnych osobistości wypowiedział te zdania stanowczo, począwszy od czterech prezydentów Stanów Zjednoczonych, Clevelanda, Roosevelta, Tafta, Wilsona, ministra Lansinga i innych znakomitości. Wszyscy oni zgodni w świadczeniu, że szkoła klasyczna doskonale przygotowuje do wszelkich praktycznych zawodów, do obcowania z ludźmi i rządzenia ludźmi, nawet do wojennych przedsięwzięć. Jeden z teologów protestanckich powiada, że niezajomość greczyzny i łaciny byłaby klęską i wstydem dla chrześcijańskich społeczeństw, których główny zakon nauki i moralności księgą jest grecką, podczas gdy najstarsza teologiczna literatura i najliczniejsza spisana jest po łacinie. — Ale my chcielibyśmy być bardziej »postępowymi« od Amerykanów!

Szkoła humanistyczna, zwana czy uczoną czy łacińską, była kiedyś prawie szkołą jedyną; chodzili do niej tylko wybrańcy z klas zasobniejszych. Broń nas Boże przed tym monopolem i wyłącznością. Dziś, kiedy szkoła otworzyła swe wrota dla mas szerokich, powinna ona rozmaitemi typami służyć ogółowi, do różnych się nadawać uzdolnień. Ale obok szkół realnych i pół-realnych należy pozostawić stanowczo pewną liczbę szkół klasycznych, w którychby starożytne języki były kręgosłupem wychowania i wykształcenia. Nie wielbionoby w nich starożytnych jako niedoścignętego ideału piękna i cnoty, jako nadludzi, lecz jako prostych śmiertelników, którzy czyto o sztuce rządzenia ludźmi, czyto o sztuce życia i pisania niejednego pouczyć zdołają. Były zapewne w tych klasycznych zakładach niedomagania, czemu przeczyć nie myślimy. Kiedy się ograniczy ich liczbę, a nauczyciele i uczniowie z większym doborem i z powołaniem jedynie do nich wstępować będą, zanikną z biegiem czasu te braki. Zrywając zaś ze starożytnością, zerwalibyśmy węzły z przeszłością i macierzą naszej cywilizacji i oddalilibyśmy się od Zachodu. Naród nasz uchodzi za bardzo religijny; w dzisiejszym czasie, w którym religijne problemy tyle umysłów i pracy zajmują w całym świecie, u nas ruchu w tej

¹ *Value of the classics*, Princeton (Univ. Press.) 1917.

dziedzinie bardzo niedużo; wstydemby było i szkodą niepowetowaną dla Polski, gdybyśmy zaniedbaniem greki i łaciny odgradzili się jeszcze bardziej od języka naszego Kościoła i dokładnego zrozumienia tych tworów, które widnieją na czele chrześcijańskiej literatury i nauki.

DR. MICHAŁ SIEDLECKI
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

KILKA UWAG O NAUCZANIU NAUK PRZYRODNICZYCH

W r. 1919 wystąpiło Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego z projektem zmiany systemu szkół średnich w Polsce. W wybornie napisanej broszurze p. t. »Program Naukowy Szkoły Średniej« (Warszawa, u Łazarzkiego 1919), wydanej przez Ministerstwo, rozwinięto zasadniczą myśl wprowadzenia jednej grupy przedmiotów, jako podstawy wychowawczej, około której mają się układać zespoły innych przedmiotów nauczania, dające to wszystko, co potrzebnem być może do uzupełnienia średniego wykształcenia. Przedmiot, stanowiący »podstawę wychowawczą«, ma być tym »warsztatem rozwoju umysłowego młodzieży«, który ma prowadzić do rozwoju zdolności myślenia i dojrzałości duchowej, będącej głównym celem nauczania w szkole średniej.

Zdaniem autorów projektu »grupą przedmiotów, nadającą się wprost idealnie na podstawę wychowawczą szkoły, są nauki matematyczno-przyrodnicze«..., a to z powodu koniecznej przy nich ścisłości obserwacji, precyzyjnego formułowania myśli, gruntowności badań, a zwłaszcza z powodu ścisłego związku tych nauk z życiem.

Po projektach przyszła kolej na czyny, na reformę nauczania i stworzenia różnych typów szkół średnich, zaś w już istniejących szkołach na próby zmian dotychczasowego systemu nauczania. Krótki okres tych prób, rozmowy z pedagogami i uczniami oraz obserwacja młodzieży nasunęły mi parę uwag o obecnym systemie i jego podstawach; pragnę podać je na tle pewnych, ogólnych rozważań, które oprę przeważnie na sprawach, związanych z naukami biologicznymi. Nauki przyrodnicze, mojem zdaniem, zupełnie inną mają wartość dla ludzi o umyśle dojrzałym i wprawnym w myślenie, niż dla młodych umysłów, które dopiero zaczynają poznawać świat, jako szereg zjawisk. Podczas gdy dla dojrzałego umysłu związek między zjawiskami, ich wzajemna zależność, teorie i hipotezy, na nich oparte, słowem próby syntezy — stanowią źródło zainteresowania, a nawet nieraz podstawę do ułożenia stosunku człowieka do przyrody i do innych ludzi — to umysłowi młodemu, chwytającemu dopiero materjał do poznania świata, imponują przedewszystkiem fakty w ich najprostszej formie. Młody szuka »nowości kwiatu«, szuka niewątpliwych praw przyrody; chce mieć pewne podstawy, jasną a prostą drogę myślenia. Jest więc rzeczą niezmiernie trudną dla umysłu dojrzałego nagiąć się do tej psychologii młodego ducha i dać mu przedewszystkiem to, co on pochwyci i z czego potem skorzysta, a nie wprowadzać go w świat rozważań dojrzałych, narazie do młodej duszy nie przemawiających, a nawet dla niej niedostępnych. O tem zaś niezawsze się pamięta podczas nauki szkolnej, rzadko zaś w podręcznikach dla szkół średnich.

Na właściwą wartość nauk przyrodniczych dla człowieka składa się bardzo wiele ogniw. Jednym z walorów, często przytaczanych wówczas, kiedy chodzi o wykazanie wartości nauk przyrodniczych wobec ludzi, nie mających przyrodniczego wykształcenia, są praktyczne korzyści, wynikające z badania przyrody, jak np.: Poznanie i opanowanie sił przyrody, zbadanie pasorzytów człowieka, zastosowanie zdobyczy nauki do techniki lub medycyny itp. Mówi się też zwykle, że przez te zdobycze są nauki przyrodnicze »związane z życiem«, w szkole zaś podkreśla się i podnosi tę praktyczną stronę bardzo dobitnie, tak, jakgdyby ona stanowiła największą wartość tego działu wiedzy. Związek nauk przyrodniczych z życiem jest jednak daleko

głębszy; zdobycze, dające się praktycznie zastosować, to drobna tylko częśćka wiedzy i zapewne nie najważniejsza. Wszakże człowiek, jako żywa istota, jest w zupełności związany z otaczającym go światem; dzięki rozumowi może do pewnego stopnia normować i stwarzać sobie odpowiednie warunki bytu, lecz nawet podczas tej czynności od tych warunków zależy. Niema objawu życia ludzkiego, który nie przebiegałby tak, jak na to pozwalają warunki zewnętrzne i ustrój człowieka. Związek przyrody z człowiekiem występuje jasno dopiero wówczas, kiedy się dojdzie do tego przekonania, iż człowiek jest jedną z nieprzeliczonych części tej masy żywej substancji, która jest po ziemi rozpostarta w miliardach osobników, a stanowisko człowieka na świecie nie jest na innych oparte zasadach, jak stanowisko każdej innej żywej istoty, bez względu na stopień jej organizacji.

Badanie więc ustroju istot żywych, badanie warunków bytu, studjowanie praw, dających się wysledzić w przyrodzie, jest to bezpośrednio lub pośrednio przyczynianie się do poznania natury ludzkiej i podstaw bytu oraz działania człowieka na ziemi. W tem widzę istotną wartość bezpośrednią nauk przyrodniczych dla życia człowieka. Ale muszę tu zaznaczyć, że wpojenie tego poglądu młodzieży w szkołach się uczącej zdaje mi się bardzo trudnem zadaniem, bo trzeba już pewnej dojrzałości umysłowej, aby pochwycić umysłem związek człowieka z całym światem istot żywych. Skoro jednak ten związek jest już stwierdzony, to nie należy zastępować tego istotnego i najwyższego waloru nauk przyrodniczych przez niższe, przez korzyści praktyczne, które się wysuwa jako to, co łączy naukę z życiem.

Nauki przyrodnicze rozpoczynają swą pracę od zebrania materiału doświadczalnego; bada się zjawiska, starając się wniknąć w ich istotę przez rozkładanie zjawisk złożonych na prostsze. W najprostszej postaci i zawsze tak samo przebiegające zjawisko występuje wobec nas jako p r a w o przyrodnicze; zjawiska znane łączymy w łańcuchy przyczynowe lub też odnajdujemy inne związki między niemi, a przenosząc drogą analogji nasze obserwacje na inne szeregi zjawisk, budujemy teorie; wreszcie przyjmując niezbadalny czynnik, którego istnienie mogłoby nam ułatwić zrozumienie zjawiska, budujemy hipotezy. Tak więc

od obserwacji do hipotez, od luźnych faktów do związków i zależności wszelkiego rodzaju przebywa drogę nasz umysł, łamiąc trudności, czasem gnąc się, by ominąć przeszkody, a zawsze wprawiając się w myślenie jasne i proste, kierując się logiką, najmniej zawilości wnoszącą.

Gdybyśmy jednak zapytali się, dlaczego tę drogę obiera umysł człowieka podczas badań przyrodniczych, to odpowiedź jedna tylko być może: powstanie naszych prawideł logicznego myślenia jest także zjawiskiem przyrodniczym, odpowiadającym naszemu ustrojowi i właściwościom naszych warunków bytu. I w pracy umysłu naszego nie jesteśmy oddzieleni od całości świata, od całości żywej substancji.

Rzecz prosta, że rozwój naszego myślenia przyrodniczego musi być zależny od bogactwa materiału, którym nasz umysł operuje. Przyrodnik musi więc zwracać uwagę na wszystko, co jest zjawiskiem przyrody; żaden objaw nie może być uznawany za podrzędny lub obojętny. I dlatego to jest więcej przyrodników, zajmujących się humanistyką, niż humanistów, okazujących zainteresowanie się badaniami przyrodniczymi.

Zachodzi teraz pytanie, co można dać w szkole z tych dróg i materiałów, służących do rozwoju nauk przyrodniczych?

Już powyżej zwróciliśmy uwagę na to, że młody umysł inaczej odnosi się do badania przyrody, niż umysł starszy i dojrzały; fakt i rzeczy niewątpliwe, ale równocześnie nowe i zajmujące, pobudzają go w wyższym stopniu, niż teorie i hipotezy. Rozwiązywanie zagadek, przez przyrodę stawianych, to dla młodej duszy takie samo źródło zadowolenia, jak rozkładanie i rozbieranie zawitych mechanizmów dla dziecka; i odbywa się to proste badanie przyrody przez rozkładanie zjawisk zawitych na prostsze, zawsze w granicach faktów, bez teorii, bez hipotez. Jeśli młodemu umysłowi podsuwać teorie przyrodnicze, to najczęściej operuje on niemi jakby faktami, które dla jego myślenia mają ten sam walor, co zwykle, konkretne zjawiska przyrody.

Pamiętam dobrze rozmowę z młodym uczniem, który, zapytany przezemnie o budowę t. zw. kijanki, czyli larwy naszej żaby, odrzekł: »Ona ma skrzela, bo się rozwinęła z ryby«. Teoria wstąpiła na miejsce faktu. — Ale nietylko w młodych umysłach taki proces się odbywa. Są podręczniki szkolne, w których czy-

tamy np.: »Słoń jest duży i ciężki, odnóża ma grube i niezgrabne, więc ma trąbę do podnoszenia przedmiotów z ziemi itp.« Znow podobne operowanie teorią, jako faktem.

Nowe programy szkół średnich każą uczniom dochodzić do rozwiązywania zagadek przyrody w sposób zupełnie samodzielny, przez doświadczenie, obserwację itp. Jest to zupełnie słuszne stanowisko, lecz, niestety, życia ludzkiego byłoby za mało, aby samodzielnie całość tych zjawisk zbadać, z którymi spotykamy się codziennie. Choć dobra i słusznie wprowadzona, metoda samodzielnych badań nie wystarczy i powinna być uzupełniona przez nauczanie, gdyż zanadto ograniczyć zakresu wiadomości także nie można. Młody umysł chwytą chciwie i pamięta dobrze materiał naukowy, o ile zostanie mu podany w odpowiedniej formie. Tę jego zaletę należy wyzyskać, tem więcej, że wielu uczniów szkoły średniej po opuszczeniu ław szkolnych już się więcej nie spotka z naukami przyrodniczymi. To zaś trzeba zrozumieć, iż do wykształcenia ogólnego jest znajomość pewnych faktów z zakresu nauk przyrodniczych tak samo niezbędną, jak wiadomości z zakresu nauk humanistycznych; już teraz nie można uważać za wykształconego człowieka, który zupełnie dobre posiada wiadomości z zakresu historii, historii sztuki czy też literatury, lecz nie ma pojęcia o najprostszych objawach życia lub innych najzwyczajniejszych zjawiskach przyrody. Zasada, głosząca, iż lepiej mniej nauczyć, lecz gruntowniej, jest zupełnie słuszna, ale nie można jej stosować tak, by stwarzać od najmłodszego wieku specjalistów, którzy posiadać będą głęboką znajomość niewielu faktów, a ciasny i wąski horyzont myślenia.

Aby jednak zdobyte czy też nauczone fakty mógł młody umysł należycie wyzyskać i mógł nabrać zdolności posługiwania się nimi w życiu, trzeba nietylko dać mu dostateczną ilość i jakość tego materiału, lecz przedewszystkiem trzeba go podać w należyтым porządku. Młody umysł, a zwłaszcza umysł dziecka, ma tendencję do wysnuwania prostych wniosków, nie lubi wątpliwości i zawilości. Tę jego właściwość można wyzyskać, by nauczyć systematyczności nietylko w myśleniu, lecz i w pracy. Sądzę zaś, że jest to jednym z głównych zadań nowej polskiej szkoły, by wydawała uczniów, mających wpojoną chęć do syste-

matycznej pracy, a wykorzenioną naszą dość powszechną wadę, to jest rozstrzeliwanie się i niechęć do skupienia wysiłków myśli w jednym kierunku.

Nie należy zatem podawać wiadomości z nauk przyrodniczych w sposób bezładny i niesystematyczny. Wprawdzie w otoczeniu człowieka występują zjawiska pozornie bez związku, wprawdzie dziecko, patrzące na świat, chwytając spostrzeżenia z żywej czy martwej przyrody tak, jak je przypadek nasunąć może, ale już w tym samym umyśle dziecka odbywa się ugrupowanie dostrzeżonych faktów w pewien system, już oddziela się wyraźnie świat istot żywych od świata martwego, świat zwierząt od państwa roślin. Jest to wródzony pęd do porządkowania zjawisk, a ten pociąg do ładu znajduje u starszej młodzieży wyraz w dość powszechnem zamiłowaniu do systematyki zwierząt lub roślin, od którego najczęściej rozpoczyna się zamiłowanie do nauk biologicznych.

W najniższych klasach szkół średnich zazwyczaj nauki przyrodnicze traktuje się obecnie inaczej, niż dawniej to robiono. Z zakresu nauk biologicznych podaje się wiadomości w miarę tego, jak się znajdzie materiał lub jak go nasunie pora roku. Dziś omawia się budowę rośliny, jutro zwierzęcia; dziś mowa o budowie i właściwościach marchwi, jutro o piórach ptaka; nauka o przyrodzie żywej staje się dalszym ciągiem t. zw. nauki o rzeczach (*object lessons*), tak doskonale traktowanej w angielskich szkołach. Ma to dobre strony, bo nie nuży, może zająć i zabawić ucznia, ale kryje się w tem bardzo poważne niebezpieczeństwo rozstrzelania uwagi i umysłu. Utrudnia się też przez to wyrobienie się zamiłowania do jednej z gałęzi wiedzy, utrudnia się rozwój poczucia ładu i porządku w przyrodzie, tego ładu, którego ostatecznym wyrazem jest nasze logiczne myślenie.

Sądzę, że jest to wielka wada nowego planu nauczania, gdyż wskutek tego młody umysł później dostrzeże harmonję, w przyrodzie panującą, i będzie musiał o niej się potem uczyć, zamiast żyć się z nią od najwcześniejszego wieku.

Możnaby tu użyć porównania z nawyczkami czy też z nauką harmonji w muzyce. Dziecko, rozwijające się wśród otoczenia muzycznego, żyć się może z następstwem tonów, z gamą i prostymi zasadami harmonji, zanim je pozna w szczegółach; nasze

dzieci posługują się gamą siedmionową, dzieci malajskie gamą pięciotonową, z którą zżyły się od pierwszych dni młodości jako z zasadą harmonji. Tak samo dziecko, które od początku nauki zżyć się może z ładem i porządkiem, mającym swój wyraz w systemie zwierząt lub roślin, nawet nie czuje tego, jak przenosi ten ład na inne zjawiska, jak w jego myśli powstaje poczucie porządku na świecie. W tem zaś leży wielka pedagogiczna wartość systematyki, którą nowy porządek nauczania spycha na drugi plan, mojem zdaniem z wielką szkodą dla naszego rozwoju. Rzecz prosta, że, mówiąc o wartości systematyki, mamy na myśli tylko tę naukę, której zadaniem jest poznanie i rozklasyfikowanie zwierząt na podstawie ich właściwości, dozwalających na zbudowanie systemu w ten sposób, jak tego wymaga obecny stan nauk biologicznych.

W pierwszych klasach szkół średnich nauka o przyrodzie ma się odbywać bez książek, bez podręczników. Dziecko samo bada zjawisko, nauczyciel wyjaśnia zjawiska trudniejsze do zrozumienia, otem odbywa się powtarzanie i pytanie z zakresu własnych badań. W zasadzie piękna i dobra metoda, lecz do czegoż ona prowadzi?

Pomijam pewną trudność techniczną, która odrazu występuje, jeśli się ma do czynienia z słabszym i późno się rozwijającym umysłem dziecka, lub też z osobnikiem, który z powodu choroby opuścił szkołę przez pewien czas i stracił bezpowrotnie sposobność nabycia pewnych wiadomości; to są wypadki wyjątkowe, choć nie rzadkie. Sądzę, że jest inny powód, którego nie można uważać za szczęśliwy pomysł wykluczenia książki od nauczania. U nas naogół w szkołach nie uczą posługiwania się książkami, jako źródłem wiadomości; spotykam się nieraz na uniwersytecie z uczniami, których trzeba uczyć, gdzie i jak w książce odnaleźć wiadomości; trzeba nieraz wysiłku, aby nauczyć wydobywania treści z opisu lub krytycznych wniosków z rozważań; często trzeba uczyć tego, by używano książki jako osi, około której można grupować wiadomości inną drogą nabyte. Sądzę, że byłoby pożyteczne, aby już w szkołach nauczono posługiwania się książką, a jeśli w pierwszych latach wyklucza się tę metodę, to traci się sposobność nauczania tak podstawowej rzeczy w okresie, kiedy umysł jest najbardziej giętki i podatny.

Prawda, że trudno o dobre podręczniki dla klas najniższych; prawdą też jest, że wiele książek, obecnie używanych, ma wielkie wady, ale od czegoż byłaby pomoc nauczyciela i jego objaśnienia? Dobry pedagog potrafi z pewnością znaleźć wyjście z tego położenia.

Użyliśmy tutaj słowa: »dobry pedagog«, a temsamem poruszyliśmy bardzo przykrą stronę nauczania nauk przyrodniczych. Musimy, niestety, przyznać się do tego, że w obecnej chwili mamy niewielu przyrodników, nauczycieli gimnazjalnych, o których możnaby powiedzieć, że są dobrymi pedagogami. Przyczyną tego jest przedewszystkiem ogólne, na szczęście przejściowe, położenie naszego szkolnictwa średniego; z powodu otwarcia wielu nowych szkół średnich trzeba było zapłacić kadry nauczycielstwa, powoływano więc wszystkich, którzy się nawinęli, stosując przytem bardzo niski census uzdolnienia i przygotowania. Ten stan zapewne zmieni się wkrótce, skoro tylko doksztalcą się młode siły, obecnie studjujące na uniwersytetach.

Są jednak inne przyczyny, znacznie głębsze, które sprawiają, że mało jest dobrych pedagogów przyrodników. Do niedawna zakres wiadomości, jakiego domagano się od kandydatów na nauczycieli szkół średnich, był bardzo obszerny, za obszerny na to, aby go mógł objąć i gruntownie sobie przyswoić umysł jednego człowieka. Niemal z konieczności więc kandydaci ograniczali się do powierzchownego zapoznawania się z przedmiotem egzaminu; jest zaś rzeczą nie ulegającą wątpliwości, że na to, aby być dobrym pedagogiem, koniecznie potrzeba gruntownej wiedzy, jako podstawy. Nabyć wiedzę przyrodniczą można istotnie gruntownie tylko wówczas, kiedy się zaczyna samodzielnie pracować naukowo; praca zaś naukowa w dziedzinie nauk przyrodniczych mieści wiele trudności i niespodzianek. Technika pracy, często trudna i wymagająca specjalnych uzdolnień, długie przygotowywanie się przed przystąpieniem do właściwej pracy samodzielnej, a zwłaszcza fakt, że po długich i usilnych badaniach nierzadko zdarza się otrzymać rezultaty negatywne — to wszystko sprawia, że z pośród kandydatów na nauczycieli mała tylko garstka poświęca się pracy naukowej. Istotnie więc niewielu tylko wie, jak gmach wiedzy się buduje, niewielu czuje to, czym jest rozwiązanie zagadek przyrody, nieliczni więc znają

przyrodę gruntownie. To zaś dla nas jest pewne, że kto się z przyrodą tak nie zetknął, by jej wydarł choćby najmniejszy z tajników, ten nie ma podstaw do jej zrozumienia, a zatem nie ma i zdrowych podstaw dobrej pedagogii przyrodniczej.

Jeśli w tym stanie rzeczy nakazuje się uczniom w szkołach badanie zjawisk przyrody, a pomocnym ma im być przy tem człowiek, który sam przyrody na serjo nie badał, to jakież mogą być rezultaty? Chyba tylko powierzchowność i płytkość mogą się w szkole zagnieździć.

Obok trudności, związanych z naturą i treścią przedmiotu oraz z wykształceniem nauczycieli, istnieją jeszcze bardzo poważne trudności techniczne, nierozłącznie związane z wprowadzeniem w życie nowego planu. Wedle nowych przepisów uczeń ma poznawać przyrodę, badając jej zjawiska samodzielnie. Trzeba więc w każdej szkole stworzyć aparaturę, do tego potrzebną. W wyższych klasach przepisane są ćwiczenia, złączone z użyciem mikroskopu; licząc, że ucząca się klasa ma tylko około 30 uczniów (zazwyczaj jest około 40), należałoby sprawić tę samą ilość przyrządów; że zaś obecnie najprostszy mikroskop jest niezmiernie drogi, suma na to potrzebna dosięgnie kilka milionów w jednej tylko szkole średniej. We wszystkich szkołach będą liczne miljarady na to potrzebne, aby i mikroskopy i inne przyrządy sprawić w dostatecznej ilości.

Przypuścmy, że państwo zdobędzie się na ten wysiłek i poniesie takie koszty, pozostanie jeszcze technika prowadzenia ćwiczeń. Wobec olbrzymiej obecnie frekwencji w szkołach, prowadzenie tych «bań samodzielnych», jakkolwiek nie jest wcale niemożliwe, wymagać będzie ogromnej wprawy pedagogicznej, energii i bardzo wielkiego wysiłku ze strony nauczyciela. Mam poważne wątpliwości co do tego, czy starsze siły nauczycielskie zechcą nagiąć się do tej nowej metody; młodszy nauczyciele niewiem czy zdołają na tyle pokonać i opanować wybuchy energii tak żywych i ruchliwych elementów, jakimi są uczniowie szkół średnich, aby w przepisany czas istotnie przerobić praktycznie dostateczną ilość materiału.

Dodać tu także wypada, że dotychczas wyższe uczelnie nie dawały wskazówek, w jaki sposób urząda się proste ćwiczenia przyrodnicze; nie uczono konstrukcji prostych przyrządów,

ani łatwych doświadczeń biologicznych. Nauczyciel jest pozostawiony obecnie sam sobie i własnymi pomysłami musi uzupełniać braki przygotowania; może młodszy nie pożałuje trudu i prób się nie ulęknie, ale czy to uczynią starsi, zmęczeni długoletnią, ciężką pracą pedagogiczną, a przyzwyczajeni do dawniejszego biegu myśli? Wydaje mi się to bardzo wątpliwe i mimowoli nasuwa się myśl, że lepiej może byłoby wprowadzać nowy system powoli i stopniowo, licząc na przygotowanie odpowiedniej ilości nowych sił nauczycielskich, odpowiednio wychowanych.

Trzeba tu otwarcie powiedzieć, że pod względem ilości dobrych pedagogów w szkołach średnich obecnie humaniści przewyższają przyrodników. Może to w związku z naturą przedmiotu, może z tem, że nauki przyrodnicze niedawno są uczone w szkole, a humanistyka ma za sobą wielowiekowe doświadczenia, ale zapewne i z tem, że metoda kształcenia humanistów, a zwłaszcza metoda pracy w seminarjach, niewiele różni się od metody samodzielnej pracy naukowej, a przez to zbliża kandydatów na nauczycieli do istotnych walorów nauki.

Już sam fakt powyżej przytoczony przemawiałby za tem, aby zbyt nie ograniczać nauk humanistycznych w szkołach średnich (do czego jest teraz bardzo wyraźne dążenie), lecz są jeszcze i inne przyczyny, które za tem przemawiają. Nie chcę tu szeroko poruszać tej bolączki, gdyż jest ona przedmiotem osobnego rozdziału tej książki, lecz pragnę zwrócić uwagę na dwie tylko, ważne dla przyrodników, sprawy, związane ze studjum języków klasycznych w szkole średniej.

To, że języki klasyczne są potrzebne do zrozumienia nomenklatury, do tego, by nazwy, brane z łaciny lub greki, nie były pustym dźwiękiem, uważam za rzecz nie najważniejszą, bo ostatecznie może sobie uczeń, studjujący przyrodę czy medycynę, przyswoić elementy języków tak, by się w naukowem słownictwie rozeznał. Są przyczyny ważniejsze. Wszakże studjum języków klasycznych łączy się z nauką o językach wogóle; na nich poznać można doskonale drogę, jaką duch ludzki przebył, by ubrać myśl w formę, a widzi się ten wysiłek w postaci ustalonej, nie zmieniającej się już tak, jak w żywych językach. Od prostoty Cezara do wykwintu Horacego znajdują się wszelkie modele sposobów formułowania myśli, modele, nie działające tak żywo

treścią, jak przykłady czerpane z nowoczesnych języków, a zwłaszcza z mowy polskiej. Jest zaś niezbędne, aby się formułowania myśli dobrze nauczyć; ujęcie myśli przyrodniczej w formę często może zaważyć na jej znaczeniu, a ocena tego, co w opisie danego zjawiska jest formą, a co treścią, może zaważyć na krytyce pracy. — Jest jeszcze inna przyczyna, dla której studjum języków klasycznych może mieć znaczenie dla przyrodnika, a mianowicie to, że uczy on się tych języków na oryginałach dawnych autorów, starając się wnikać w istotną intencję i myśli, w dziele zawarte. Analiza dzieł autorów klasycznych jest odwieczna, lepiej przeprowadzona, niż analiza dzieł nowych; pedagog ma pewne podstawy, uczeń otrzymuje jasne wskazówki. W ten sposób uczy się młody umysł poznawać wartość oryginału, rozróżniać odcienia myśli autora od myśli tłumacza, wpaja mu się zasadę czerpania wiedzy z źródeł, a nie ze streszczeń lub tłumaczeń. To rzecz dla przyrodnika pierwszorzędnego wagi.

Rozumie się samo przez się, że na to, aby wszystko należycie wystudjować, trzeba by i czasu i pracy bardzo dużo, a łatwo możnaby popaść w zasadniczy błąd pedagogiczny, w przeciążenie ucznia. Tego stanowczo unikać należy. Toteż nowe programy nauki szkolnej zmniejszają ilość godzin szkolnych i zakres przedmiotów, starają się ułatwić nauczanie. Czy jednak nie poszły one za daleko w tendencji do podania uczniom wiedzy w łatwej i gotowej formie? Mam pod tym względem pewne wątpliwości, a nie sądzę, żeby zbytne ułatwianie było korzystne dla naszej młodzieży, która ma tę wrodzoną właściwość, iż więcej jest zdoina do wielkiego lecz krótkiego wysiłku, niż do stałej i systematycznej a codziennej pracy.

W ramach niniejszego artykułu nie możemy szczegółowo omawiać planu nauczania t. zw. przyrody w szkołach średnich, ani poddawać krytyce sposobu ułożenia przedmiotów przyrodniczych w ciągu ośmiu lat nauki; pragniemy jednak zwrócić uwagę na jeden przedmiot, mianowicie na biologję ogólną, która wedle projektu Ministerstwa »stanowić będzie zakończenie i pogłębienie wykształcenia przyrodniczego«, a metodycznie ma się opierać »na samodzielnej pracy uczniów«.

Biologję ogólną, jako przedmiot wykładany w całości przez jednego nauczającego, wprowadzono na uniwersytetach nie-

dawno, bo w r. 1900. Pierwszy raz była ona wykładana w Krakowie; za przykładem Uniwersytetu Jagiellońskiego poszedł uniwersytet w Innsbruku, potem oba uniwersytety w Pradze, następnie Wiedeń, później różne uniwersytety niemieckie; we Francji analogiczną katedrę stworzono pod nazwą »Évolution des êtres organisés« dla prof. Giarda. Od początku XX-go wieku zaczęły się też pojawiać w różnych językach książki, nazywające się podręcznikami Biologii ogólnej; książek tych przybywa coraz więcej, wykłady biologii coraz to częściej widzi się w spisach różnych zagranicznych uniwersytetów. — Gdyby jednak przejrzeć podręczniki biologii, a równocześnie zaznajomić się z planami wykładów tego przedmiotu na poszczególnych uniwersytetach, toby się odrazu można było przekonać, że ani zakres, ani sposób traktowania tej gałęzi wiedzy jeszcze nie jest ustalony. Jest to zjawisko zupełnie naturalne. Rozwój botaniki i zoologii oraz wszelkich gałęzi nauk biologicznych był niesłychanie szybki i owocny; wyśledzono wiele wspólności między światem zwierząt i roślin, znaleziono prawidła zjawisk, jednako odbywających się w obu tych państwach, zdołano dojść do pojęcia »substancji żywej«, mającej pewne zasadnicze właściwości, objawiające się w każdej żywej istocie. W badaniu przyrody żywej nastąpił moment syntezy, lecz człony, do niej potrzebne, zbierał każdy autor lub prelegent stosownie do zakresu swej specjalności lub nawet upodobania. Każdy miał swoje, zazwyczaj ważne powody, aby pisać biologii według swego pomysłu zestawić i podać uczniom lub czytelnikom, licząc na to, że znajdą się u nich dość pewne podstawy wiadomości faktycznych, na których da się zbudować syntezę. Zazwyczaj znalazły się też w biologii wszystkie teorie lub hipotezy przyrodnicze, będące często owocem rozważań przyrodniczych o charakterze syntezy.

Ten przedmiot, którego zrozumienie wymaga dość dokładnych wiadomości z nauk przyrodniczych i wprawy w myśleniu, rozpoczęto na uniwersytetach wykładać jako wstęp do nauk medycznych; przeszło dziesięcioletnia praktyka wykazała jednak, że nie był to dobry system nauczania, i dzisiaj, wedle nowego planu nauk medycznych, studenci słuchają biologii po wysłuchaniu anatomji, chemji, fizyki a nawet części fizjologii, a zatem już po nabyciu pewnej wprawy i zdobyciu dość poważnego zakresu

wiadomości, w każdym zaś razie po gruntownem poznaniu budowy człowieka.

W szkołach średnich mają uczniowie zapoznać się z biologią ogólną w ósmej klasie. Przypuściwszy nawet (co jest bardzo wątpliwe), że z nauki w niższych klasach tyle im zostało wiadomości, ile mogli otrzymać, to jednak ten ich dorobek umysłowy jeszcze zda mi się za mały na to, by na jego podstawie przystąpić do syntezy. Dlatego też z konieczności nauka biologii ogólnej zmieni się na podawanie syntezy gotowej, na wykład teoryj i hipotez przyrodniczych, bez możności przeprowadzenia ich krytyki. Nie rozporządzając materiałem faktycznym, nauczyciel musi z konieczności obracać się w sferze ogólników; za tem idzie powierzchowność oraz płytkość sądów i wniosków, a nierzadko i wykrecanie się dialektyką z trudnych zagadnień, czyli tak zwana blaga.

Leży przedemną jeden z nielicznych a najnowszych podręczników Biologii dla szkół średnich, niestety, bardzo często używany; doprawdy nie znam książki, w którejby tak okropne kombinacje błędów i powierzchowności złączyły się ściślej, jak w tej właśnie książce. A to wszystko ma być darem dla umysłu ucznia, który w tem ma znaleźć koronę swego wykształcenia przyrodniczego!

Sądzę, że lepiej biologię usunąć z szkół średnich; lepiej zastąpić ją wykładem o tych praktycznych częściach nauk przyrodniczych, które mogą się w życiu później przydać, czyto jako podstawa do racjonalnej higieny lub eugeniki, czy też z innych powodów.

Wkońcu pragnę poruszyć jeszcze jedną sprawę. Nauki przyrodnicze mają tę piękną cechę, że nietylko pozwalają na zapoznanie się z zjawiskami, lecz prowadzą do wyrobienia sobie światopoglądu. Związek człowieka z przyrodą, przedziwne zjawisko krążenia pierwiastków, sprawa związku życia z śmiercią i wiele innych cudów przyrody pobudza do myślenia, a dają spokój w ocenie zjawisk i w traktowaniu życia, równocześnie zaś zwraca upodobania umysłu ku idealizmowi. Tej właściwości nauk przyrodniczych nie trzeba popsuć przez nieodpowiedni lub nudny sposób nauczania; nie należy jej zatrzeć przez to, że zamiast ścisłych podstaw do światopoglądu otrzyma się płytką

blagę, na której umysł wnet się pozna, ale równocześnie wnet straci przez to zaufanie do wartości tej gałęzi wiedzy. A temu niebezpieczeństwu zaradzić może tylko wykształcenie całego legjonu dobrych pedagogów.

I tutaj otwiera się wdzięczne, ale bardzo trudne zadanie dla uniwersytetów oraz złączonych z nimi t. zw. Studiów Pedagogicznych. Nowe przepisy egzaminacyjne dla kandydatów na nauczycieli nauk przyrodniczych zmniejszyły trochę ilość wymaganych przedmiotów, natomiast wprowadziły obowiązek pogłębienia wiadomości przez odbycie ćwiczeń praktycznych i zapoznanie się z wieloma specjalnymi działami przyrodoznawstwa. Uniwersytety muszą teraz postarać się o to, aby te przedmioty i te pracownie, których poznanie wymaga się od kandydatów na nauczycieli, istotnie były dostępne, na Słudjach Pedagogicznych powinny zespoły pierwszorzędnych sił istotnie uczyć tego, jak uczyć należy. To się jeszcze dzisiaj nie odbywa tak, jakby się odbywać powinno, bo brak sił nauczających stoi temu na przeszkodzie, ale nie wątpię, że nasze najwyższe uczelnie uzupełnią braki.

Jeśli to się stanie, a mam przekonanie, że wkrótce tak będzie, to nauki przyrodnicze innej nabiorą wartości. Jeśli zaś równocześnie frekwencja w szkołach tak się ułoży, że nauczyciel będzie mógł indywidualnie traktować uczniów, to przyrodnicze nauki będą mogły istotnie stać się podstawą do wychowania szkolnego. Może też wówczas zwiększy się zastęp przyrodników w Polsce; byłoby to bardzo pożądane, bo przyrodnik, który ze swych studiów nie odnosi korzyści materialnych, musi być idealistą, zaś naród ma tem większą wartość, im więcej idealistów posiada.

DR. JAN ŁOŚ
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

SŁÓW PARĘ O WYŻSZYM WYKSZTAŁCENIU KOBIEC

Początek wieku XX-go między innymi przewodniami hasłami, odziedziczonymi po stuleciu poprzednim, hołdował także hasłu równouprawnienia kobiet. Było ono i jest jeszcze rozumiane rozmaicie, gdyż stosunkowo rzadko chodziło tu o istotne równouprawnienie, t. j. o zrównanie praw obu płci w zakresie ustaw: kobiety w dawnym Królestwie Polskim, gdzie obowiązywał kodeks cywilny Napoleona, nie wystąpiły ani razu z poważnymi protestami przeciwko artykułom prawa, które kobiecie dojrzałej a zamężnej nie zezwalały na samodzielne, bez zgody męża, rozporządzanie majątkiem osobistym; właściwie też ogół kobiet polskich nie prowadził walki w celu zdobycia sobie praw wyborczych.

Termin więc »równouprawnienie«, jak niegdyś, przed pół wiekiem, inny termin: »emancypacja«, oznaczał różne rzeczy, odpowiednio do zapatrywań i uczuć indywidualnych wśród kobiet, należących do pewnej grupy społecznej, a mianowicie do warstwy, której nadaje się ogólnie nazwę »inteligencji«. Wśród warstw fizycznie pracujących, hasło »równouprawnienia« nie znajdowało oddźwięku, gdyż tam kwestja kobieca została już dawno rozwiązana: nikt tu nie zaprzeczał kobiecie prawa do pracy na roli, w fabrykach, w rękodzielnach: oddawna tu kobiety pracują i za-

rabiają na wielu polach bez przeszkody ze strony mężczyzn i same nie kwapią się do zajęć, wymagających wielkiego wysiłku albo grożących zdrowiu. Działają tu zresztą jakieś niezawsze jasne czynniki, które powstrzymują kobietę od pewnych zajęć, nawet — zdawałoby się — nie przekraczających jej sił, np. prawie niema kobiet w warsztatach zegarmistrzowskich.

Sprawa »równoprawnienia« nie znalazła też oddźwięku wśród kobiet, należących do zamożnej arystokracji i plutokracji, gdyż tam kobieta, o ile nie jest zamężną i panią domu, pędzi życie naogół mało czynne i ma bardzo ograniczone przepisami towarzyskimi pole działania, które jej po największej części zupełnie wystarcza. Wśród tak zw. inteligencji miejskiej i średnich warstw ziemiańskich przez długi czas panowały poglądy na przeznaczenie i zadania kobiet, zbliżone do warstw arystokratycznych: dorosła panna zazwyczaj nie wychodziła poza obręb zajęć domowych, a gdy ją przycisnęła bieda, poświęcała się pracy pedagogicznej, na co społeczeństwo łatwo się zgadzało w tej myśli, że kobieta, przeznaczona do wychowania swoich dzieci, może bez ubliżenia prawom swej płci zająć się też wychowaniem dzieci cudzych, zwłaszcza dziewcząt. W wieku XVIII dbano przede wszystkim o nauczanie chłopców i trzymano dla nich guwernerów, kiedy zaś zaczęto też dbać o kształcenie dziewcząt, uznano, że odpowiedniejszymi dla nich mają być nauczycielki niż guwernerzy. Było więc to pierwsze równouprawnienie kobiet i mężczyzn na polu pedagogicznym, jakkolwiek z podziałem specjalności odpowiednio do płci uczącej się młodzieży.

Mniej więcej w tymże czasie, t. j. na schyłku w. XVIII, kobiety gromadniej zaczęły działać na polu literatury a potem i sztuki, a chociaż tu nie napotykały przeszkód ze strony społeczeństwa, to jednak nie miały od niego i pomocy, poza domem rodzicielskim i najbliższymi krewnymi. Dość powiedzieć, że do niedawna, kiedy malarstwo polskie szczyliło się już Olgą Bonnańską i wielu innymi talentami kobiecymi, wstęp do krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych był dla uczennic zupełnie zamknięty, a najbardziej zasłużona z dawnych wychowawczyń, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, otrzymała tylko domowe, niesystematyczne wykształcenie.

Ogół inteligencji warstw średnich, zarówno wiejskiej, jako

też i miejskiej, wysoko ceniąc kobietę, jako opiekunkę i wychowawczynię jej własnych dzieci, godził się z nauczycielką zawodową, jako z koniecznością, i mało pokładał w niej ufności. Panowało przekonanie takie, że wprawdzie trzeba dziewczęta kształcić wyżej, niż jak to się praktykowało dawniej, ale nie wierzono, żeby stopień wykształcenia, wymagany dla chłopców, był odpowiedni, czy potrzebny dla dziewcząt. Najpospolitszym i właściwie jedynym typem szkoły średniej dla dziewcząt w dawnym Królestwie Polskiem były tak zwane pensje, odpowiadające mniej więcej liceom galicyjskim: na pensjach tych i w liceach uczyły nauczycielki, które w tychże pensjach i liceach nauki pokończyły i krótkim samouctwem wiadomości swe nieco dopełniły. Zresztą nie wymagano tam wiele: trochę języków, szczypta literatury, historii, coś niecoś geografji wystarczało w zupełności; było to kształcenie tak zwane ogólne, bardzo powierzchowne. Rosyjskie rządowe nibyto „gimnazja” żeńskie miały program, zbliżony do programu owych pensyj prywatnych, i wychowanicom swoim nie otwierały wstępu do szkół wyższych, z wyjątkiem Instytutu Maryjskiego, gdzie była liczba miejsc ograniczona i dokąd Polki ze względów politycznych wstępować nie mogły i nie chciały. W dawnym Poznańskiem bynajmniej nie było lepiej, a nawet znacznie gorsze tam panowały warunki, gdyż nauczycielka mogła znaleźć zajęcie tylko w domu prywatnym i również poprzestawała na wykształceniu, uzyskanem co najwyżej w szkole średniej.

Tymczasem na szerszym świecie kobiety z wolna zyskiwały sobie coraz większą możność otrzymywania wyższego wykształcenia. W Niemczech pierwsze studentki, tymczasowo nadzwyczajne, zaczęły się pojawiać w uniwersytetach państwowych około r. 1880, ale wtedy były one jeszcze rzadkimi wyjątkami. W Rosji wtedy działały wyższe szkoły zawodowe, przeznaczone specjalnie dla kobiet: kursy pedagogiczne, kursy medyczne, kursy historyczno-filologiczne, odpowiadające humanistycznej części naszych uniwersyteckich wydziałów filozoficznych. Społeczeństwo polskie, zwłaszcza z Królestwa, mało dostarczało kandydatek na te kursy i na studentki zapatrywało się niechętnie. Większość kobiet, które na tych kursach studjowały, odznaczała się zaniedbaniem w stroju, lekceważeniem zwyczajów towarzyskich, bardzo

postępowemi poglądami społecznymi, słowem w tamtych czasach wyrazy: studentka i socjalistka były synonimami; ponieważ zaś socjaliści odrzucali wszelkie dążności i ideały patriotyczne, przeto tem bardziej studentki ówczesne nie cieszyły się w Polsce dobrą opinią. Ten stan rzeczy odbił się też w literaturze, że przypomnimy tu tylko niektóre utwory Orzeszkowej. Swoją drogą niejedna wychowanka petersburskich żeńskich kursów medycznych po przybyciu do Warszawy zyskała tam sobie uznanie jako lekarka i miała znaczną liczbę pacjentek.

Na uniwersytetach polskich, w Krakowie i we Lwowie, słuchaczki ukazały się dopiero w r. 1897, na skutek rozporządzenia austriackiego ministerstwa wyznań i oświaty z dnia 23 marca tegoż roku. Początkowo były to rzadkie wyjątki, i to tylko słuchaczki nadzwyczajne, gdyż żadna z kandydatek nie posiadała gimnazjalnego świadectwa dojrzałości, jak tego wymagała ustawa; oprócz słuchaczek nadzwyczajnych przyjmowano też i hospitantki. W niedługim czasie zaczęły też napływać do uniwersytetów również słuchaczki zwyczajne, które w gimnazjach męskich, czyto jako uczennice, zapisane do tych zakładów, aczkolwiek nie uczęszczające na lekcje, czy też jako eksternistki, zdały egzamin dojrzałości.

Tak więc obok studentów zwyczajnych i nadzwyczajnych ukazały się studentki zwyczajne i nadzwyczajne, a nadto hospitantki; uczniów więc było dwa rodzaje, uczennic — trzy. Widzimy z tego, że kobiety nasze odrazu zdobyły sobie nietylko równouprawnienie, ale nawet pewien rodzaj przywileju. Musiały istnieć jakieś względy, które ministerstwu austriackiemu kazały stworzyć ten trzeci rodzaj słuchaczek, t. j. hospitantki. Zapewne wpłynęła na to okoliczność, że i w Austrii wtedy było najwięcej takich szkół żeńskich, które ani z gimnazjami, ani ze szkołami realnymi równorzędne nie były, a kształciły zastępy dziewcząt zdolnych, które łaknęły wyższej nauki, choćby w ułamkowej formie. Istotnie też hospitantki dopuszczono tylko do wydziału filozoficznego, gdzie najczęściej zapisywały się na wykłady historii literatury, historii sztuki lub historii politycznej, uważając, że do tych wykładów najlepiej i w dostatecznym stopniu przygotowała je szkoła średnia.

Wśród hospitantek przeważał typ panny światowej, ele-

ganckiej, którą oskarżano bardzo powszechnie o większą chęć flirtowania z kolegami niż z nauką, i po większej części opinja ta była usprawiedliwiona, a uniwersytet nie miał wielkiej pociechy nawet z takich hospitantek, co flirtowały z nauką, bo stosunek ich do niej był niczem innym, jak tylko flirtem. W bardzo prędkim czasie uniwersytety zaczęły się starać o to, by ile możności zatamować dopływ hospitantek. Według obowiązujących przepisów hospitantka osobiście każdego profesora, na którego wykłady pragnęła uczęszczać, powinna była prosić o przyjęcie. Profesorowie zżymali się na te prośby, ale w większości nie umieli się oprzeć petentkom i dość hojnie udzielali pozwoleń. Wskutek tego sami umyślili na siebie nałożyć więzy i zgodzili się na to, aby 1) odgrodzić się od petentek i zażądać od nich składania podań pisanych, 2) wybrać komisję, któraby te podania rozpatrywała i wygotowywała wnioski na Wydział. Jednocześnie postanowiono, aby hospitantki miały obowiązek uczenia się naprawdę, i w tym celu wydano przepis, że jeśli hospitantka w końcu półrocza nie zda kollokwjum z wykładów, słuchanych w zakresie przynajmniej pięciu godzin, traci na zawsze prawo zapisania się do uniwersytetu. Te środki istotnie wpłynęły na znaczne ograniczenie liczby hospitantek w uniwersytetach, toteż czasem hospitantki stały się już rzadkimi wyjątkami pośród słuchaczek zwyczajnych i nadzwyczajnych. Oba te rodzaje słuchaczek, odpowiadające też dwu rodzajom słuchaczy, zwyczajnych i nadzwyczajnych, zachowano również w ustawie polskich szkół akademickich; hospitantki zaś we wskrzeszonej Polsce już się nie odrodziły, czego żałować nikt nie będzie, gdyż zawsze były one niepotrzebnym, a zatem szkodliwym balastem, jako zupełnie nieprzygotowane do studjów uniwersyteckich.

Oczywiście dziś między słuchaczkami jest ogromna przewaga zwyczajnych: rekrutują się one w największej części z wychowanek szkół średnich ogólnie kształcących, których ukończenie daje prawo do wstąpienia na uniwersytet w charakterze słuchaczki zwyczajnej. Tych szkół mamy cztery typy, a mianowicie: I) przyrodniczo-matematyczny, II) humanistyczny bez łaciny i greki, III) humanistyczny z łaciną, bez greki, IV) klasyczny, t. j. z łaciną i greką. Świadectwo dojrzałości, uzyskane w tych szkołach, daje prawo zapisania się na jeden z wydziałów świeckich uniwersytetu

lub innych szkół wyższych; w Polsce więc otworzono kobietom wstęp do wszystkich szkół wyższych świeckich: do uniwersytetów, politechnik, akademij zawodowych. Liberalna ta zasada wychodzi z założenia, że szkoły średnie, zarówno męskie, jak i żeńskie, jednakowo przygotowują młodzież do studiów wyższych, przyczem ministerstwo uznało, że we wszystkich typach szkoły średniej ogólnokształcącej wszystkie początki nauk, z wyjątkiem greki i łaciny, choć w różnym ale naogół w dostatecznym stopniu są nauczane, przez co wychowawczo-kształcące znaczenie tych szkół jest prawie równe. Nadto ministerstwo w poglądach swoich na równorzędność nowo utworzonych typów szkoły średniej kierowało się i tem przypuszczeniem, że każda osoba, uznana przez komisję egzaminacyjną za dojrzałą, sama jasno zdaje sobie sprawę ze swych zdolności, zamiłowań i stopnia przygotowania naukowego i dlatego nie będzie się zapisywała w uniwersytecie lub politechnice na specjalność, do której szkoła średnia w dostatecznym stopniu jej nie przygotowała.

Zasady te mogłyby się okazać racjonalnemi, gdyby istotnie wszystkie nowoutworzone typy szkół średnich pod względem dążności do należytego rozwijania umysłu ucznia lub uczennicy miały wartość równą. W tym wypadku byłoby pożytecznem, ażeby młodzieży »dojrzałej« pozostawić wolność samodzielnego wybierania zawodu i nie narzucać jej zgóry, że w tym lub innym kierunku iść musi, jak to było wtedy, kiedy wychowañcy gimnazjów mieli możność wyboru niegraniczoną, a natomiast wychowañcy szkół realnych bez osobnego dopełniającego egzaminu maturalnego mieli wstęp do uniwersytetów zupełnie zamknięty. Ale, niestety, uznać trzeba, że nie wszystkie te cztery typy szkół średnich ogólnokształcących są równowartościowe pod względem umysłowo-wychowawczym.

Na konferencji, odbytej z przedstawicielem ministerstwa wyznań religijnych i oświecenia publicznego w sprawie organizacji szkół średnich ogólnokształcących, profesorowie różnych wydziałów Uniwersytetu Jagiellońskiego bardzo gorąco dowodzili, że typ szkoły średniej humanistycznej bez łaciny i greki, z jednym tylko językiem nowożytnym, obcym, nie ma i mieć nie może tej mocy intelektualnego wychowania młodzieży, jak trzy inne typy. Mimo to ów typ został utrzymany, głównie właśnie

ze względu na tradycje dawnych pensyj żeńskich i liceów, w których program zbliżał się do programu owego dzisiejszego typu drugiego. Ale zarazem ten typ szkoły średniej humanistycznej bez łaciny i greki został przez ministerstwo uznany jako typ wyłącznie szkoły żeńskiej i miał on być wprowadzony tylko na próbę w kilku zaledwie okazach na całe państwo polskie.

Już to samo przyrzeczenie ówczesnego ministra, że ten typ szkoły będzie miał znaczenie wyjątkowe, stwierdza, że sam twórca tego typu uznawał jego niższość wobec trzech typów innych. Znowu więc tutaj dziewczęta polskie uzyskaly rodzaj przywileju wątpliwej wartości, że dobre dla nich będą szkoły choćby gorszego gatunku, w których władze szkolne miały ostrzegać swoje wychowanki, by się nie kwapiły do uniwersytetu, bo choć mają na papierze do tego prawo, ale w istocie nie są przygotowane do wyższych studjów specjalnych. Przypomina to ów przywilej austriacki dla hospitantek, które również miały prawo zapisywania się na wykłady, choć istotnie wskutek braku przygotowania korzystać z nich nie mogły.

Bardzo wątpić trzeba, czy owe ostrzeżenia mają i będą miały jakiś większy skutek, gdyż pewne specjalności w zakresie nauki uniwersyteckiej wywierają szczególnie wabiący urok na wychowanki owego specjalnie żeńskiego typu szkół średnich: w pierwszym rzędzie wabi je historia literatury polskiej, także historia polityczna i historia kultury, dalej historia sztuki, a ostatnimi czasy znaczny zastęp adeptek zyskała też historia filozofji i w ogólności filozofja w ścisłym tego słowa znaczeniu. Dziewczęta, wychowane w szkole humanistycznej bez łaciny lub greki lub w szkole matematyczno-przyrodniczej, zapisując się na którąkolwiek z tych specjalności, nie zdają sobie także sprawy z tego, że studja uniwersyteckie opierają się na badaniach źródłowych, a nie na samym tylko zrozumieniu i spamiętaniu wykładów. Dalej, nie wiedzą o tem, że nie na wykładach, ale na ćwiczeniach i badaniach przynajmniej w części samodzielnych, a wykonywanych w specjalnych seminarjach i pracowniach, polega właściwe zadanie kształcenia się uniwersyteckiego. Nie wiedzą, że można być zapisanym na uniwersytet i nie dostać się do seminarjum wskutek braku dostatecznych kwalifikacyj naukowych (np. znajo-

mości języków starożytnych), a kto przez seminarjum lub pracownię z dobrym wynikiem nie przejdzie, ten nie może skończyć uniwersytetu i — co ważniejsza — nie może w dostatecznej mierze opanować swej specjalności. Słowem, kto bez dostatecznego przygotowania — a w tem położeniu są wszystkie uczennice t. zw. II-go typu szkoły średniej — zapisze się na uniwersytet, naraża się na pasmo zawodów, rozczarowań, zwątpień i wszelkich duchowych udręczeń.

Poza tym II-gim typem wszystkie inne są jednakowe dla młodzieży żeńskiej i męskiej, z nich więc powinnyby wychodzić kandydaci i kandydatki do studjów uniwersyteckich jednakowo przygotowani. Różnice mogą polegać tylko w doborze personelu nauczycielskiego i w zasobach środków pomocniczych do nauczania. Otóż rodzi się pytanie, czy istotnie obie płci pod względem tego przygotowania do studjów uniwersyteckich stoją na jednym poziomie.

Odpowiedzieć na to pytanie w sposób bezstronny i uzasadniony niepodobna. Trzeba mieć bogaty materiał statystyczny, a nadto wybrać do rozstrzygnięcia tej kwestji właściwe sprawdziany. Zazwyczaj sprawdzianem w tym razie jest osobiste wrażenie, albo też spostrzeżenie — dajmy na to — obiektywne, że między słuchaczkami wyjątkowe tylko odznaczają się wybitniejszymi zdolnościami i obiecują coś na przyszłość.

Ten sprawdzian nie rozstrzyga sprawy, bo choćby talenty naukowe wśród kobiet były rzadsze i mniejsze, to nie wynikałoby z tego jeszcze, że kobiety nie powinny się kształcić wyżej. Społeczeństwu potrzeba nietylko genjuszów i talentów, ale także wielkiego zastępu skromnych pracowników umysłowych na różnych polach działalności społecznej. Zresztą kobieta ma prawo i względem siebie bronić słuszności tych słów: *homo sum et nihil humani a me alienum puto*, a prawem, i nietylko prawem, ale obowiązkiem człowieka jest kształcić i rozwijać wszystkie władze duchowe, a więc także intelektualne, ile możliwości najbardziej. Szkoła średnia czyni młodzieńca »dojrzałym« do studjów w szkole akademickiej, ale uniwersytet czyni go »dojrzałym« do samodzielnego kierowania sobą w życiu na terenie obowiązków, do których spełnienia trzeba cenzusu inteligencji. Oprócz opanowania specjalności zawodowej, szkoła wyższa — jak to po-

wszecznie stwierdzono względem mężczyzn — pozwala łatwiej i pewniej orjentować się w zawitych często i trudnych do rozwikłania sytuacjach życiowych; byłoby przesadą twierdzić, że też szkoła nie wyrwe swego dobroczynnego wpływu na kobietę, jak to twierdzono jeszcze w niedalekiej przeszłości.

Jeszcze dziś nawet pośród społeczeństwa tułają się różne dawne poglądy na sprawę wyższego wykształcenia kobiet, ale stwierdzić trzeba, że prąd dzisiejszy w szybkim tempie zwyciężył na całej linii. Nie dalej jak przed kilkunastu laty słuchaczek w uniwersytetach naszych było mało, a te, które się na ławach uniwersyteckich znalazły, musiały nieraz stoczyć walkę z rodzicami lub opiekunami i uzbroić się w cywilną odwagę, bo były tylko tolerowane w tak zwanem towarzystwie. Dziś nikt się studentką nie gorszy i nawet klasztory żeńskie wysyłają zakonnice do uniwersytetów na studia specjalne. Nie czas już spierać się o to, czy się stało dobrze, czy źle; życie sprawę rozstrzygnęło radykalnie i, zdaje się, raz na zawsze.

Chodzi tylko o to, aby wśród kobiet studujących w wyższych zakładach naukowych było najmniej takich, któreby studjów skończyć z dobrym wynikiem nie mogły, a do tego — powtarzamy — trzeba poważnego przygotowania się w szkole średniej. Doświadczenie poucza, że, z pominięciem wyjątków, ogół słuchaczek, by dorównać kolegom w postępkach naukowych, musi więcej i ciężiej pracować; powszechnie też uważane bywają słuchaczki za pilniejsze w porównaniu ze słuchaczami, a pilność ta — jak się zdaje — jest cnotą z potrzeby. Jeżeli tak, to zwłaszcza dla kobiet jest niebezpieczna pozycja słuchaczek nadzwyczajnych.

Szkoły wyższe, czyli tak zwane akademickie, mają ten (znowu wątpliwej wartości) przywilej, że mogą przyjmować na studia osoby, do tych studjów niezupełnie przygotowane, w tej myśli, że osoby te, przyłożywszy się bardzo pilnie do roboty, uzupełnią braki i zarazem zdołają należycie skorzystać z wykładów i ćwiczeń uniwersyteckich. Są tu więc dwa założenia, które niech mi wolno będzie nazwać fikcjami: 1) że do tego, aby korzystać z wykładów i ćwiczeń uniwersyteckich, nie trzeba być do nich przygotowanym, wskutek czego słuchaczowi nadzwyczajnemu, skoro uzupełni w jakiś sposób formalne braki (np. brak świadectwa maturalnego), zalicza się czas studjów, spędzony w charakte-

rze słuchacza nadzwyczajnego ; 2) że skoro słuchacz nadzwyczajny, niedostatecznie przygotowany do studjów uniwersyteckich, może bez szkody dla gruntowności swego wykształcenia podjąć dwom rzeczom naraz, t. j. pracy nad uzupełnieniem braków, wyniesionych ze szkoły średniej i pracy właściwej uniwersyteckiej, to słuchacze zwyczajni, którzy mają przed sobą tylko jedno zadanie, nie potrzebują się wysilać na podolewanie obowiązkom.

W rzeczywistości tak nie jest: oczywiście słuchacz lub słuchaczka z wielkimi zdolnościami a małymi aspiracjami naukowymi znajdzie sobie dość czasu wolnego na odpoczynek i rozrywki, ale kto chce z pobytu w uniwersytecie ile możności skorzystać, ten bez względu na stopień swego utalentowania ma pracy bardzo wiele. Dlatego też studja uniwersyteckie słuchacza nadzwyczajnego zawsze kuleją, a nieraz narażają go na bardzo gorzki zawód; dla słuchaczki nadzwyczajnej ze względów wyżej wspomnianych niebezpieczeństwo gorzkiego zawodu jest jeszcze groźniejsze, i dlatego kończę swą rzecz zwróceniem się do wszystkich, ale zwłaszcza do pań, mających możność zapisania się na uniwersytet w charakterze słuchaczek nadzwyczajnych, aby tego nie robiły; niech raczej postarają się o uzupełnienie swego wykształcenia w zakresie szkoły średniej, a potem niech się zapiszą na słuchaczki zwyczajne. Dopiero wtedy, gdy studja uniwersyteckie rozpoczną zupełnie normalnie, zyskają możność nabycia wiedzy w sposób, nie wyniszczający ich sił żywotnych, a lata pobytu w uniwersytecie staną się dla nich okresem słonecznym ich życia.

DR. ROMAN DYBOSKI
PROFESOR UNIwersYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

UNIwersYTETY A WYCHOWANIE OBYWATELSKIE ¹

Powróciwszy z Rosji, gdzie przez kilka lat byłem świadkiem zasadniczego tępienia inteligencji i jego następstw, zastaję w naszej wyzwolonej Polsce inteligencję w stanie nie tylko materialnej biedy, ale także głębokiego upadku jej moralnego znaczenia w społeczeństwie. Patrząc z jednej strony na Rosję sowiecką, gdzie było i, mimo zmiany kursu, jest ciągle jeszcze daleko gorzej, z drugiej strony na Europę środkową i zachodnią, gdzie bądź co bądź także męty nowowzbogaconej dziczy triumfująco pływają po wierzchu skłóconych przez wojnę do głębi wód życia społecznego, — nie mogę oddawać się skrajnemu pesymizmowi co do położenia naszego narodu w szczególności: jak to już stwierdziłem w innym miejscu², uważam obecnie optymizm społeczny za obowiązek narodowy.

Nie znaczy to jednak, bym nie uznawał potrzeby pracy nad wydobyciem inteligencji z tego nienormalnego położenia, w które w naszej epoce popadła.

Wydobycie to — co do tego nikt trzeźwo patrzący złudzeń mieć nie może — nie dokona się w najbliższym czasie drogą

¹ Artykuł niniejszy był drukowany w »Przeglądzie Akademickim«, numer kwietniowy, r. 1922.

² »Czas« z 10 lutego 1922: »Wiara w przyszłość a wiara w przeszłość«.

sanacji materialnego położenia inteligencji. Społeczeństwo może się zdobyć — i miejmy nadzieję, że się zdobędzie — na to, by drogą ofiarności publicznej polepszyć nieco położenie tak zwiększonej liczebnie, — a tak sproletaryzowanej młodzieży akademickiej. Ale państwo polskie przy obecnym stanie i najbliższych widokach swego skarbu, oraz przy nastroju panującym dziś w całym świecie co do wzajemnego stosunku wynagrodzeń za pracę mechaniczną a twórczą pracę umysłową — nie może dokonać tej czarodziejskiej sztuki, by zawody, do których prowadzą długie i żmudne studia akademickie, a w szczególności zawody płatne przez państwo, uczynić w najbliższej przyszłości materialnie ponętnymi. Musimy się oswoić z faktem, że kandydatów na docentów braknie, że coraz więcej profesorów gimnazjalnych będzie uciekało na posady do spółek akcyjnych, że sędziowie przenoszą się do adwokatury, że asystenci przy katedrach medycznych przeprowadzają się do miast prowincjonalnych na intratną praktykę lekarską, że nie będzie kończył praw ten, kto po jednorocznym kursie abiturjenckim w Akademii handlowej dostaje w banku posadę z płacą początkową wyższą od płacy zwyczajnego profesora uniwersytetu, albo ten, kto z samą maturą jest dyrektorem biura i tylko dla przyzwoitości doucza się trochę buchalterji.

Na taki rozwój stosunków obecnie u nas rady niema, i znowuż powtarzam, że do skrajnego pesymizmu z tej racji nie widzę powodu, że przy panującym przez naturalną reakcję po wzruszeniach wojennych usposobieniu lekkomyślnem, przy odzwyczajeniu młodych ludzi od stałej, natężonej pracy umysłowej przez lata służby wojskowej lub niewoli, przy łatwości otrzymania odpowiedzialnych stanowisk w naszym początkującym państwie, ubogiem w wyszkolonych urzędników, wreszcie przy tym stanie płynnym, w jakim wciąż jeszcze się znajduje reorganizacja naszego szkolnictwa średniego, wkraczamy niewątpliwie w okres nieuctwa lub przynajmniej niedokszałcenia i błagi. Przyczyni się do tego to, co słusznie nazwano blokadą finansową naszej kultury — niezmierne utrudnienie kontaktu z życiem umysłowem Zachodu przez nasze stosunki walutowe.

Ale nie będzie może całkiem źle dla odrodzenia szczególnie tej części naszego narodu, która znajdowała się pod za-

borem austriackim, jeżeli dokona się równomierniejszy podział zajęć w społeczeństwie, jeśli wywiąże się to, co przed wojną wskutek niedopuszczania Polaków do służby rządowej w kraju panowało pod zaborem rosyjskim: odpływ znacznej liczby tęgich sił do handlu, przemysłu, techniki, rzemiosła, — jeżeli na wyżyny zawodów inteligenckich dążyć będą tylko ludzie o tak silnem powołaniu, że pokona ono i trudności materialne studjów i zniechęcające warunki późniejszej kariery, — jeżeli nie powtórzą się już takie pamiętne fakty, jak ów przed wojną, że po wybudowaniu nowej szkoły przemysłowej w Krakowie i stworzeniu przy niej wzorówych warsztatów i innych udogodnień frekwencja się zmniejszyła, zamiast się zwiększyć!

Nie chodzi więc o niemożliwe zgóry zmiany w rozkładzie wyposażenia materialnego na korzyść inteligencji. Chodzi o dźwignięcie jej obniżonego autorytetu moralnego w społeczeństwie. Dzisiejsza sytuacja sprawdza trywjalne przysłowie: »Jak cię widzą, tak cię piszą«. Sprytny handlowiec zdobywa się wobec zbiedzonego inteligenta w najlepszym razie na litość. A nie jest to bynajmniej kwestja stanowej miłości własnej pewnej warstwy społecznej. Chodzi o normalne funkcjonowanie fizjologiczne organizmu społecznego — jeżeli wolno użyć tego tylokrotnie zdyskredytowanego porównania. Orgje analfabetyzmu w Rosji sowieckiej, a w mniejszym chwala Bogu zakresie i niektóre fazy naszego nowego życia państwowego powinny były nas nauczyć, że nie jest zdrowym ten ustrój społeczny, w którym klasa wykształcona nie pełni po staremu czynności mózgu.

Główną czynnością mózgu jest centralne kierownictwo całego życia organizmu, — główną funkcją inteligencji w normalnem społeczeństwie musi być decydujący udział w prowadzeniu zasadniczych akcji społecznych i państwowych, słowem — czy chcemy, czy nie chcemy — sternictwo polityczne narodu. Czytałem przed laty w jakimś numerze świątecznym *Neue Freie Presse* znakomity artykuł wielkiego berlińskiego prawnika F. Lista »Über die politische Teilnahmslosigkeit der Gebildeten«. Trafnie stwierdzając fakt wzrastającej obojętności wybitnie wykształconych fachowców wobec czynnego życia politycznego (nawet wobec obowiązków wyborcy do parlamentu czy gminy), uczony ów szukał przyczyny tego objawu we wstręcie, który w człowieku kulturalnym

budzić musi to bagno, jakim jest wszelka polityka partyjna, — a bez przynależności do jakiejś partji niema działalności politycznej — »aktive Politik ist Parteipolitik«. To samo niedawno u nas stwierdził prof. W. Konopczyński w swym artykule »Partyjność a bezpartyjność z punktu widzenia etyki« (»Przegląd Wszechpolski«, kwiecień, 1922 r.).

Podniesienia moralności partyjno-politycznej więc potrzeba dla ożywienia udziału inteligencji w życiu publicznem i dla podniesienia przez to jej powagi, jako czynnika naprawdę żywotnego w całokształcie bytu narodowego.

Do takiego zaś podniesienia etyki politycznej droga prowadzi według mojego najgłębszego przekonania tylko przez podniesienie i rozpowszechnienie wiedzy obywatelskiej i kultury parlamentarnej. »Wielikąją Ijubow' jest' docz wielikawo poznanja« — to piękne godło książki Mereżkowskiego o Leonardzie da Vinci w zastosowaniu do mojego tematu da się przetłumaczyć na słowa: »Wyrozumienie i porozumienie może wykwitnąć tylko na gruncie głębokiego i wszechstronnego wykształcenia politycznego«, i sztuka kompromisu, z której Anglicy zrobili alfę i omegę postępu politycznego, rozwinąć się tylko zdoła przy systematycznej dbałości o należyte wyhodowanie świadomości obywatelskiej.

Jakie do tego celu chcę wskazać praktyczne drogi? zapyta czytelnik, zniecierpliwiony taką masą banalnej teorii.

Przed wojną, w tej części społeczeństwa, która mogła naprawdę działać politycznie na gruncie prawno-państwowym, t. j. w zaborze austriackim, monopol kultury politycznej posiadało studjum prawnicze. Rezultatem tego była przewaga prawników także w takich dziedzinach życia publicznego, gdzie nie mogli oddawać dobrych usług. »Ein Jurist ist ein Mann, der über alles ein Gutachten abgeben kann« (»Prawnik, to człowiek, co o wszystkim umie wydać orzeczenie«), tak raz dumnie wobec mnie, filozofa, zdefiniował kwalifikacje i stanowisko społeczne swego stanu typowy prawnik austriacki. Istotnie, prawnicy na podstawie swego »ogólnego wykształcenia« i »wytrobionej przez myślenie prawnicze stanowczości sądu« wydawali bez zająknięcia orzeczenia w sprawach handlowych, przemysłowych, technicznych, oświatowych, pedagogicznych, wyznaniowych, lekarskich i innych,

na których się zgola nie znali. Nigdy nie zapomnę autentycznej anegdotki o tym c. k. komisarzu starostwa w Drohobyczu, który w sprawie między spółką akcyjną a jakimś żydem o dostarczone przez tego żyda rury złęgo gatunku, jako członek komisji lokalnej, choć okiem profana w oglądanej z obu końców rurze żadnego błędu nie odkrył, jednak z takim aplombem wpadł z wymówkami na żyda, że ten, przerażony jego znajomością rzeczy, odrazu wyraził gotowość na wypłacenie Towarzystwu znacznego odszkodowania.

W nowej Polsce tej wszechwładzy prawników niema. Choćby nawet chciano zapelnąć odpowiedzialne stanowiska w administracji prawnikami, nie wystarczyłoby ich z dawnego galicyjskiego zapasu odrazu na całą Polskę. Mamy wprawdzie dzięki temu jeszcze niekompetentniejszych starostów (szczególnie na kresach!), niż niektórzy urzędnicy administracyjni w dawnej Galicji, mieliśmy chemika-ambasadora i chemika-wiceministra spraw zagranicznych, mamy rząd z ośmiu ministrami-inżynierami, czyli, jak jego przeciwnicy wzgardliwie mówią, »saperski«. Ale powtarzam i tu: nie trzeba na takie objawy patrzeć jednostronnie pesymistycznie, jako na dokumenty naszej biedy kulturalno-politycznej i niedostatku ludzi kwalifikowanych. Przeciwnie, trzeba sobie z otuchą powiedzieć, że ma i swoje dobre strony ta z konieczności liberalniejsza praktyka w doborze pracowników, bo w okresie formowania się nowego życia państwowego nie jest pożądane, by nad tym procesem socjalno-biologicznym wyłączną pieczę mieli ludzie o tych normatywnych, dogmatycznych, formalizujących skłonnościach, jakie w psychice wyrabiać muszą studja prawnicze.

Jedno tylko jest nieodzownie potrzebne, by ten stan przejściowy na złe rozwojowi Rzeczypospolitej nie wyszedł i pomyslnie stworzył precedensy, — to jedno mianowicie, do czego wciąż powracam: wytworzenie pewnego obowiązującego poziomu uświadczenia państwowo-politycznego u ogółu obywateli z wyższym wykształceniem. Skoro już inteligencja jako taka poniekąd straciła *prestige*, toć stosunkowo pewnym sposobem obudzenia w masach nowego do niej zaufania jako do powołanych przewodników w życiu publicznem będzie stworzenie przez odpowiednie urządy takie go stanu rzeczy, w którym każdy in-

teligent bez różnicy specjalności będzie wstępował w życie publiczne z uzasadnioną reputacją człowieka, posiadającego w sprawach politycznych większy kapitał wiedzy, niż szeregowiec-wyborca. Tylko taką drogą możemy się choć nieco zbliżyć do owego, w całości zapewne nigdy nieziszczalnego układu, w którym zawodowych karierowiczów politycznych zastąpiliby leaderzy o typie kulturalnym.

Ale jakież urzędnienia mają temu idealnemu celowi służyć? — ponownie przerwie zniecierpliwiony czytelnik.

Potrzebę, powyżej określoną, w jednej dziedzinie już oficjalnie uznano i poniekąd zaspokojono, mianowicie w wyższym szkolnictwie technicznym: mamy na politechnikach po jednej katedrze umiejętności prawniczo-politycznych i ekonomiczno-społecznych, i słuchanie tych wykładów dla wszystkich studentów politechniki jest obowiązkowe.

Trzeba według mojego przekonania ten sam krok zrobić i na innym polu, mianowicie w tym ogromnym kompleksie nauk, jaki obejmują fakultety filozoficzne naszych uniwersytetów¹. Zdajemy sobie wszakże sprawę z tego, że wydziały te w najbliższej przyszłości bynajmniej nie będą wyłącznie, ani może nawet głównie fabrykami nauczycieli szkół średnich, lecz będą wypuszczały w świat pracowników na przeróżnych polach służby publicznej, sporo będą musiały dawać dziś organizatorów, jutro administratorów. Trzeba więc, by ci wszyscy posiadli pewną wspólną minimalną miarę nauki politycznej.

Ależ, mógłby ktoś zarzucić, jest to już zrobione, przynajmniej w naszym jagiellońskim Krakowie, gdzie istnieje przecież Szkoła nauk politycznych, zorganizowana według najlepszych w świecie wzorów: paryskiego i londyńskiego, pozostająca

¹ O fakultetach medycznych nie ośmielam się mówić, bo sprawa wykładania na tych wydziałach w szerszym zakresie umiejętności społecznych, związanych z powołaniem lekarza (ustawodawstwo sanitarne, higiena socjalna, zasady etyki lekarskiej) może z pożytkiem być podjęta ze strony kompetentniejszej odemnie.

Co do teologii, pamiętamy jeszcze hałas, jakiego z lewa i z prawa narobiło przed laty utworzenie katedry »chrześcijańskich nauk społecznych« na fakultecie krakowskim. Dziś, gdy tyłu księży zasiada w naszym Sejmie, bardziej niż kiedykolwiek oczywistą jest chyba zasadnicza potrzeba włączenia takich wykładów w program studjów teologicznych.

w ścisłej łączności z Uniwersytetem i dostępna właśnie dla słuchaczy filozofji narówni z prawnikami.

Dostępna: tak. Ale to mało. Jest faktem doświadczenia, że natura ludzka tak samo potrzebuje pewnej miary przymusu, jak potrzebuje znacznej miary wolności. Czyż nie wniesiono już tylu poprawek do tej nieograniczonej wolności nauki, która była tradycją uniwersytetów o typie środkowo-europejskim w przeciwieństwie do anglo-saskiego? Wszakże uznając pewne wykształcenie ogólnofilozoficzne za niezbędny element syntetyczny w wykształceniu każdego studenta fakultetu filozoficznego, nie przedstawia się na udostępnieniu mu wykładów w zakresie filozofii i psychologii, ale wymaga się od niego wykazania się pewnymi studjami w tym zakresie, jako warunku osiągnięcia stopnia doktorskiego. *A contrario* zaś, rażąco u wielu inteligentów-specjalistów brak kultury estetycznej i literackiej i rozpowszechnione dyletanckie lekceważenie wiedzy fachowej w tych dziedzinach, czyż nie jest spowodowane tem, że każdemu studentowi filozofii wolno dziejów sztuki i literatury słuchać, ale żaden przepis ani żadna wskazówka pedagogiczna go na nie nosem nie natyka? Nie wszyscy rozumieją sami z siebie, że *humanitas* jest potrzebna i nie-humanistom.

A przecież w warunkach życia dzisiejszego, jeżeli ważne jest, by człowiek wykształcony wiedział o czasie i przestrzeni, jako nieodzownych kategoriach ludzkiego myślenia, o podmiocie i przedmiocie, jako zasadniczych czynnikach każdego przeżycia, to nie mniej niezbędne jest, by miał zbudowane na wiekowych doświadczeniach ludzkości pojęcie o kategoriach prawa i obowiązku w życiu obywatelskim, o kategoriach swobody jednostki i zależności społecznej w systemie równowagi państwowej, o kategoriach wolnej inicjatywy i kolektywistycznego unormowania w sferze gospodarstwa narodowego. Pewne podstawowe fakty, składające się na różne dzisiejsze poglądy i programy w tych sprawach, powinien, mojem zdaniem, każdy słuchacz filozofii popoznawać z ogólnie obowiązujących wykładów o tych przedmiotach.

Takie wykłady dla słuchaczy filozofii, równie obowiązujące, jak wykłady etyki i filozofii prawa dla początkujących prawników, mogłyby oczywiście tylko mieć sens i przynieść korzyść jako

nadbudowa nad pewnym fundamentem, stworzonym przez szkołę średnią, w postaci zasobu wiadomości całkiem innego, niż ten, jaki w końcowych klasach szkół średnich austriackich dawała »statystyka« (»Bürgerkunde«) lub w rosyjskich »zakonowiedzenie«. Nikt nie powinien opuszczać dzisiaj państwowej szkoły średniej bez znajomości konstytucji i głównych zarysów maszynjerii ustawodawczej i administracyjnej swego państwa, tak samo, jak nikt nie powinien przystępować do pierwszej komunji świętej bez znajomości katechizmu. Słowem, sądzę, że nie będzie przesadną rzeczą wymagać, by abiturjent umiał ze zrozumieniem przeczytać gazetę.

Przejdźmy teraz od kwestji teoretycznego wykształcenia do drażliwszej znacznie kwestji praktycznego wyrobienia obywatelskiego. Lichy stan wymowy publicznej w naszym (zresztą niestety tak rozgadanem) społeczeństwie jest faktem powszechnie znanym i niejednokrotnie przez każdego z nas boleśnie odczuty na posiedzeniach, wiecach, obchodach, zebraniach, odczytach, dyskusjach. Równie lichy stan etykiety parlamentarnej mamy tak samo na licznych przykładach ciągle przed oczyma, poczynawszy od małej areny jakiegokolwiek towarzystwa lub rady gminnej, a skończywszy na Sejmie.

Siedm lat niewoli wśród społeczeństwa tak zupełnie pozbawionego kultury form i poszanowania dla tradycji i konwenansów formalnych, jak społeczeństwo rosyjskie, nauczyły mnie wyżej, niż kiedykolwiek, cenić pierwiastek formy i stylu, — nauczyły mnie głębiej niż kiedykolwiek rozumieć, że forma jest czynnikiem twórczym nie mniej od treści, że bez niej niema kryształizacji myśli ludzkiej w zbawczym konkretnym czynie, że wszelka etykieta — od salonowej do sejmowej — jest nie wymysłem dla udzięki, lecz wytworem długich zbiorowych usiłowań nad ułatwieniem pożycia między ludźmi, że wreszcie takt jest jedną z najcenniejszych cnót kardynalnych cywilizowanego człowieka, że podobnie, jak według słów Pisma Świętego »miłość pokrywa mnóstwo grzechów«, tak samo takt może pokryć całą otchłań niedostatków teoretycznych, błędów metodycznych,

nieporozumień zasadniczych, i w ten sposób umożliwić owocne działanie społeczne przy całej konstelacji przeszkód i hamulców.

Powie ktoś (może taki, co sam niedawno gardłował wśród roznamiętnionej braci na wiecach akademickich): Niepotrzebna troska pedagogiczna o formalne wyrobienie obywatela, bo wykształcenie oratorskie i parlamentarnie dają nam stowarzyszenia akademickie i ich zebrania, dają nam zjazdy i wiece młodzieży, dają nam niezliczone kółka a specjalne w uniwersytetach. A samokształcenie jest więcęj warte od mentorstwa.

I krzyknie znów ktoś inny z przeciwnego skrzydła: Co? Niedosć jeszcze mieliśmy studenckiej polityki i »pajdokracji« na sposób ukraiński? Jeszcze chcecie do samego systemu wychowawczego wprowadzać popychanie młodzieży na drogę dyletantyzmu obywatelskiego, zaprawiając ją do przedwczesnego roztrząsania spraw państwowych i społecznych?

Odpowiem pierwszemu, że dalekim jestem od tego, bym niedoceniał wychowawczego wpływu życia stowarzyszeniowego akademików, jako szkoły wymowy i parlamentaryzmu. Dość miałem sposobności przez trzy lata (1911—1914), jako kurator Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego, na cotygodniowych posiedzeniach Wydziału przekonać się o tem, jak dobrze młodzież wyrabia do zadań obywatelskich odpowiedzialność za losy tej największej, najważniejszej i najmątniejszej instytucji studenckiej.

Ale odeprę znowu protesty drugiego objektora, i to idąc po samej linii jego myśli, jeżeli dodam, że jednak ruch stowarzyszeniowy, wiecowy i kongresowy nie może być uważany za dostateczne narzędzie wykształcenia obywatelskiego, dlatego mianowicie, iż zbyt ściśle kojarzony jest w każdym swym objawie z pewną doraźną okazją, z pewnym gorączkującym młodzież w danej chwili przedmiotem, że w wulkanicznej atmosferze namiętej wymiany zdań o spornych sprawach aktualnych ginie właśnie ta dbałość o ustalone i doskonałe formy, o którą mi tu chodzi. Jeżeli ma być mowa o wychowaniu młodych ludzi na mówców i parlamentarzystów, to musi się ono odbywać w temperaturze mniej gorącej, w pewnem oderwaniu od pasjonującej aktualności i w postaci pewnych regularnych i ciągłych ćwiczeń,

na których bez specjalnej *causa loquendi* i bez efemeryczno-politycznych *ira et studio* zwracałoby się uwagę głównie na kulturę formy. Znakomicie to wychowawcze zadanie wypełniają w szkołach internatowych i uniwersytetach angielskich kółka dyskusyjne («Debating Societies»), nadewszystko »Union« w Oxfordzie i w Cambridge, te prawdziwe pepinjery angielskich mężów stanu. Zdaje mi się, że tu mamy do czynienia z jedną z bardzo niewielu pośród owych, tak egzotycznych naogół dla nas, instytucyj angielskich, które możnaby z pożytkiem zaszcześcić na naszym ustroju. Opisałem działanie tych klubów w mojej broszurze »O życiu akademickim na uniwersytetach angielskich« (Kraków, 1908) i tu tylko uwydatnię kilka rysów istotnych. Klub dyskusyjny zbiera się raz na tydzień bez względu na to, czy pogoda czy burza w życiu młodzieży, czy powietrze społeczne i polityczne jest nasycone elektrycznością, czy nie. Dla umożliwienia przygotowania się do dyskusji zawsze na tydzień naprzód ogłasza się wybrany przez Wydział przedmiot najbliższego zebrania. Tematy zawsze są wybrane z zakresu zagadnień o społecznej lub politycznej, narodowej lub międzynarodowej, państwowej czy ludzkiej żywotności i doniosłości, zawsze też są dostatecznie aktualne, by wzbudzać zainteresowanie, ale dostatecznie ogólnie ujęte, by postawić dyskusję na platformie akademickiej i wykluczyć polemikę osobistą, lokalną lub koteryjną. Szczególnie ważnymi czynnikami wychowawczymi są dwie niezmiennie zasady: że temat zawsze ma formę tezy i że przemawiać wolno tylko albo za tem twierdzeniem, albo przeciw niemu, a nie w sensie niezdecydowanym i połowicznym. Co za szkoła męskiej stanowczości myśli! Dodać trzeba, że nie brak i tego warunku pożytecznego urzeczywistnienia, jakim jest egzekutywa: przewodniczący, podobnie jak »speaker« w parlamencie angielskim, ma pełnomocnictwa dyktatorskie w zakresie kierowania dyskusją i może wzywać do porządku lub odbierać głos nie tylko za nieparlamentarne wyrażenia, niewłaściwe wycieczki, odbieganie od przedmiotu, ale także za niepotrzebną rozwlekłość, a nawet za posługiwanie się notatkami rękopiśmiennymi zamiast swobodnego przemawiania z pamięci.

Dyskusja rozpoczyna się od przygotowanych starannie przemówień dwóch jeneralnych mówców *pro* (wnioskodawca

i jego sekundant) i dwóch jeneralnych mowców *contra* (oponent i jego sekundant), i rozwija się dalej już w przemówieniach mniej lub więcej improwizowanych.

Po każdej dyskusji odbywa się głosowanie nad postawioną tezą, i wynikami tego głosowania, ogłaszanymi w gazetach, opinia publiczna żywo się interesuje, jako świadectwami stanowiska młodzieży wobec ważnych spraw bieżących.

Pragnąłbym najgoręcej, by instytucje o podobnym do tego angielskiego typie stały się u nas narzędziem wychowania młodzieży akademickiej na dojrzałych i statecznych działaczy, zdolnych kierować ruchami i myślami politycznymi mas tak właśnie, jak to na prawdziwą arystokrację ducha przystoi.

* * *

Kończąc te uwagi, zdaję sobie sprawę, że mogą się okazać we wielu szczegółach teoretycznie ryzykownymi, nieskładnymi lub chwiejnymi, praktycznie nieprzydatnymi lub niewykonalnymi, a nawet, co gorsza, faktycznie i obiektywnie niedokładnymi i nieścisłymi, bo może we wielu względach prześcigniętymi przez dyskusję publiczną i przez rzeczywisty rozwój naszego szkolnictwa w kraju w ciągu mojej niewoli. Uświadamiam sobie także ten walny zasadniczy argument przeciwko moim projektom, jaki stanowić musi poprostu okoliczność, że w rozkładzie godzin i trymestrów przeładowanego pracą, zbiedzonego i zmuszonego do zarobkowania akademika trudno fizycznie znaleźć jeszcze czas na wstawienie kursu naprawdę poważnych obowiązkowych studjów państwowo-politycznych, a tem bardziej ekonomiczno-społecznych. Tworzenie zaś nowych klubów dyskusyjnych obok licznych istniejących już akademickich kółek samokształcenia zakrawałoby ponoś na to, co Niemcy nazywają »Vereinsmaierei« i dałoby dodatkowy impuls naszemu, i tak już nadmiernemu, rozgadaniu narodowemu.

Mimo to ośmielam się wyrazić nadzieję, że zasadnicze moje dowodzenia nie pozostaną bez echa, lecz wywołają owocną dyskusję choćby w formie najgorętszej przeciw mnie polemiki, aczkolwiek zarazem wyraźnie oświadczam, że wyzywać na spór nikogo nie chciałem i w szczególności dla fachowej wiedzy

prawniczej, jako ostoji wszelkiego ładu państwowego, mam tę samą głęboką cześć, w której jako syn prawnika wychowałem się i wyrosłem, w której my wszyscy jako synowie narodu o wielowiekowej tradycji życia konstytucyjnego *vivimus et movemur et sumus*.

CZWARTA KSIĘGA

ZAGADNIENIA GOSPODARCZE

DR. TADEUSZ BRZESKI
PROFESOR UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO

ZAGADNIENIE REALIZMU W PROGRAMIE GOSPODARCZYM


Jeżeli prawdą jest, że brak nam określonego programu na polu gospodarczym, jak zresztą na tylu innych polach, to jest to niewątpliwie niedomaganie poważne, które kwestjonować może skuteczność i racjonalność wysiłków, podejmowanych przez państwo i społeczeństwo przy tak doniosłym procesie kształtowania życia gospodarczego w nowym organizmie państwowym. Jednak zdawać sobie trzeba sprawę z tego, że polityka ekonomiczna państwa i zorganizowanego społeczeństwa rozwija się na podkładzie dążeń gospodarczych jednostek, że wpływ jej na te dążenia nie może przekraczać pewnych granic, że może je prostować i uświadamiać, ale nie nada im odmiennego zasadniczo kierunku. Stąd też dla polityki ekonomicznej nie mniej ważnym zadaniem winna być znajomość tego, co możnaby nazwać nastrojami gospodarczymi samego społeczeństwa; byłby to punkt wyjścia dla oceny granic możliwości tej polityki, a zarazem podstawa dla akcji wychowawczej i uświadamiającej na polu gospodarczym, której znaczenia nie można nie doceniać zwłaszcza w stosunku do społeczeństwa o tak świeżej kulturze gospodarczej, jak nasze. Może ta akcja iść opornie i wydawać nikłe rezultaty; posiew jednak winien być rzucony, chociażby w interesie przyszłych pokoleń.

W tych nastrojach gospodarczych wyróżnić możnaby z jednej strony formę, z drugiej treść dążeń gospodarczych jednostek. W pierwszym kierunku różnice polegałyby na większym lub mniejszym materializmie, a więc znaczeniu celów materialnych w życiu społeczeństwa, na większej lub mniejszej przedsiębiorczości, czy też jej braku, na sile wytrwałości i konsekwencji, na stopniu trzeźwości w ocenie sytuacji, na różnej zdolności do wysiłku i poświęceń. W drugim kierunku możnaby mieć na myśli predylekcje do takich lub innych zawodów i sposobów zarobkowania, do szukania powodzenia na miejscu, w kraju, czy też zagranicą lub za morzem, do zadowalniania się codziennem i zwykłym zajęciem, czy też czekania na niezwykle okazje. Wszystkie to kombinuje się w jedną całość i składa na fizjognomję gospodarczą społeczeństwa w określonym czasie i miejscu. Pozostawia w niej ślady przeszłości, a z elementami przeszłości walczą współczesne wpływy i warunki. Zrównoważone pod tym względem mogą być tylko społeczeństwa o normalnym i równomiernym rozwoju; wyjątkowość warunków stwarzać może jednostronność tego charakteru gospodarczego.

Spółeczeństwo polskie jest z tego punktu widzenia nader niejednolite. Za najbardziej zacofaną w stosunku do potrzeb nowoczesnego życia gospodarczego można było przed wojną uważać ludność b. dzielnicy austriackiej, chociaż jej charakterystyka nie była zupełnie jednolitą. Zaznaczał się tu niezmierny konserwatyzm wobec nowych zawodów ze strony warstw inteligentnych i ludności wiejskiej; było to w znacznej mierze przyczyną niepowodzeń w uprzemysłowieniu i wytworzeniu stanu średniego po miastach. Brak przedsiębiorczości łączył się z niesprawiedliwioną niewiarą w postęp gospodarczy kraju. Ale obok tego była równocześnie przedsiębiorczość inna, wywołująca skutki niezmiernie doniosłe, przedsiębiorczość warstw chłopskich, idących gromadnie na emigrację i rozszerzających gwałtownie swoje warsztaty rolne. Nie można temu społeczeństwu odmówić oszczędności i rzadności, chociaż równocześnie interesy materialne nie odgrywały zbyt wybitnej roli w porównaniu z innymi sferami życia. Mimo to była zdolność do poświęcania wysiłków w interesie podniesienia dobrobytu, i to nie tylko ze strony jednostek, ale i ogółu, czego dowodem może być akcja czynni-

ków publicznych na polu gospodarczem. — B. dzielnica pruska wyszła z epoki rozbiorów może najbardziej zrównoważona w swym charakterze gospodarczym. Dostosowywała się do postępu gospodarczego państwa zaborczego nie tylko z interesu, ale i z konieczności, aby nie pozostawać w tyle. Pewne zmaterializowanie uszlachetnione było przez ścisłe związanie celów gospodarczych z celami narodowymi; przedsiębiorczość indywidualna znajdować mogła upust w przedsiębiorczości zbiorowej, w zdolności do organizowania się, uznawanej, jak wiadomo, i przez wrogów. — B. dzielnica rosyjska przedstawia pod wielu względami obraz odmienny; do jej charakterystyki tem większą należy przywiązywać wagę, że prawdopodobnie dzięki liczebności swej ludności i tradycjom polskim kulturalnym i dzięki wysoko rozwiniętemu życiu gospodarczemu na polu przemysłu odegra w naszych stosunkach gospodarczych decydującą rolę.

Dla psychologii gospodarczej Królestwa jest, sądzić można, przełomowym okres, następujący po powstaniu z roku 1863. W miejsce egzaltacji patriotycznej przychodzi pozytywizm; wobec beznadziejności sytuacji tem większe znaczenie przypada zabiegom materialnym, jako nieświadomemu wyrazowi dostosowania się do położenia. Było to poniekąd przygotowane przez pracę nad podniesieniem gospodarczem kraju, prowadzoną przez Królestwo Kongresowe i stworzone przez nie instytucje; w każdym razie ta zmiana nastroju od idealizmu niepodległościowego do pozytywizmu, w znacznej części materialistycznego, wydawać się może niespodziewaną i niezrozumiałą, gdyby nie to, że przykładów na podobne silne kontrasty psychologiczne, polegające na przesuwaniu się z jednego ekstremu w drugi, możnaby przytoczyć więcej. Mówiąc o pozytywizmie, zdajemy sobie sprawę z tego, że był to przedewszystkiem kierunek literacki, z życiem mający dość mało wspólnego; mimo to nie ulega wątpliwości, że życie, nawet gdyby nie podlegało wpływowi pozytywizmu, równocześnie i równolegle rozwijało się tak, jakby tego sobie mógł pozytywizm życzyć. Społeczeństwo rolniczo-szlacheckie bierze się do handlu i przemysłu; typ społeczny polski wzbogaca się o typ kupca, przemysłowca i technika, równouprawniony w opinii publicznej z typami wytworzonymi przez dawniejszą epokę. Charakterystyka gospodarcza społec-



czeństwa posiadała rysy tak cenne, jak przedsiębiorczość i rzutkość, zamiłowanie do zawodów i pracy gospodarczej, nie była jednak pozbawioną pewnej cechy znamiennej, którą możnaby określić jako brak zmysłu realizmu, a co niewątpliwie utrzymało się i do dziś dnia.

Niemal we wszystkich trzech dzielnicach fatalizm naszej sytuacji gospodarczej polegał na tem, że życie gospodarcze nie tkwiło wszystkimi korzeniami w gruncie rodzimym. Miało to co prawda inne znaczenie dla Królestwa, aniżeli dla dwóch pozostałych dzielnic. Te ostatnie były terenem ekspansji i eksploatacji dla przemysłu i ustroju kredytowego państw zaborczych; b. zabór pruski związany był ponadto stosunkami ludnościowymi przez emigrację do niemieckich centrów przemysłowych. Dlatego też te dzielnice nie mogły żyć pełnem i swoim własnem życiem gospodarczem. W Królestwie, przeciwnie, jedną z podstaw dobrobytu ekonomicznego były owe sławne targi wschodnie, choć równocześnie i wpływy gospodarcze, wychodzące z państwa rosyjskiego, odbijały się ujemnie, przedewszystkiem na polu rolnictwa. Wynikało z tego to, co możnaby nazwać eksterytorjalnością dążeń gospodarczych. Nie najbliższe, wewnętrzne targi, nie zaspakajanie potrzeb krajowego konsumenta, ale zarobki na bliższym i dalszym Wschodzie nęciły w pierwszym rzędzie rozwijający się tak bujnie zmysł przedsiębiorczości. Była to praca dla konsumenta obcego, o innych upodobaniach i innym poziomie kulturalnym, o innych przyzwyczajeniach w płaceniu zobowiązań; ryzyko w stosunku do tego odbiorcy i dłużnika polegało nie tylko na odległości jego miejsca zamieszkania, ale także na fluktuacjach w sytuacji gospodarczej tamtych terytorjów, które z odrębnych mogły wynikać przyczyn i bez owych stosunków handlowych prawdopodobnie nie sięgałyby swym wpływem do kraju.

Sądzić można, że wycisnęło to specjalne piętno na przedsiębiorczości polskiego społeczeństwa w Królestwie. Budziły tę przedsiębiorczość nie najbliższe i lokalne cele, ale odległe i egzotyczne perspektywy. Małe zyski, stopniowe utrwalanie i rozszerzanie podstaw działalności zarobkowej nie wytrzymywały konkurencji ze świetnymi i szybkimi widokami zdobywania targów wschodnich. Otworzyły się one tak niespodzianie i wzrastały co

do swej pojemności tak szybko, że musiało to robić wrażenie procesu automatycznego, niezależnego od woli ludzkiej i zesłanego przez jakieś siły wyższe. W takiej atmosferze przedsiębiorczość przybierać mogła charakter spekulacji raczej, przy której trzeźwy rachunek ustępował miejsca wierze w powodzenie; inne cnoty gospodarcze, jak roztropność, czujność, umiarkowanie, wytrwałość, oszczędność, skrzętność, żeby posłużyć się określeniami, użytymi już przez Adama Smith'a, wywierać musiały mniejszą siłą przyciągającą.

Wydaje nam się, że ta psychologia gospodarcza nie zmieniła swego charakteru i dzisiaj, a nawet, być może, zaostrzyła się jeszcze pod wpływem spekulacyjnej konjunktury, towarzyszącej pierwszym latom istnienia naszego państwa. Coraz częściej słyszy się głosy tęsknoty za utraconymi targami wschodniami, o których znaczenie prowadzono namiętną dyskusją za czasów okupacji. Sądząc z tych głosów opinii, przypuszczać można, że widzi ona w ekspansji polskiego przemysłu na wschód główny warunek pomyślności gospodarczej, a zarazem i potęgę politycznej naszego państwa. Gdyby łączyło się to z lekceważeniem zadań gospodarczych wewnątrz kraju, byłoby objawem ujemnym. Ta zasadnicza orientacja naszego rozwoju gospodarczego pozostaje w ścisłym związku z całokształtem naszej polityki gospodarczej i społecznej, dlatego też jest to zagadnienie, które, jak żadne inne, pozwoli na ujęcie naszych najbardziej zasadniczych problemów gospodarczych. Toteż nic, zdaniem naszym, nie wprowadzi tak dobrze w samą istotę tych zagadnień, jak krytyczne i trzeźwe rozpatrzenie widoków naszej ekspansji przemysłowej na wschód. Będzie to zarazem zagadnienie realizmu w polityce gospodarczej.

* * *

W dyskusji, prowadzonej w czasie wojny w Piotrogradzie, nazwano związek gospodarczy Królestwa z Rosją związkiem »rynków komplementarnych«. ¹ Rosja była rynkiem zbytu dla przemysłu Królestwa, Królestwo dla surowców i artykułów rolniczych. Coprawda innym było znaczenie komplementarnego

¹ Autorem tego określenia był prof. Petrażycki.

rynku zbytu dla każdego z partnerów tego stosunku. I tak niewątpliwie rynki rosyjskie były decydujące dla przemysłu Królestwa, gdyż wywóz przemysłowy do Rosji szacowano w ostatnich latach przed wojną na połowę wartości całej produkcji przemysłowej Królestwa. Natomiast, jak to z natury rzeczy wynika, wywóz z Rosji do Królestwa, zarówno w zakresie artykułów rolniczych i surowców, jak wyrobów przemysłowych, nie mógł odgrywać tak decydującej roli dla życia gospodarczego Rosji. Jeżeli twierdzić można, że między temi obydwoma obszarami gospodarczemi dokonał się podział pracy, to jednak nie mogło być mowy o stanowczej przewadze Królestwa, opartej na jego specjalizacji przemysłowej w stosunku do Rosji. Wartość wytwórczości przemysłowej Królestwa w stosunku do takiejże wartości w całym państwie wynosiła (1910) mniej więcej $1/7$, a odsetek ten był wyższy tylko w niektórych działach przemysłu, jak zwłaszcza w przemyśle wełnianym (40%). Widzimy więc, że produkcja przemysłowa Królestwa stanowiła stosunkowo nie tak znaczny ułamek produkcji przemysłowej całego państwa, które od biedy mogłoby się było, w pewnych przynajmniej działach, bez niej obejść. Mimo to nie ulega wątpliwości, że rozwój przemysłowy Królestwa był wyższym, aniżeli w reszcie państwa rosyjskiego; przemysł Królestwa wykazywał wyższe cyfry procentowe robotników i wartości produkcji, aniżeli by to wynikało ze stosunku ludności Królestwa do Rosji. W każdym razie Królestwo w porównaniu z Rosją przedstawiało się naogół jako kraj przemysłowy, w przeciwstawieniu do przeważającego rolniczego charakteru reszty imperjum rosyjskiego.

Ten stan rzeczy nasuwać musiał analogię z innemi podobnemi wypadkami w historii gospodarczej świata. Z podziałem pracy między poszczególnymi terytorjami spotykamy się też nader często. Może tu chodzić bądź o wzajemny stosunek krajów uprzemysłowionych i rolniczych, co odpowiadałoby sytuacji Królestwa wobec Rosji, bądź też o wymianę handlową między krajami przemysłowemi w zakresie specjalności każdego z nich. Wiadomo, że w literaturze ekonomicznej ścierały się poglądy co do korzyści, jakie z takiego podziału pracy odnoszą obydwie strony, co prowadzić musiało do bliższego wniknięcia w istotę

warunków wymiany międzynarodowej. Równa siła obu stron wydawać się musi mało prawdopodobną tam, gdzie chodzi o stosunek kraju przemysłowego do rolniczego. Wprawdzie kraj przemysłowy o silnie zagęszczonej ludności może w swej egzystencji być zależnym od eksportu do krajów rolniczych, gdyż w razie podcięcia tego eksportu musiałaby prawdopodobnie znaczna część jego ludności wyemigrować, jednak kraje takie są to zazwyczaj kraje o dawnej zamożności, o potężnej organizacji kredytowej i handlowej, o wielkich wpływach politycznych, natomiast kraje rolnicze są przeważnie ubogie, mało rozwinięte gospodarczo i politycznie słabe; najważniejsza zaś, że takich krajów rolniczych jest dużo, krajów przemysłowych mało, co zmniejsza konkurencję wśród tych ostatnich i daje im przewagę nad odbiorcami artykułów przemysłowych.

Eksport przemysłowy zapewnia niewątpliwie wielkie zyski, a w każdym razie umożliwia wyżywienie gęstej ludności na terytorjum uprzemysłowionem. Ta gałąź wytwórczości połączona jest z większym ryzykiem, aniżeli wytwórczość obliczona na potrzeby wewnętrzne. Rynki zbytu znajdują się na obcych terytorjach państwowych, częstokroć nieskonsolidowanych pod względem ustroju prawnego i politycznego, podlegających fluktuacjom gospodarczym, wynikającym z przyczyn, związanych wyłącznie z temi terytorjami; nie mówimy już o trudnościach, jakie powstawać mogą dla eksportu przemysłowego z dezorganizacji walutowej. Stopień tego ryzyka znajduje wyraz we fakcie, że gałęzie wytwórczości eksportowej wykazują, obok przemysłów sezonowych, najwyższe cyfry bezrobotnych. Do tych momentów ujemnych, które coprawda nie kwestjonują wogóle zyskowności wytwórczości eksportowej, lecz tylko nadają jej charakter niepewności i zmienności, przyłączają się jeszcze dążności emancypacyjne obcych rynków zbytu, które godzić mogą w same podstawy egzystencji krajów eksportowych. Motywy tych dążności mogą mieć charakter gospodarczy, gdy kraj, zalewany obcemi artykułami przemysłowemi, uważa się za wyzyskiwany; nawet jednak wówczas, gdy kraj taki gospodarczo wychodzi korzystnie, może dążyć do wyzwolenia się od obcych zależności dla celów zagospodarczych. I tak w imię interesów państwowo-narodowych kraj może pragnąć stworzenia własnego

przemysłu, chociażby kosztem ofiar, poprawienia budowy społecznej przez silniejszy rozwój ludności miejskiej; dążenia te mogą być również wyrazem poprostu dumy narodowej. Im kraj, uzależniony gospodarczo, jest silniejszy pod względem ekonomicznym i politycznym, tem groźniejsze dla eksportu będą te tendencje emancypacyjne; toteż kraje, żyjące z eksportu przemysłowego, starać się będą o rozciągnięcie wpływów politycznych dla zabezpieczenia swych interesów gospodarczych. W ten sposób zasada gospodarczego podziału pracy między poszczególnymi krajami wytwarzać może antagonizmy polityczne we formie tak głośnych dzisiaj imperjalizmów i z przyczyn gospodarczych zaburzać pokój świata, tak ważny dla interesów gospodarczych.

Stosunek Królestwa do Rosji był pod wielu względami analogicznym, z niejednego jednak punktu widzenia wykazywał zasadnicze różnice. Podobnym wogóle był jego zasadniczy typ: dwa terytorja, o znacznych różnicach kulturalnych, narodowych, społecznych, o różnym poziomie gospodarczym, z tych jedno przemysłowo czynne, drugie rolniczo czynne. Co jednak temu stosunkowi nadawało odmienny charakter, jedyny może w dziejach gospodarczych świata, to fakt, że te terytorja były objęte jednym, coprawda olbrzymim, organizmem państwowym. Nie było zatem różnic w ustroju prawnym i politycznym, nie było różnorodności waluty, a co ważniejsza, jednolity, niemal prohibicyjny system celny odgradzał obydwie te terytorja od konkurencji zagranicznej. Dawało to znaczne korzyści eksportowi przemysłowemu Królestwa, ale zarazem nasuwało niebezpieczeństwa, które w ostatnim okresie przed wojną występowały coraz silniej. Mianowicie dążności emancypacyjne przemysłu rosyjskiego, popierane momentami natury nacjonalistycznej, znajdowały poparcie czynników państwowych, podczas gdy przemysł Królestwa poparcia analogicznego z natury rzeczy był pozbawiony. Trudno ocenić, po czyjej stronie mogła być stanowcza przewaga, albo też przewidywać, jaki obrót wzięłaby ta walka konkurencyjna między Królestwem a Moskwą. Warunki naturalne i mniejsza odległość przemawiały raczej za przemysłem rosyjskim; przemysł Królestwa miał za sobą to, że był starszy, że dysponował lepszym materiałem ludzkim. Zapatrywania zbyt pe-

symistyczne zapewne nie miały uzasadnienia; rynek rosyjski był tak olbrzymi, jego pojemność mogła wzrosć jeszcze o tyle, że prawdopodobnie znalazłoby się miejsce dla przemysłu polskiego obok przemysłu rosyjskiego. Coprawda te wschodnie rynki zbytu nadały znacznej części przemysłu Królestwa pewien specjalny charakter, który mógł mu utrudniać przerzucenia się na produkcję, obliczoną na targ wewnętrzny; mamy tu na myśli produkcję masową i taną, która znajdowała wyraz zwłaszcza w przemyśle włókienniczym, w t. zw. przemyśle odpadkowym. Niepewność konjunktury istniała w wysokim stopniu, chociaż nie-tyle ze względu na niepewność stosunków prawnych i politycznych — wymiana odbywała się w granicach tego samego państwa — ile ze względu na odległość, przeważnie znaczną, i fluktuacje w stanie gospodarczym, wynikające przedewszystkiem z lepszych lub gorszych zbiorów rolniczych. Zyski były poważne, prawdopodobnie jednak nie nadmierne; najważniejszym było to, że te olbrzymie rynki zbytu umożliwiały produkcję na ogromną skalę, zatrudnienie wielkich kapitałów i wielkich mas robotniczych. Naogół można sądzić, że korzystne i niekorzystne strony występowały w tym stosunku kraju przemysłowego do rolniczego w stopniu dość umiarkowanym; ani jakaś nadmierna zyskowność, opierająca się na eksploatacji tych targów wschodnich, ani nadmierna chwiejność konjunktury, ani wreszcie zbyt wielka niepewność co do ich przyszłości, mimo tylokrotnie wypowiedzianych obaw. Jeżeli zatem w ogólnym zarysie ten stosunek Królestwa do Rosji odpowiadał typowi stosunku kraju przemysłowego do rolniczego, takiemu, jaki spotykamy gdzieindziej, to specjalny jego charakter, wynikający ze wspólności terytorjum państwowego, sprawiał, że cechy charakterystyczne występowały w pewnym umiarze i złagodzeniu, w spotęgowaniu korzystnych a osłabieniu niekorzystnych objawów.

*

Przez polityczne usamodzielnienie ziem polskich stosunek gospodarczy Polski z Rosją postradał owe cechy, wyróżniające go od normalnych stosunków gospodarczych międzynarodowych. Zniknęły bezpowrotnie korzyści, wynikające ze wspólności

państwowej, co jest zapewne ważniejszym, aniżeli usunięcie objawów niekorzystnych; nowe podstawy układu tych stosunków są nietylko zasadniczo odmienne, ale, obawiać się należy, i gorsze. Zanalizujmy kolejno te przesunięcia w naszej sytuacji wobec Rosji.

Wspólność obszaru gospodarczego z Rosją dawała przemysłowi polskiemu ochronę celną. Ze strony polskiej zwracano niejednokrotnie uwagę na ujemne dla przemysłu Królestwa strony rosyjskiej polityki celnej. Polegały one na obłożeniu wysokimi stawkami celnymi szeregu ważnych surowców i półfabrykatów, że wymienimy bawełnę, wełnę, węgiel, rudę żelazną, surowiec i żelazo w sztabach, co podrażało koszty produkcji przemysłu Królestwa. Trudno ocenić, czy te ujemne strony równoważyły dodatnie, to jest wysoką ochronę wyrobów gotowych; wypowiadano pod tym względem częstokroć sądy pesymistyczne, zwracając uwagę między innymi na niewspółmierność między ochroną surowców i półfabrykatów a fabrykatów. W każdym razie nie sposób lekceważyć tej premii, jaką ochrona celna dawała przemysłowi Królestwa wobec zagranicy. W konsekwencji też należy liczyć się z faktem, że po separacji państwowej Królestwa i Rosji przemysł polski stanąć może na rynkach rosyjskich tylko jako jeden z konkurentów przemysłu innych krajów, a bez dotychczasowego uprzywilejowania celnego, które nawet, gdyby nie miało realnej wartości, zawsze stanowić mogło podniętę dla przedsiębiorczości. Szanse tej naszej konkurencji przedstawiają się dość rozmaicie. Pod względem technicznym poziom przemysłu polskiego w porównaniu z zagranicą nie może być z natury rzeczy zbyt wysoki; tak samo pod względem organizacji i zasobności przemysł nasz ustępować musi na dalszy plan. Sytuacja nasza będzie niewątpliwie znacznie lepszą w porównaniu ze stanem przedwojennym z punktu widzenia niektórych, niezmiernie ważnych surowców, jak przedewszystkiem węgla; na swoją korzyść przytoczyć możemy znajomość kraju i stosunków, istnienie szeroko rozgałęzionej kolonii polskiej, o ile ona przetrzyma obecny przewrót. Wspomnieć można także, że przemysł polski miałby o tyle korzystniejszą pozycję, o ile waluta polska będzie gorszą, aniżeli waluta innych krajów przemysłowych, eksportujących do Rosji, a dalej, że li-

czyć może na dogodną sytuację geograficzną, o ile dla handlu z Rosją nie wchodzi w rachubę droga wodna. Naogół biorąc, sądzić można, że przemysł polski czekać będzie walka konkurencyjna, co najmniej bardziej zaostrzona, aniżeli przed wojną, nawet gdyby się liczyć z osłabioną konkurencją przemysłu rosyjskiego, z którego, jak dotąd, pozostały tylko niedobitki.

Dalsza z rzędu kategoria korzyści wspólności politycznej z Rosją dla przemysłu Królestwa polegała na jednolitym ustroju państwowym i prawnym, na jednolitym ustroju kredytowo-bankowym, do pewnego stopnia przynajmniej, na jednolitym ustroju komunikacyjnym wreszcie, nie pozbawionym zresztą pewnych ujemnych stron ze względu na politykę taryfową kolei rosyjskich. Cokolwiekby można było sądzić o wartości tego ustroju dla życia gospodarczego, w każdym razie dawał on lepsze warunki dla stosunków handlowych, aniżeli taki sam ustrój w ramach obcego państwa, narazie jeszcze nie wiadomo w jaki sposób zorganizowanego w przyszłości, a w terażniejszości występującego we formie systemu sowieckiego.

Przechodzimy wreszcie do momentu, zdaniem naszym, dominującego dla oceny zmian, jakie pociąga za sobą wyodrębnienie polityczne ziem polskich. Jest to kwestja bilansu płatniczego i waluty, w której ogniskują się wszystkie zagadnienia przyszłego stosunku gospodarczego Polski i Rosji. Wiadomo, że trwała podstawą międzynarodowych stosunków gospodarczych jest w pierwszym rzędzie wzajemna wymiana handlowa, jeżeli kraj płaci zagranicy towarem za towar. Możliwym jest wprawdzie i stałe ujemny bilans handlowy, jednak tylko o tyle, o ile dany kraj czerpie skądinąd fundusze na wyrównywanie niedoborów wymiany handlowej; jeżeli tego nie ma, musi prędzej czy później, w tej czy w innej formie, nastąpić zacieśnienie tej wymiany do granic równowartości towarów wywożonych i przywożonych. To jest więc kardynalnem zagadnieniem naszej przyszłości eksportowej. Zastanówmy się najpierw, jak się układał bilans płatniczy Królestwa i Rosji przed wojną.

Opierał się na niezmiernie korzystnym bilansie handlowym i wykazywał również, jak ten ostatni, znaczne bardzo przewyżki na rzecz Królestwa, jeżeli sądzić na podstawie kilkakrotnych obliczeń. Na bilans handlowy Królestwa składały się pozytye

dodatnie i ujemne o dodatnim ostatecznym wyniku. Pozycja dodatnia, i to sięgająca w przybliżeniu połowy miljarda rubli, to wywóz półfabrykatów i fabrykatów. Pozycję tę zmniejszyć należy o takisam przywóz z Rosji, mimo to zawsze zostawała przewyżka, idąca w setki milionów. Zdecydowanie ujemną była wymiana artykułów rolniczych i surowców przemysłowych; obydwie te pozycje jednak obracały się w cyfrach mniej więcej 100 milionów rubli. Nie cała przewyżka bilansu handlowego mogła, rzecz jasna, zostawać w kraju; z tej przewyżki trzeba było opłacać kapitał zagraniczny, obficie reprezentowany w przemyśle Królestwa, i dochody skarbu rosyjskiego z Królestwa, przewyższające, w różnych rozmiarach według różnych obliczeń, także wydatki na potrzeby Królestwa. Ograniczamy się do skonstatowania tych faktów, a nie zajmujemy się narazie ujemnymi stronami takiego układu tych stosunków handlowych, który wykazywał poważny bądź co bądź import rolniczy i przemysłowy z Rosji. Powstaje pytanie, w jaki sposób wyrównywała Rosja swój ujemny bilans handlowy i płatniczy wobec Królestwa? Prawdopodobnie w najprostszej formie przez odpływ gotówki do Królestwa, któremu zresztą towarzyszył częściowy jej powrót do kas skarbu rosyjskiego; rubel miał przecież tę samą wartość nominalną, a ujemny bilans handlowy i płatniczy Rosji w stosunku do Królestwa wyrównywany był przez taki sam bilans dodatni Rosji wobec zagranicy.

Można więc sądzić, że bilans płatniczy Królestwa i Rosji przed wojną wyrównywał się bez trudności, nie było bowiem owego elementu perturbacji, jaki w stosunkach międzynarodowych stanowi waluta, zwłaszcza zdeprecjonowana. Z tym czynnikiem trzeba się jednak obecnie liczyć i z tego punktu widzenia oświetlić możliwość wymiany handlowej w przyszłości. Przypuśćmy, że Rosja odbuduje się gospodarczo i będzie zdolną do eksportu na szerszą skalę. Eksport ten będzie oczywiście głównie dotyczyć artykułów rolniczych i surowców; jego rozmiary stanowić muszą w pierwszym rzędzie granicę dla importu artykułów przemysłowych, trudno bowiem sobie wyobrazić, aby w inny sposób mogła Rosja płacić za towary importowane. Mogą tu najpierw wchodzić w rachubę zasoby złota i innych kruszców szlachetnych, o ile się dochowały, względnie o ile zo-

staną wyprodukowane. Pieniądz papierowy będzie niewątpliwie czemś gorszym, aniżeli papierowy rubel rosyjski w ciągu w. XIX. Zmienność jego wartości uniemożliwiać będzie kalkulację dla eksporterów, o ile wogóle mieć będzie jaką taką wartość na rynkach zagranicznych. Można tu jeszcze myśleć o zobowiązaniach bądź państwa, przy systemie sowieckim przedewszystkiem, bądź jednostek i instytucyj prywatnych. Zobowiązania jednak, to tylko odłożenie terminu płatności, która ostatecznie musi się opierać na jakichś realnych wartościach. Państwo mogłoby wreszcie płacić koncesjami rozmaitego typu, co jednak przedstawia tę ujemną stronę, że eksploatacja koncesyj widać się może ze sprawami politycznymi.

Pozostaje więc, jako główna i jedynie poważna podstawa zdolności płatniczej Rosji przez czas jeszcze długi, eksport artykułów rolniczych i surowców. Ten ostatni nie nasuwa dla Polski żadnych obaw, przeciwnie, będzie niezmiernie pożądanym. Inaczej natomiast rzecz się ma z eksportem artykułów rolniczych, gdyż chodzić tu może o najżywotniejsze interesy naszej produkcji i naszego ustroju rolnego. Samostarczalność ziem polskich pod względem produkcji rolniczej jest zupełnie prawdopodobną, nawet w miarę wzrostu ludności, chociaż trudną do ścisłego ujęcia cyfrowego ze względu na brak pozytywnych danych w ciągu krótkiego istnienia naszego państwa. Z pośród najważniejszych artykułów liczyć się musimy z deficytem co do pszenicy, który jednak będzie wyrównywany przez nadwyżki żyta w pierwszym rzędzie. Czy w tych warunkach, kiedy nasza samostarczalność rolnicza jest nie chimera, lecz faktem niemal pewnym w granicach bliskiego prawdopodobieństwa, należałoby otwierać wrota produktom rolniczym rosyjskim i podcinać intensyfikację naszego rolnictwa, nie mówiąc już o ujemnych skutkach dla ustroju agrarnego? Możemy godzić się na import pszenicy rosyjskiej, którą płacić będziemy ewentualnym eksportem rolniczym do innych krajów, pozatem jednak nasze granice dla rolniczego importu z Rosji winny być zamknięte. Nie będzie to zbyt wielką ofiarą dla konsumenta, gdyż polska produkcja rolnicza mogłaby nawet dostarczać nadmiaru ponad zapotrzebowanie, gdyby wróciła do normy przedwojennej. Rosyjski eksport rolniczy zwróci się oczywiście do innych krajów i możnaby sądzić, że uzyskaną

przez to walutą zagraniczną Rosja mogłaby płacić nasz eksport przemysłowy. Jest to mało prawdopodobnem, gdyż kraje, które będą potrzebowały rosyjskiego zboża, będą chciały płacić swoim eksportem przemysłowym, leżeć to bowiem będzie w zakresie ich żywotnych interesów gospodarczych i walutowych; tylko w pewnych specjalnych warunkach, o czem poniżej, możnaby o tem myśleć.

W praktyce zatem dla naszego eksportu przemysłowego do Rosji granice zakreślone będą przez import surowca rosyjskiego, i może jeszcze pszenicy rosyjskiej. Wystarczy porównać odnośne cyfry z przedwojennego bilansu Królestwa i Rosji, aby przyjść do przekonania, że będzie to znacznie mniej, nawet gdy wytwórczość rosyjska wróci do normy przedwojennej. W tych rozmiarach eksport przemysłowy stanowić będzie poważną pozycję dodatnią, wymiana handlowa ze względu na otrzymywane wzamian surowce będzie nader pożądaną dla naszego rozwoju gospodarczego, dalekiem to jednak będzie od świetności przedwojennych targów wschodnich.

W ścisłym związku z eksportem przemysłowym do Rosji pozostaje kwestja handlu z Rosją, a mianowicie zagadnienie, czy podstawą tego handlu ma być przede wszystkim nasza własna produkcja, czy też ma to być również handel pośredniczący między zagranicą a Rosją. Do tej roli predestynuje nas położenie geograficzne ziem polskich, o którym już wspominaliśmy powyżej, sąsiadujemy bowiem długą granicą lądową z Rosją południową, najważniejszym terytorjum europejskiego Wschodu pod względem gospodarczym. Nasuwa się pytanie, czy taki handel pośredniczący istotnie kryć w sobie mógłby dla nas niebezpieczeństwo, i czy z tego powodu nie należałoby raczej zrezygnować z korzyści, jakie przynieść może? Oddając nasze usługi w ręce eksportu zagranicznego, w pierwszym rzędzie z natury rzeczy niemieckiego, wzmocnimy tem samem jego pozycję na rynkach rosyjskich i stworzymy dla siebie konkurenta; to jest główna wątpliwość, która się tutaj nasuwa. Z drugiej strony pośrednictwo handlowe dawałoby nietylko znaczne korzyści materialne, lecz i wpływy, któremi nie można gardzić. Zawsze będzie to coś znaczyć, jeżeli odbiorca rosyjski przyzwyczai się do stosunków z Warszawą, chociażby ta Warszawa dostarczała

tylko obcych towarów. Również i w samej Rosji ten handel stworzy aparat, z nami związany, składający się zapewne w części z polskiego elementu, co stać się może obok eksportu podstawą naszego realnego znaczenia na targach rosyjskich. Obawy przed popieraniem w ten sposób obcej konkurencji wydają się nieco przesadne. Liczyć się bowiem należy ze stopniowem wzrastaniem pojemności tych targów w miarę gospodarczej odbudowy Rosji, w takim zaś razie poszczególni konkurenci nie muszą koniecznie walczyć ze sobą i wypierać się wzajemnie, lecz tylko troszczyć się, aby ich udział równomiernie wzrastał na nowych terenach zbytu. Niewątpliwie wymagać to będzie czujności i sprawności, jest to jednak minimum, którego można spodziewać się od polskiego przemysłu, tem bardziej, jeżeli dysponować będzie ten przemysł atutem w postaci dobrze zorganizowanego polskiego pośrednictwa handlowego.

Eksport w granicach określonych powyżej i handel pośredniczący — byłyby to drogi do współdziałania Polski w dziele odbudowy gospodarczej Rosji. Przyczynianie się naszymi kapitałami jest na większą skalę niemożliwe, natomiast stosunkowo łatwym do zrealizowania byłby eksport materiału ludzkiego, zwłaszcza wykwalifikowanego, jak inżynierów, przedsiębiorców, kupców. Wszystkie te środki, skombinowane ze sobą, dałyby nam na targach rosyjskich już dzisiaj pewną pozycję, a w przyszłości pozwoliłyby zapewne na umocnienie i rozszerzenie naszych wpływów. Możliwoby wspomnieć jeszcze o jednej korzyści, jakąby nam dać mogło uchwycenie części przynajmniej handlu rosyjskiego w nasze ręce. Zagranica, zwłaszcza zachodnia, kierować się może pewną nieufnością do bezpośrednich stosunków handlowych z Rosją; jako pośrednicy handlowi i ewentualnie kredytowi moglibyśmy wziąć na siebie część ryzyka. Gdybyśmy w pewnej mierze ujeli w swoje ręce eksport artykułów rolniczych i surowców z Rosji, przeznaczonych dla zagranicy, wówczas może nie byłoby wykluczonem użycie części chociażby uzyskanych w ten sposób zagranicznych środków płatniczych na opłacenie naszego własnego eksportu do Rosji. Byłoby to tem łatwiejszem, gdyby kapitały zagraniczne, nie chcąc się wprost angażować w Rosji, osiadały w naszym kraju dla celów eksportu przemysłowego; oczywiście byłyby to w pierwszym

rzędzie takie kapitały zagraniczne, które nie liczą na własną wytwórczość, lecz szukają korzystnej lokaty gdziekolwiekbądź.

* * *

Tak się nam przedstawia sprawa naszej ekspansji przemysłowej na Wschód, jeżeli rzecz tę traktujemy trzeźwo. Nie negujemy jej możliwości, przewidujemy jej rozwój w przyszłości, nie oddajemy się jednak złudzeniom co do jej rozmiarów w porównaniu ze stanem przedwojennym. Należyte postawienie tego zagadnienia daje, zdaniem naszym, klucz do zorientowania się w zadaniach naszego programu gospodarczego wogóle. Sprowadzenie ideologii rynków wschodnich na grunt realny stwarza zarazem jasne wytyczne dla pokierowania naszym rozwojem gospodarczym.

Targom wschodnim należy przeciwstawić targ wewnętrzny. Nie jest on wielkością do pogardzenia. Usunął się z niego, względnie usunięty być winien konkurent w postaci przemysłu austriackiego i niemieckiego, a także i rosyjskiego w b. zaborze rosyjskim. Samo już wypełnienie tej luki stawia przemysł polski wobec wielkich zadań, a przypuszczać można, że ten nowy targ wewnętrzny zrównoważy utracone targi rosyjskie. Spodziewać się też należy stałego jego rozrostu w miarę konsolidacji gospodarczej i postępu kulturalnego naszej ludności; przecież jej konsumpcja przemysłowa jest tak nieznaczną w porównaniu z innymi krajami. W najbliższym czasie przemysł nasz musi prócz tego zaspokoić głód towarów, wywołany przez niedostateczne zaspakajanie najważniejszych potrzeb w czasie wojny. Ten rozwój przemysłu oprzeć się winien na należytej eksploatacji zasobów naturalnych, która już sama przez się wymagać będzie ogromnego wyężenia sił. Jeżeli dodamy do tego jeszcze sprawę odbudowy wartości, zniszczonych przez wojnę, konieczność silnego ruchu budowlanego i rozszerzenia sieci komunikacyjnej, wyliczymy te najważniejsze zadania, jakie otwierają się przed naszą przedsiębiorczością.

Naczelnym hasłem naszej polityki gospodarczej winno być dążenie do samostarczalności. Zdajemy sobie sprawę z tego, że samostarczalności nie można pojmować po doktrynersku, bez liczenia się z realnymi warunkami życia gospodarczego. Mało

jest krajów, tak szczęśliwie uposażonych przez przyrodę, tak zasobnych w kapitały i materiał ludzki, żeby mogły się odgrodzić od zagranicy. Kraj nasz jednak posiada, względnie zdobyć może warunki, które umożliwią mu dążenie do samostarczalności w rozumnych granicach i bez ponoszenia nadmiernych ofiar. Samostarczalność w zakresie środków wyżywienia nie może nasuwać trudności, w zakresie wyrobów przemysłowych może być realizowana planowo i stopniowo. Byłoby rzeczą nierozumną, gdyby chcieć odrazu powołać do życia gałęzie przemysłu, wymagające wysokiego poziomu technicznego; wystarczy, jeżeli zadawałniam się będziemy wytwórczością przemysłową stosunkowo łatwą, mogącą liczyć na zbyt masowy w kraju. Zmniejszanie zależności od zagranicy pod tym względem musi być o tyle ważniejszym, że nie potrafimy się uniezależnić od obcych kapitałów i uwolnić się od wysyłania nadmiaru ludności na emigrację; zarówno w jednym, jak drugim kierunku panują u nas uprzedzenia i przesadny optymizm. Dążenie do samostarczalności nie wyklucza wysiłków do zdobywania obcych rynków; powinniśmy mieć znaczny eksport produktów rolniczych, przedewszystkiem we formie przetworów przemysłu rolniczego, a tak samo pewien eksport przemysłowy byłby możliwym, co prawda niekoniecznie tylko w kierunku na wschód. Momentem istotnym musi być jednak to, że samostarczalność jest zadaniem najbliższym i pierwszym, wszystko to, co ją pogarsza, a co się da uniknąć, winno być uznane za szkodliwe, ewentualny zaś eksport produktów przemysłowych uważać należy za rzecz drugorzędną w porównaniu z owym zasadniczym zadaniem. Jako konsekwencja dla całej naszej polityki gospodarczej wynika stąd konieczność zwracania bacznej uwagi na wszystko, co przyczynić się może do rozwinięcia sił produkcyjnych naszego kraju i zdolności konsumcyjnych naszego rynku, do ścisłego związania pierwszych z drugimi. W ten sposób najpewniej osiągnięty być może wszechstronny rozwój gospodarczy, a siła rodzimego organizmu gospodarczego stworzy najlepszą podstawę do odegrania wybitniejszej roli w gospodarce światowej.

Uświadomienie tych zadań wymaga odpowiednich kwalifikacyj od nastroju gospodarczego społeczeństwa. Społeczeństwo

musi uczyć się myśleć o najbliższych i realnych zagadnieniach, a odnosić się, jeżeli nie z nieufnością, to z ostrożnością do planów zbyt wielkich i dalekich. Niewątpliwie takie przeistoczenie psychiki gospodarczej pociągnąć za sobą może osłabienie zdolności do entuzjazmu dla wielkich przedsięwzięć na korzyść zdolności do stałej, przeciętnej, codziennej inicjatywy. Nie przyjdzie to łatwo, gdyż prawdopodobnie zbyt silnie zakorzenione są odmienne objawy w naszym charakterze gospodarczym. Działają u nas na umysły przedsięwzięcia wielkie, rokujące szybkie powodzenie, połączone z pewnem ryzykiem i grą. Zamiast tego należałoby się przyzwyczajać do zadań skromnych i mozolnych, wymagających cierpliwego czekania na rezultaty, prowadzonych z trzeźwą i ścisłą kalkulacją. Mogłoby to być połączone z ciastotą i indolencją, gdyby miało zająć wyłączne miejsce w psychice gospodarczej; ta psychika nie może zatracać zdolności do wielkich decyzji. Ale musi mieć grunt powszedniej i skrzętnej zapobiegliwości, bez której życie gospodarcze oparte na wielkich działaniach, zawisłoby w powietrzu.

DR. ADAM KRZYŻANOWSKI
PROFESOR UNIwersYTETU Jagiellońskiego

WALUTA

Rzekomo magiczne słowo. Ludzie często przytaczają powiedzenie angielskiego męża stanu o trójcy zjawisk, zdolnych wywołać obłędne zamącenie pojęć. Miłość, metafizyka, waluta — oto »niezbadane puszczy litewskich przepastne głębiny«. Miłość, metafizyka i waluta może mają punkty styczne, ale chyba inne. Waluty nie zaliczam do nierozwiązalnych zagadek. Przeciwnie, wydaje mi się problemem jasnym i prostym. Zamieszanie pojęć przypisuję nie zawilości zagadnienia, a raczej obawie spojrzenia w oczy prawdzie, demaskującej chęć używania tanim kosztem, wzbogacenia się materialnego i kulturalnego bez wysiłku, bez oszczędności. Drożeją towary i pieniądze zagraniczne (gotówkowe, czyli waluty, i wierzytelności na nie opiewające, czyli dewizy). Dlaczego?

Rozwiązanie zagadki ułatwia stwierdzenie z całą stanowczością, że nikt, nie wyłączając państwa, nie może więcej wydać, niż zainkasował. A jednak już przed wojną koncesjonowane banki emisyjne puszczały w obieg banknoty. Stwarzały pieniądź, którym płaćły. Wówczas chodziło o stosunkowo małe kwoty. Dziś powszechną zwraca uwagę, że państwa o pustym skarbie ratują się wybijaniem pieniędzy papierowych. Wbrew pozorom, ten sposób finansowania wojny jest tylko pozornym wyjątkiem od zasady: »Z próżnego nikt nie naleje«. Osoba prywatna,

fizyczna i zbiorowa, zdobywa środki utrzymania zarobkowaniem, ewentualnie pożyczaniem. Państwa postępują podobnie. Właściwością, która wyodrębnia ich gospodarkę od prywatnej, jest przymusowy zabór dóbr, posiadanych przez poddanych, czyli zasilenie skarbu podatkami w najobszerniejszym tego słowa znaczeniu. Wybijanie pieniędzy papierowych nie jest niczem innym, jeno ukrytym podatkiem.

W chwili wybuchu wojny wydatki pieniężne państw wojujących znacznie wzrosły. Podniesiono żołd żołnierzy i oficerów. Zwiększono ich liczbę. Wypłacano wielkie sumy za żywność, za materiał i broń, potrzebną wojsku. Nie wystarczały dochody z przedsiębiorstw i podatków. Trzeba było zaciągnąć pożyczki. Apel do tych, którzy posiadali już wybite pieniądze, nie był całkiem bezskutecznym. Nie zapewnił jednak dostatecznych funduszy. Państwa zaraz z początkiem wojny zwróciły się do banków emisyjnych o pożyczki. Inne osoby i organizacje w państwie mogą wypożyczyć tylko tyle, ile mają w kasie. Specyficznym znamieniem banków emisyjnych jest nadany im przez państwo monopol puszczania w obieg pieniędzy. Gdy chcą pożyczyć, a nie mają pieniędzy, wybijają nowe. Banki emisyjne pożyczyły państwu tyle, ile zażądało. Dlaczego państwa nie wybijały własnych pieniędzy papierowych? Dlaczego płaciły banknotami banków emisyjnych? Chciały wywołać wrażenie, że ciągle jeszcze płacą dawnym pieniądzem, do którego ludność przywykła, pieniądzem papierowym, wymienialnym na złoto. Banki pożyczały państwom banknoty formatu przedwojennego, ozdobione dawnym rysunkiem i napisem. W rzeczywistości całkiem inne. Dawne były każdej chwili płatne w złocie. Nowe oczywiście nie mogły być wymienialne na złoto. Wobec pomnożenia ich liczby nie starczyłoby drogocennego kruszcu. Państwo z chwilą wybuchu wojny wniosło obowiązek wypłacania złotem. Zachowało pozory, bo *mundus vult decipi*.

Koszt wybicia banknotów z początkiem wojny był minimalny. Stanowił *une quantité négligeable*. Zdawałoby się zatem, że rozwiązano problem alchemii, że państwo może płacić z niczego. Po dziś dzień nie brak ludzi, którzy nie uprzytomnili sobie niemożliwości podobnego stanu rzeczy, a przecie nie wahają się wygłaszać i drukować pseudo-uczonych wywodów mo-

netarnych. Zachodzi pytanie, komu państwo zabrało siłę kupna, którą w formie niewymienialnych banknotów uszczęśliwia żołnierzy, urzędników, swych dostawców i wierzycieli? Mnożenie pieniędzy wywołuje drożyznę. Tym sposobem państwo jednym zabiera, drugim daje. Dla uspokojenia szerokiego ogółu władze bezskutecznymi środkami zwalczają drożyznę. Bezskutecznymi, bo przecie właśnie drożyzna jest ich głównym sposobem finansowania wojny. Także i pod tym względem postępują zgodnie ze wskazaniem »mundus vult decipi«. W średnich wiekach zabierano srebra kościelne, majątki fundacyjne na cele wojenne. Dziś odbywa się podobny proces w formie bardziej wyrafinowanej, mniej szczerzej. Nie zabrano Akademji krakowskiej kilku milionów listów zastawnych, któremi zawiaduje. Nie zabrano ich zakładom ubezpieczeń, kasom sierocym, kasom oszczędności, ludziom, którzy lat wiele ciułałi ciężko zapracowany grosz do grosza, ażeby sobie zapewnić spokojną starość lub posag córce. Ale ich skarby topniały, początkowo wolno, później coraz szybciej i bezpowrotnie. Rosta ilość pieniędzy, a wraz z nią drożyzna. Siła kupna, rozdawana przez państwo w formie pieniądza, pochodzi z jej zaboru wierzycielom wszelkiego rodzaju, oraz osobom, które nie są w stanie podnieść swych dochodów w stosunku, odpowiadającym deprecjacji pieniądza. Państwo nie oszczędza własnych wierzycieli. Gdy niema pieniędzy, może zawiesić wypłaty. Dzisiejsze państwa wołają ratować pozory. Szukają wyjścia w wywoływaniu drożyzny. Płacą procenty, a nawet zwracają długi. Wybijają na ten cel albo każą wybijać bankom emisyjnym nowe pieniądze papierowe. Zwracają wierzycielom znacznie mniej siły kupna, niż od nich wypożyczyli, bo płacą w pieniądzu zdeprecjonowanym. Nie bankrutują formalnie, ale materialnie, w myśl wskazania, które już kilkakrotnie w tym krótkim artykule wymieniałem, jako miarodajne dla wojennej polityki finansowej.

Czy jednak istotnie emisja pieniędzy wywołuje drożyznę towarów, walut i dewiz, oczywiście wzajemnie uwarunkowaną? Twierdzenie, wedle którego wahania w ilości pieniądza »*ceteris paribus conditionibus*« zmieniają proporcjonalnie jego wartość, jest nieomal truizmem. W razie pomnożenia ilości pieniądza jego wartość czyli siła kupna musi spaść. Drożyzną musi być w sto-

pnia ściśle odpowiednim wynikiem pomnożenia ilości pieniądza, o ile inne warunki kształtowania się cen towarów pozostają niezmienione. Temu rozumowaniu można zarzucić tylko jedno: Niczego nie wyjaśnia, boć przecie nietylko ilość pieniądza, ale wszelkie inne współczynniki kształtowania się cen ulegają ciągłym, co gorsza nieobliczalnym zmianom. To prawda. A jednak śmiem twierdzić, że teoria ilościowa wyjaśnia zjawiska lepiej, niż inne sposoby ich tłumaczenia. Przeciwnicy teorii ilościowej najczęściej w spadku produkcji dopatrują się przyczyny drożyzny. Produkcja spadła o 20, o 25^o/_o. Odpowiadałaby temu zwyżka cen o 33, o 50^o/_o. W rzeczywistości drożyzna dosięgła setek, a nawet tysięcy procentów. Wszystkie współczynniki kształtowania się cen uległy wahaniom po wybuchu wielkiej wojny, ale jakże drobnym w porównaniu z wielkością zmian w ilości pieniądza.

Puszczanie w obieg nowych pieniędzy odbiło się różnem nasileniem drożyzny w różnych państwach. Obok wielkości nowych emisyj najbardziej zaważyła na szali wypadków ich tezauryzacja. Jest rzeczą jasną, że wycofanie z obiegu pieniędzy przez tych, którzy je otrzymali, zmniejsza tę ilość pieniędzy, która stanowi siłę kupna, podbijającą ceny towarów, walut i dewiz. Chłop, przechowując pieniądze w skrzyni, przeciwdziała drożyznie.

Wymieniane bywają często inne przyczyny spadku naszej waluty. Ci, którzy wysuwają je naprzód, zapoznają, że są pochodnem zjawiskiem w stosunku do ilości pieniądza. Zwolennicy mniemania, że wartość pieniądza wobec towarów zależy przedewszystkiem od wahań w ich produkcji, wyjaśniają wartość pieniądza miejscowego w stosunku do zagranicznych stanem bilansu płatniczego. Kurs walut obcych jest oczywiście wyrazem popytu i podaży, czyli odzwierciedleniem bilansu płatniczego. Cóż jednak rozstrzyga o jego ewolucji? Czy popyt za dolarami mógłby objawić się tak silnym wzrostem ich kursu, gdyby rząd nie powiększał ciągle podaży marek? Gdyby ich ilość była równie mało zmienna, jak ilość dolarów, stosunek jednych do drugich nie mógłby ulegać znaczniejszem wahnieniom. Dolar rzekomo dlatego idzie w górę, ponieważ istnieje silne zapotrzebowanie towarów, nabywanych zagranicznym pie-

niądem, a wywóz naszych jest mały. To także jest prawda, ale samo przez się nie wyjaśnia zwyczajki obcych walut. Głód żebraka, który napróżno wyciąga rękę po jałmużnę, wcale nie podnosi ceny chleba. Podnosi ją chęć kupna człowieka chorego z obżarstwa, ale zdolnego i chętnego zapłacić bieżącą cenę targową. Zapotrzebowanie zagranicznych środków płatniczych mogło wyrazić się ich znaczną zwyczajką tylko dzięki wzrastającej podaży marki.

Zagranica niechętnie udziela nam kredytu, ale jest odbiorcą marki polskiej. W jej oczach ryzyko kredytu nie znajduje dostatecznego zrównoważenia w wysokości procentu. Jest jednak odbiorcą marki, bo liczy na jej zwyczajkę. Ma do niej raz mniejsze, raz większe zaufanie. Czyż zmiany w kursie walut obcych nie są wyrazem mniejszego lub większego zaufania do marki, do siły gospodarczej państwa i społeczeństwa, posługującego się nią jako środkiem płatniczym? Bezwątpienia zaufanie jest doniosłym współczynnikiem w kształtowaniu się bilansu płatniczego. Wywiera duży, choć mało uchwytny wpływ na popyt i podaż marki. Przyłączenie do Polski części Górnego Śląska zwiększyło zaufanie do nas. Powstrzymało szereg ludzi od sprzedaży polskiej marki. Innych zachęciło do jej zakupna. Cała rzecz w tem, żeby utrwalić korzystne nastroje. Dalsza nadmierna emisja zachwieje zaufaniem. Obniży kurs naszej marki. Zaufanie w ostatnim rządzie zależy od ilości pieniędzy, puszcanych w obieg.

Bardzo popularne jest hasło szukania w spekulacji kozła ofiarnego. Opinia publiczna, która ciągle domaga się nadmiernych wydatków, zamiast uderzyć się w piersi, zamiast przyznać: *mea culpa, mea maxima culpa*, oskarża spekulantów o wywoływanie spadku marki. Ludzie kupują dolary, ażeby zarobić, a nie dla przyjemności kupowania. Będą je sprzedawali, będą grali na niżkę dolara, czyli na zwyczajkę marki, jeżeli to postępowanie okaże się korzystnym. Oskarżyciele spekulantów o wywoływanie zwyczajki dolara nie przyznawali im zasługi znacznego obniżenia jego kursu, które nastąpiło z końcem 1921 roku. Jeżeli oskarżenie było słusznem, byłaby także uzasadnioną pochwała. Oczywiście jedno i drugie stanowisko jest pozbawionem podstawy. Przed wojną nie było spekulacji w walutach. Nie opła-

cała się z powodu racjonalnej polityki finansowej państw. Z chwilą wybuchu wojny państwa podjęły nadmierne emisje pieniędzy papierowych i stworzyły w ten sposób warunki spekulacji.

Śmiem twierdzić, że kupowanie dolarów jest zasługą wobec gospodarstwa społecznego. Jego rozwój jest niezbędnie uwarunkowany oszczędnością i ubezpieczaniem się. Ani jednego, ani drugiego nie można urzeczywistnić przez kupowanie walut deprecjonujących się. Właśnie dlatego nie podzielam oburzenia tych, którzy mniej lub więcej szczerze rzucają gromy na nabywców obcych walut. Rząd i P. K. P. zblądzili, nie kupując dolarów w maju 1921 r., wtedy, gdy stały poniżej 1000 Mp. Obecnie P. K. P. dobrze robi, nabywając je w cenie od 3.000 do 4.000 Mp., nie czekając na dalszą zniżkę, nie obawiając się zarzutu, że w ten sposób przeciwdziała dalszej zniżce dolara, wyższe marki. Rząd i społeczeństwo potrzebują dolarów gwoli zapłaty procentów i zwrotu długów, gwoli uiszczenia poborów naszym konsulom i posłom, czynnym zagranicą, gwoli zapłaty za przywóz towarów, który okaże się potrzebnym. Dobrze więc się stało, że P. K. P. kupuje dolary. Skąd się wzięły? Speculanci, którzy nabyli znaczne ilości, zaofiarowali je do kupna P. K. P. w obawie dalszej zniżki. Nabywcy dolarów po wzrastających kursach zapobiegają ich wywiezieniu zagranicę. Zatrzymują je w kraju. Pomnażają nasze bogactwo społeczne. Ztezauryzowane obce waluty muszą wypłynąć na wierzch z chwilą przejścia do racjonalnej gospodarki skarbowej i wyższości marki, a wówczas oddadzą nam cenne usługi. Ci, którzy skupują dolary, oszczędzają i ubezpieczają się w mniej więcej stałej walucie, a więc w walucie do tego celu odpowiedniej. Póki państwo nie postara się o stabilizację naszego pieniądza, trudno żądać, aby ludzie oszczędzali i ubezpieczali się w markach. Grożą im straty, których chcą uniknąć nabywaniem obcego pieniądza. Wyśrubowanie kursu dolara obudziło ze snu społeczeństwo. Wywody uczonych i moralistów o zaletach oszczędności w gospodarce publicznej są mało skuteczne. Opinia publiczna rozumie dopiero wtedy, gdy wypadki walą pałąk w łeb. Gdyby nasze społeczeństwo wcześniej spekulowało na wielką skalę w dolarach, byłoby prędzej doszło do ich wyższości. Wcześniej obudziłoby się było sumienie publiczne. Reforma naszego skarbu by-

łaby rychlej zapoczątkowana. Jest rzeczą z pewnością szkodliwą, że spekulacja walutowa wiąże zbyt dużo kapitału i pracy, ale nasyłanie policji na kark spekulantom tylko pogarsza sytuację. Większe ryzyko podnosi ceny walut. Koszty policji państwo pokrywa nowymi emisjami, które znowu oddziałują zwyklowo na ceny. Czyż jednak nadmierna spekulacja nie jest winą, zasługującą na karę? Bez przyczynienia się władz spada na spekulantów karzący miecz sprawiedliwości. Odstrasza ich skutecznie od spekulacji przesadnej. Prawo popytu i podaży wymierza sprawiedliwość. Byliśmy wszyscy świadkami strat, poniesionych przez spekulantów z chwilą, gdy wyśrubowali kurs walut obcych do granic, na których nie mógł się utrzymać. Broń państwowa, zaczerpnięta z arsenału policyjno-karnego, jest bezsilna wobec spekulacji. Już to samo winno być ostrzeżeniem przed wymachiwaniem tępą szabelką. Sfera popytu i podaży nie jest sceną, na której państwo może z powodzeniem występować.

Ataki na spekulantów wydają mi się równie nieuzasadnione, jak przypisywanie winy rolnikom. Wieś wyszła z zawieruchy wojennej obronną ręką w porównaniu z miastami. Niema w tem ani winy, ani zasługi rolników. Jest to nieuniknione następstwo rozrzutności rządu, nieściągnięcia podatków w dostatecznej mierze. Chłopi, tezauryzując pieniądze, przeciwdziałają drożyznie.

Są tacy, którzy uznają, że emisja na cele spożywcze podnosi ceny, że jest szkodliwą, w najlepszym razie złem koniecznym. Przeciwstawiają jej wybijanie pieniędzy na cele wytwórcze, które, ich zdaniem, nie doprowadza do drożyzny, które właśnie dlatego jest zalecenia godne. Gdy mowa o wybijaniu pieniędzy, gwoli uskuteczniania nimi wydatków zarobkowych, np. celem budowy fabryki, na zyski obliczonej, należy ściśle rozróżnić dwa wypadki. Chodzi o ułatwienie zarobkowania albo państwa, albo o kredyt, udzielany przez bank emisyjny przedsiębiorcom prywatnym, którego bank nie mógłby wypłacić, gdyby *ad hoc* nie wybił nowych pieniędzy. Przed wojną rozprawiano wiele o dopuszczalności zaciągania pożyczek przez państwo na cele wytwórcze. O ile mnie wiadomo, wszyscy finansiści potępiali bicie pieniądza papierowego na ten cel, a więc także zaciąganie pożyczek inwestycyjnych, wypłacanych przez banki emisyjne *ad hoc*

wybitym, niewymienialnym pieniądzem papierowym, bo obawiali się deprecjacji pieniądza, bo byli przekonani o jej szkodliwości. Odzywały się głosy, uważające mnożenie pieniędzy gwoli udzielania kredytu przedsiębiorcom prywatnym za niewywołujące drożyzny, a zatem za dopuszczalne. Rozróżnienie tych dwóch wypadków oparte było na trafnym przeświadczeniu o wyższości gospodarki prywatnej.

Postaram się wykazać, że w naszych warunkach dopomaganie do rozwoju przemysłu, handlu, górnictwa przez udzielanie pożyczek prywatnym przedsiębiorcom ze środków, które P. K. P. zdobywa mnożeniem pieniędzy, doprowadzić musi do drożyzny, do skutków przeważnie szkodliwych. *A fortiori* jeszcze szkodliwsze są inwestycje państwowe, finansowane prasą drukarską, naszą rodzimą kopalnią złota. Jak wspomniałem, nie brak głosów, stwierdzających zwykły wpływ na kursy i ceny wzrastającej ilości pieniędzy, puszcanych w obieg na cele konsumpcyjne, a zaprzeczających możliwości zwiększenia drożyzny w razie emisji na cele wytwórcze. W pierwszym wypadku rośnie ilość pieniędzy, a ubywa towarów. Nic dziwnego, że uzyskują wyższe ceny. W drugim powiększa się ilość pieniędzy i towarów mniej więcej proporcjonalnie. Istniejąca równowaga cen nie doznaje zwichnięcia. Niema powodu drożyzny. Istotnie, przed wojną rozumowanie to było w znacznej mierze, choć nie całkiem, uzasadnione. Obowiązek wymiany banknotów na złoto hamował zapędy banków ku ich nadmiernej emisji. Jeżeli za dużo banknotów znalazło się w obiegu, ceny drożały. A zatem wzrastał przywóz, zmniejszał się wywóz towarów. Niedobór w bilansie płatniczym wyrównywano wysyłką złota. Bank, ażeby bronić swych zapasów złota, umożliwiającą wymianę banknotów, podnosił stopę eskontową. Wysoki procent działał jak tusz zimnej wody. Ochładzał zapał zakładania i rozszerzania przedsiębiorstw. Ograniczał produkcję, bo wykluczał mniej rentowną, która nie mogła opłacać procentu wysokiego. Już przed wojną ściśle dostosowanie emisji do potrzeb obrotu było niewykonalne. Musiała się wytworzyć dążność udzielania kredytów w rozmiarach dość znacznych, wywierających pewien wpływ zwykły na ceny. Obszerniej broniłem tej tezy w mej książce: «Nauka o pieniądzu i kredycie». Przed wojną nadużycia w udzie-

laniu kredytu wykluczone były dzięki dbałości o utrzymanie wymiany banknotów na złoto. Nawet lekkie przeciągnięcie struny wywoływało niemal automatycznie nacisk podwyższonej stopy procentowej w kierunku przeciwnym, w kierunku zastoju i niżki cen.

Obecnie stan rzeczy jest zupełnie odmienny. Bank nie wymienia swych banknotów na złoto. Może je puszczać w obieg w coraz większych ilościach bez podnoszenia stopy procentowej. Zdawałoby się, iż istnieje granica emisji w bankructwie zakładów nierentownych, finansowanych przez bank emisyjny. Jeżeli bank da kredyt przedsiębiorstwom nierentownym, produkującym za drogo, wówczas będą mogły sprzedać towary tylko ze stratą. Dojdzie do ich likwidacji. Bank emisyjny nie otrzyma zwrotu całej wypożyczonej kwoty. Nieco uboższy w zyski, a bogatszy w doświadczenia, będzie na przyszłość ostrożniejszym w udzielaniu kredytu. Wydaje mi się, że obecny tok wypadków jest zgoła inny. Przedsiębiorcy nie sprzedają towarów, wyprodukowanych drogo, ze stratą, ale przetrzymują je do chwili uzyskania nowej wyżki płac przez urzędników i robotników, którzy ją wywalczają, ponieważ towary są drogie. Wówczas przedsiębiorcy przystępują do sprzedaży i do zwrotu długów w pieniądzu zdeprecjonowanym. Zwrot jest pozorny, a nie rzeczywisty.

Ażeby utrzymać fabryki w ruchu, okaże się potrzeba udzielania kredytu, opiewającego na coraz to większe ilości marek, co znowu doprowadzi do wzmożenia drożyzny. W październiku 1921 roku ceny walut, w znacznie mniejszym stopniu i ceny towarów na targu wewnętrznym spadły. Przedsiębiorcy ograniczyli produkcję. Liczba bezrobotnych, przedtem mała, znacznie wzrosła. Prasa, sejm, cała opinja publiczna domagała się wspomożenia kredytem przedsiębiorców. Przebrzmiały bez echa nie-liczne głosy oponentów. W ostatnim kwartale 1921 roku nasz bank emisyjny wypożyczył na ten cel około 30 miliardów polskich, uzyskanych przeważnie ze wzmożenia emisji. Drożyzna z początkiem marca 1922 r. jest oczywiście skutkiem tej polityki. W Anglii i Stanach Zjednoczonych są miliony bezrobotnych, ale nikomu na myśl nie przyszło naśladować polskie sposoby walki z zastojem. Świat byłby rajem, gdyby problem

dostarczania zarobku można rozwiązać bezkarnem drukowaniem pieniędzy papierowych.

Istotnie, z początkiem jesieni 1921 r. zabrakło kapitału naszym przemysłowcom. Zaczęto zamykać fabryki, zwalniać robotników. Zabrakło kapitału, czyli oszczędności. Wojna je zjadła, a państwo biciem pieniędzy papierowych umożliwiła, co gorsza zachęca ludzi do życia nad stan, do wydawania więcej, niż zarabiają. Przecie oszczędzanie deprecjonujących się marek nie opłaca się. W Polsce zwyciężyło zapatrywanie, że można przysporzyć kapitału — pomieszano rzeczowe z pieniężnymi — wybiciem nowej góry pieniędzy papierowych. Skutki okazały się najfatalniejsze. Poderwano poprawę kursu marki polskiej i uzdrowienie finansów, które wyraźnie się zaznaczyło z końcem 1921 i początkiem bieżącego roku. Nowa fala drożyzny doprowadzi do zwyczajki płac urzędniczych, do jej pokrycia nowymi emisjami, do dalszego spadku marki. Chwilowo zażegnano zastój, nie pomnąc, że przyszły będzie jeszcze większy.

Emisja, podjęta w zamiarze udzielenia kredytu przedsiębiorstwom prywatnym, utrzymanego w należytych granicach i odpowiednio oprocentowanego, byłaby na czasie, gdyby finanse państwa były już uporządkowane, gdyby zaprzestano pokrywać wydatki państwowe pożyczkami, zaciąganiem w banku emisyjnym. Bank emisyjny, którego państwo nadużywa do swoich celów, nie może bez szkody dopomagać kredytem przedsiębiorcom prywatnym. W Polsce wyrażano ostatnio niejednokrotnie wprost przeciwne zdanie. Upatrywano poprawę sytuacji w rozpoczęciu w r. 1921 emisji nowych pieniędzy papierowych na rzecz finansowania życia gospodarczego, nie połączonej z zaniechaniem emisji fiskalnej. Wzrost procentu banknotów, pokrytych prywatnymi skryptami dłużnymi, uznano za objaw korzystny. Wyobrażano sobie, że dodatni wpływ jednych neutralizuje ujemny drugich. Tych złudzeń nie podzielałem dawniej i nie podzielał obecnie. Przeciążenie banku w jednym kierunku nie może być zrównoważone obciążeniem go nowymi zadaniami.

Jedynym sposobem uzdrowienia naszej waluty jest wstrzymanie emisji. Uważam za szkodliwe jej powiększanie, choćby służyło nabywaniu złota i srebra. Pokrycie kruszcowe jest potrzebne, ale drukowanie w tym celu pieniędzy papierowych mści

się drożyzną. Nawet nabywanie walut i dewiz zagranicznych w zamiarze regulowania kursów nie wydaje mi się wskazanem. P. K. P. musi zawczasu nabywać pewne ilości walut i dewiz na potrzeby skarbu, choćby przyszło je płacić nowymi emisjami. Ostatnio zaczęła je nabywać w zamiarze odsprzedawania, gdy drożeją, ażeby tym sposobem zapobiec ich dalszej zwyzce. Proceder podobny praktykowały banki emisyjne z powodzeniem przed wojną. Stąd wniosek, że i obecnie jest wskazany. Zapominają zwolennicy tego mniemania o przysłowiu: «*Quod licet Jovi, non licet bovi*». Przed wojną banki nie wybijały na ten cel nowych, niewymienialnych pieniędzy papierowych. Regulowanie kursu przez sprzedaż dewiz nie może trwale przyczynić się do stabilizacji marki, jeżeli równocześnie bank emisyjny mnoży ilość marek gwoili zakupna dewiz. Może wyrzucić ten skutek, gdyby bank kupował dewizy markami, dawniej puszczone w obieg, gdyby była pewność, że rząd, zmuszając bank do nowych emisji, umożliwiających udzielenie przez bank pożyczek skarbowi, nie pokrzyżuje usiłowań stabilizacji marki.

Nie ustają żądania nowych wydatków. Trzeba sobie jasno uprzytomnić, co to znaczy? Skarb z podatków, wraz z wliczeniem dochodów, które osiąga skutkiem nałożenia jednorazowej daniny, nie jest w stanie pokryć wydatków, już postanowionych. Niedobór budżetowy wynosi zgórą sto miliardów. Nowe wydatki oznaczają wielkie zwiększenie niedoboru budżetowego. Pożyczkami, ani wewnętrznymi, ani zewnętrznymi, nie można wyrównać braków, bo kapitałiści nie mają zaufania do polskiej gospodarki skarbowej z powodu nadużywania prasy drukarskiej przez państwo polskie. Żądania zwyczaj płac urzędniczych czy też innych nowych wydatków są w danych warunkach identyczne z wezwaniem do wybicia nowych pieniędzy. Obojętną jest rzeczą, czy poplecznicy tego projektu zdają sobie sprawę z tego, co czynią. Wiadomo przecie: Dobremi chęciami jest piekło brukowane. Najlepsze chęci nie ochronią nas przed drożyzną i spadkiem naszej waluty, temi nieuchronnemi następstwami wybicia nowej fali pieniędzy papierowych. Byłoby zgola niezrozumiałem, gdyby było inaczej. Skąd właściwie zagranica przychodzi do tego, ażeby nam sprzedać więcej bawełny, masyzyn, kawy, herbaty etc. z tytułu wybicia przez nas nowych pie-

niędzy papierowych. Rząd podnosi pensje urzędnicze. Przypuśćmy, że dolar kosztuje nadal tyle marek polskich, ile kosztował przed zwyżką pensyj. Wówczas urzędnik mógłby kupić więcej kawy lub innych zagranicznych towarów. Kupuje je. Ilości konsumowane mu nie wystarczają. Żąda nowych podwyżek. Jego pobory rosną. Nabywa bieliznę, mąkę zagraniczną, pomarańcze, czekoladę w coraz to większych ilościach. Przecież to jest nie do pomyślenia, a zająłoby musiało, gdyby nowe emisje nie wpływały podrażniająco na kurs dewiz. Łatwo dowieść, że zagranica w znacznej mierze ignoruje nasze emisje. Od chwili utworzenia państwa, od listopada 1918 r., przybywa marek. Już trudno je zliczyć, ale ilość dolarów, któremi rozporządzamy, nie wzrasta. Przeciwnie, zmniejsza się. Przeliczywszy ilość marek polskich z początkiem 1919 r. na dolary wedle ówczesnego kursu, przeliczywszy ich ilość obecną na dolary wedle dzisiejszego kursu, łatwo wyrachować zmniejszenie się ilości dobrych walut zagranicznych, któremi możemy rozporządzić. Ostatniego kwietnia 1919 r. było w obiegu 1·345 miljarda m. Dolar kosztował 15·2. Nasz obieg wart był około 89 milionów dolarów. Teraz, a zatem z końcem marca 1922 r., obieg wynosi zgórá 240 miliardów. Dolar kosztuje około 4000 m. Wartość obiegu spadła na 60 milionów dol. Zagranica ani myśli dać nam więcej dolarów z tytułu mnożenia naszych marek. Co gorsza, nie chce nam pożyczyć dolarów, póki nie zaniechamy druku nowych pieniędzy. Ten stan rzeczy musi odbić się podrożeniem towarów na targu wewnętrznym.

Szczególnie niebezpiecznym sofizmatem jest przeświadczenie o potrzebie równowagi między poszczególnymi działami wydatków. Często jest mowa o braku granic naturalnych, który nas zmusza do wielkiego wysiłku militarnego. Nie badam słuszności tej tezy. Nie badam możliwości przeciwdziałania odpowiednio obmyślanym systemem przymierzy. »Posito, sed non concessio«, że tak istotnie jest. Cóż stąd wynika? Jeżeli wydatki wojskowe są nieuchronnie wielkie, należy zmniejszyć inne. U nas rozumuje się wprost przeciwnie. Zakłada się konieczność wielkich wydatków wojskowych. Powtóre, konieczność nieprzeznaczania na ten cel zbyt wielkiego procentu ogólnej sumy rozcho-

dów. Ażeby ten podwójny cel osiągnąć, podwyższa się preliminarze wydatków sanitarnych, szkolnych i innych, boć przecie nie uchodzi szafować groszem publicznym głównie na cele militarne. Partyzanci znacznych rozchodów wojskowych wcale nie czują się powołani do żądania, ażeby tworzenie fakultetów medycznych w Poznaniu i Wilnie odroczyć o lat kilka. Poplecznicy ich natychmiastowego otwarcia nie domagają się redukcji wojska. Jedni i drudzy stwierdzają »konieczność« obu wydatków, ale nie chcą uznać spadku marki za nieuniknione następstwo obu poprzednich »konieczności«. Dziwią się naiwnie, czy też perfidnie, jakim sposobem kraj o tak wielkich bogactwach naturalnych może mieć tak złą walutę? Jakgdyby węgiel i nafta, drzemiące w głębi ziemi, a nie rządy nakazywały wybijać pieniądze papierowe w nadmiernej ilości. Walutę obniżają źli ludzie, którzy wołają o rozszerzenie zakresu działania państwa gwoli zdobycia posady, nie mniej ludzie dobrej woli, którzy także występują z nowymi żądaniami, nie zdając sobie sprawy z następstw akcji, opłacanych dalszemi emisjami. Kto wie, czy obecnie w Polsce nie są niebezpieczniejsi ludzie dobrej woli, ale małego rozumu.

Mógłby mi na to ktoś powiedzieć, że zrównoważenie dochodów i wydatków może dokonać się odpowiedniemi podwyższeniem podatków. Bezwątpienia. Nie od dziś jestem zwolennikiem silniejszego naciśnięcia śruby podatkowej. Niestety, nie można wycisnąć dowolnie wielkich funduszków tą drogą. Można wydobyć 25—33% dochodu społecznego. Chęć uzyskania więcej uniemożliwiłaby oszczędzanie, a więc uzyskanie kapitału, potrzebnego do rozbudowy działalności gospodarczej. Przesilenie wynika stąd, że w chwili wybuchu wojny rząd za wiele ludzi począł zatrudniać. Jedynym sposobem ratunku jest zmniejszenie państwowego personalu cywilnego i wojskowego. Uważam za błąd w rozumowaniu pomijać przyczyny najbliższe, bezpośrednie na rzecz dalszych: Błąd doniosły, bo rozstrzygający o wyborze środków zaradczych. Skuteczne muszą polegać na walce z podstawowym współczynnikiem zjawiska, a nie na próbach leczenia symptomów pochodnych.

Drukowanie pieniędzy papierowych było w pewnych gra-

nicach koniecznością wojenną. Czas najwyższy otrząść się z psychozy wojennej. W toku wojny czasami popłaca hasło mierzenia sił na zamiary. Wysiętek finansowy i gospodarczy jest niezdolny do podobnych lotów. W tym zakresie powodzenie warunkowane jest mierzeniem zamiarów podług sił. Megalomanja wiedzie do zguby. Za czasów austriackich, a więc kilka lat temu, nie było w Krakowie rządowego gimnazjum żeńskiego. Państwo pobierało czesne za prawo uczęszczania do szkół średnich. Instytucja lekarzy szkolnych była w gimnazjach nieznana. Obecnie wszystko się zmieniło. Czy na lepsze? Mnie się zdaje, że nie, bo administracja austriacka nie skutecznie sycza zamiarów środkami finansowo, gospodarczo i moralnie potępienia godnymi. Tylko w świetle psychozy wojennej cele zawsze uświęcają środki.

W tej książce, która słusznie w odrodzeniu moralnem widzi jądro zagadnienia, chciałbym ze szczególnym naciskiem podkreślić, że bicie nowych pieniędzy papierowych uważam za oszustwo. Dlaczego? — jest przecie ustawowo dozwolone. Zamiar oszukiwania zapewne nie istnieje. W jakim więc sensie nazywam nowe emisje oszustwem? Brak złego zamiaru nie zmienia faktu, że bicie nowych pieniędzy jest poszkodowaniem obywateli, połączonem z ich wprowadzaniem w błąd, a właśnie to uważam za istotę oszustwa. Mnożenie marek jest ukrytym podatkiem, utajonym zaborem części majątku i dochodu obywateli w przeciwstawieniu do jawnego zaboru, zwanego opodatkowaniem. Jest bankructwem materialnem, bo spłatą zobowiązań w coraz to gorszym pieniądzu, bankructwem jawnie nie zgłoszonem.

Emisja pieniędzy papierowych umożliwia państwu życie nad stan. Rozrzutność w gospodarce państwowej, nierozumna, bo niepomna zasady: »Pamiętaj, rozchodzie, żyć z dochodem w zgodzie«, jest naśladowana skwapliwie przez całe społeczeństwo. Złe przykłady znajdują chętniej naśladowców, niż dobre. Gdy państwo kroczy drogą pozornie łatwego wzbogacenia się bez oszczędności i pracy, trudno wymagać od obywateli innego postępowania. W razie nadmiernych emisyj spekulacja staje się popłatniejszą, niż produkcja. Cóż dziwnego, że pano-

szy się ze szkodą produkcji, — ale czyja wina? Przecie nie spekulantów. Szerzą się kradzieże, rozwiela się lenistwo i łapownictwo. Odrodzenie moralne jest uwarunkowane stabilizacją waluty czyli oszczędnością w gospodarce państwa i gmin. Tylko tą drogą można skutecznie przeciwdziałać deprecjacji waluty i moralności.

DR. WŁADYSŁAW LEOPOLD JAWORSKI
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

SAMORZĄD GOSPODARCZY

Art. 68 konstytucji z 17 marca 1921 r. opiewa:

Obok samorządu terytorjalnego osobna ustawa powoła samorząd gospodarczy dla poszczególnych dziedzin życia gospodarczego, a mianowicie: Izby rolnicze, handlowe, przemysłowe, rzemieślnicze, pracy najmniej i inne, połączone w Naczelną Izbę Gospodarczą Rzeczypospolitej, których współpracę z władzami państwowymi w kierowaniu życiem gospodarczym i w zakresie zamierzeń ustawodawczych określa osobne ustawy«.

Zacytowany artykuł odnosi się do sprawy, mogącej mieć dla gospodarstwa narodowego, a więc dla państwa, pierwszorzędne znaczenie. Rodzi się wskutek tego postulat, aby zawarta w tem postanowieniu zapowiedź została zrealizowaną. Realizację tę poprzedzić winna dyskusja; art. 68 zawiera tylko ogólne ramy instytucyj, które mają być powołane do życia. Wypełnieniu tego artykułu treścią, a raczej tylko zaznaczeniu nasuwających się tutaj do rozwiązania problemów poświęcone są następujące uwagi,

Powstać ma Naczelna Izba Gospodarcza. Ustawa, która wyjdzie na podstawie art. 68 konstytucji rozstrzygnąć musi dwa podstawowe pytania: Jaki będzie zakres działania tej Izby i jaki jej skład.

Art. 68 konstytucji mówi bardzo ogólnie o współpracy w kierowaniu życiem gospodarczym i o udziale w legislatywie. Współpraca w kierowaniu życiem gospodarczym i fakt, iż Izba będzie organem »samorządu«, wskazuje, że nie jest wykluczonem, żeby Naczelna Izba Gospodarcza otrzymała pewien zakres w egzekutywie. Współpraca w zamierzeniach ustawodawczych wskazuje, iż nie jest wykluczonem, żeby Naczelna Izba Gospodarcza otrzymała prawo inicjatywy, to jest prawo wnoszenia projektów ustaw wprost do Sejmu. W tych granicach obracać się będzie kompetencja Naczelnej Izby Gospodarczej. Określić ją będzie można, gdy się pierwej porozumiemy, czego od niej oczekujemy, czego po niej możemy się spodziewać.

Na czoło korzyści, które ta nowa instytucja może przynieść, należy wysunąć stworzenie forum, na którym sprawy ekonomiczne będą traktowane nie wyłącznie z punktu widzenia politycznego, lecz przede wszystkim z punktu widzenia ekonomicznego. Sejm jest ciałem politycznym i polityce musi podporządkowywać wszystkie sprawy i z jej punktu widzenia je oceniać. Jest rzeczą niezaprzeczoną, że każda sprawa ekonomiczna jest zarazem polityczną, ale na załatwienie jej wpływa decydująco, która jej strona, ekonomiczna czy polityczna, w umyśle naszym przeważa. Należy się spodziewać, że w Naczelnej Izbie Gospodarczej podstawowy ton nadawać będą względy ekonomiczne.

Drugie znaczenie N. Izby G. wypływa stąd, że złączona z ustrojem liberalnym gospodarstwa anarchja produkcji w pewnej mierze może być usunięta, a raczej powstają widoki, że będzie choćby w drobnym procencie usunięta. Naczelna Izba Gospodarcza powinna się stać centrum, w którym skupią się możliwie dokładne i prawdziwe wiadomości o produkcji krajowej i zagranicznej, a to pozwoli producentom na orjentowanie się i kalkulację. Ten choćby skromny procent prawdopodobieństwa, że błędy w obliczeniach przedsiębiorców będą zmniejszone, czyni Naczelną Izbę Gospodarczą pożądaną. Korzyści zwiększą się, jeżeli N. Izba G. rozporządzać będzie tak licznymi danymi, że będzie mogła przystąpić do wypracowania programu gospodarstwa narodowego. Przedsiębiorcy znajdą wówczas szerszą pod-

stawę dla swych obliczeń przy zakładaniu i rozwijaniu swych zakładów.

Dalszym momentem, ujawniającym potrzebę powołania do życia N. Izby G., jest to, że zyskanym przez nią zostanie teren, na którym przedsiębiorcy zetkną się bezpośrednio z robotnikami i będą mogli ocenić sytuację z ogólnie państwowego stanowiska, a nie z wyłącznie lokalnego, z punktu widzenia całości gospodarstwa narodowego, a nie interesu jednego przedsiębiorstwa.

Wreszcie przed N. Izbą G. stanie cała międzynarodowa strona gospodarstwa. Możliwość orjentowania się w niezmiernie skomplikowanych dzisiejszych stosunkach ekonomicznych wzrośnie przy systematycznej pracy N. Izby G. w tym kierunku. Korzyści, płynące stąd, staną się tem wyraźniejsze, im większego znaczenia nabierają umowy kompensacyjne, a to jest prawdopodobnym wobec słabych nadziei, aby sytuacja walutowa prędko stała się normalną. Sam stosunek z Rosją, która, jeżeli będzie płacić, to tylko surowcami, upowszechni umowy kompensacyjne, dla których zagranica zyskuje w N. Izbie G. organ, nadający się do informacji i pertraktacji.

Jeżeli N. Izba G. ma spełnić powyższe zadania, to kompetencja jej powinna obejmować opinjowanie tak ustaw i rozporządzeń, jak też wydawanie opinji o kierunku polityki gospodarczej rządu. Przyznanie N. Izbie G. prawa inicjatywy zależnem jest od warunków, które omówimy niżej. Jasną jest rzeczą, że N. Izba G. musi mieć prawo nakładania opłat na pokrycie swych wydatków, trudną jednak kwestją jest przyznanie jej pewnej egzekutywy. Jedno nie powinno ulegać wątpliwości, że N. Izba G. powinna mieć możliwość zbierania dat statystycznych i innych materiałów, względnie korzystania z zebranych przez inne urzędy. Czy przydzielenie jej innych agend administracyjnych byłoby wskazaniem, tego dziś, z braku wszelkich doświadczeń, nie można powiedzieć, należałoby więc tylko w ustawie, powołującej ją do życia, zastrzec możliwość użycia jej do tych agend na podstawie osobnych ustaw, względnie rozporządzeń. Natomiast bez ograniczeń spaść winny na N. Izbę G. wszystkie te zadania, które interesowani dobrowolnie na nią zechcą nałożyć.

Przyznanie N. Izbie G. prawa inicjatywy wymaga uprzed-

niego wyjaśnienia pewnych kwestyj publiczno-prawnych. Już sama krytyka postępowania rządu, przeprowadzona w łonie N. Izby G., nie pozostanie bez wpływu na stanowisko dotyczącego ministra, jeżeli N. Izba G. zdobędzie sobie autorytet. Nie można sobie wyobrazić, żeby zdrowemi były stosunki, gdyby minister przemysłu i handlu, przeciwko którego polityce lub zarządzeniom oświadczyła się N. Izba G., pozostał w urzędzie. Można to uważać za pożądane, ale pozostanie takiego ministra w urzędzie nie jest konfliktem legalnym. Natomiast wniesienie przez Nacz. Izbę do Sejmu projektu ustawy, przeciwko której oświadczył się rząd, wymaga wyraźnego postanowienia, na kogo spada w takim razie obowiązek bronienia takiego projektu w komisjach i w Sejmie. Należy to jasno powiedzieć, aby uniknąć niepewności, którą wywołuje ustawa o Komisji Kodyfikacyjnej. Jeżeli projekt, wypracowany przez N. Izbę G., a zwalczany przez rząd, upadnie w Sejmie, oddziaływanie N. Izby G. na stanowisku rządu będzie takie, jak w wyżej omówionym przypadku krytyki, jednak z niekorzystnym dla N. Izby G. precedensem. Rzecz jednak zmienia się, a sprawa urasta do znaczenia przesilenia, gdy Sejm uchwali projekt N. Izby G. wbrew rządowi. Przedłożenie uchwał do ogłoszenia i podpisania ich przez rząd oznaczać będzie kapitulację rządu przed N. Izbą G., ale odmówienie podpisania uchwał sejmowych przez rząd musi w ustroju parlamentarnym wywołać ustąpienie rządu.

Z wszystkich tych konsekwencji należy zdać sobie sprawę. Prawnik ma jedną tylko rzecz do załatwienia: musi powiedzieć, że N. Izba G., jeżeli otrzyma prawo inicjatywy, będzie mogła sama bronić swych projektów w komisjach i przed Sejmem. Ale polityk musi się zastanowić, czy przez przyznanie N. Izbie G. prawa inicjatywy nie rozszerza terenu, na którym rozgrywają się przesilenia rządowe. Wedle mego zdania, w dzisiejszych stosunkach, gdy rząd jest przeciążony, należy przyznać prawo inicjatywy całemu, którego wielką, może przeważającą, częścią kompetencji będzie właśnie praca nad projektami ustaw. Zresztą dymisja ministra w takich warunkach byłaby wywołaną względami rzeczowymi, a nie politycznymi, z natury rzeczy więcej osobistymi, a wskutek tego byłaby bardziej uzasadnioną.

Drugiem zagadnieniem, które ustawa o N. Izbie G. musi

rozwiązać, jest jej skład. Art. 68 konstytucji przepisuje trafnie wybory pośrednie. Założeniem przeprowadzenia ich jest istnienie izb przemysłowych, handlowych, rolniczych, pracy najemnej. Nie wszystkie już istnieją, nadto zaś w b. zaborach panuje różnorodność urzędów. Ustawa o N. Izbie G. może wskutek tego pójść dwiema drogami. Albo należy poczekać z utworzeniem N. Izby G., aż zostaną wydane ustawy o tych poszczególnych izbach, a one same utworzone, albo też unormować tak zbudowaną N. Izbę G., ale tymczasem stworzyć przejściową N. Izbę G., wybraną przez korporacje, stanowiące surogat tych poszczególnych izb. Charakterystycznym jest, że art. 68 wylicza tylko przykładowo te poszczególne izby («i inne»), zostawia przeto ustawie o N. Izbie G. pewną swobodę, a więc umożliwi stworzenie takiej przejściowej N. Izby G. Ze względu na doniosłość jej zadań oświadczam się za drugą drogą, zdając sobie sprawę, że wówczas wybór owych surogatów powinien być bardzo troskliwie dokonany.

Wkońcu jeszcze jedna uwaga. N. Izba G. nie będzie urzędem państwowym, ale ciałem samorządowym, pochodzącym z wyborów. Rozprószyć to winno obawy, jakie ogarniają społeczeństwo, gdy powstaje nowy urząd. Nie będzie też obciążać skarbu państwa, bo będzie miała prawo nakładać własne opłaty.

Powodzenie N. Izby G. zależeć będzie od ludzi, którzy wejdą w jej skład. Jeżeli dorosną do zadania i dla Izby zdobędą autorytet, życie ekonomiczne naszego państwa zubożyci się o jeden więcej czynnik. Choćby się N. Izba G., złożona z elity dotyczących zawodów, ograniczyła do poważnej, rzeczowej, wolnej od partyjnych względów krytyki, a krytyka ta była twórczą i była w stanie pobudzać rząd, zasługa jej byłaby wielką. Winniśmy ciągle pamiętać, że los naszego państwa zależy od tego, czy w wielkim dziejowym wyścigu z Rosją wygramy. Dzisiaj, wobec ideowego i ekonomicznego zniszczenia Rosji, wszystkie szanse są po naszej stronie. Budowa naszego państwa odbywa się też w nieporównanie lepszych warunkach, ale to są tylko warunki, które wyzyskać muszą ludzie. Nie może ich braknąć. Jeżeli nie mamy genjuszów, to pamiętać winniśmy, że Napoleona zastąpiły sztaby generalne, jakgdyby równając jeden genialny mózg z sumą licznych wyszkolonych mózgów. Na polu ekono-

micznem N. Izba G. ma być takim sztabem generalnym. Czy można sobie wyobrazić, żeby dzisiaj była zwycięską armją bez sztabu, czy można sobie wyobrazić, że partyzantką osiągnie się zwycięstwo? A dzisiejsze gospodarstwo jest anarchiczne, jak partyzantka. Prawda, program bardzo trudno wypracować, bez przymusu nie można nawet myśleć o jego wykonaniu, a z przymusem bankrutuje się, jak bolszewicy. Wszystko to prawda, ale to są zarzuty, które można podnieść przeciwko każdej działalności ludzkiej, a od których wolną jest tylko martwa natura. Mimo tego nigdzie, ani w nauce, ani w praktycznej działalności, nie wyrzekamy się przewidywania. Musimy się tylko strzec skostnienia i ciągle, bez wytchnienia, nasze programy poprawiać i udoskonalać. Przejdzie też i Naczelna Izba Gospodarcza różne koleje. Będą jej chcieli użyć, jako narzędzia, do różnych celów. Zobaczymy. Narazie ma do spełnienia wielkie zadanie: W życie, rządzone liczbą, bo powszechnem głosowaniem, ma wprowadzić jakość, t. j. fachową elitę.

DR. FRYDERYK ZOLL
PROFESOR UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

ROZWÓJ PRZEMYSŁU A OCHRONA TWÓRCZOŚCI PRZEMYSŁOWEJ¹

Wśród różnych recept na podnoszenie przemysłu nowożytne państwo zna jedną, niezawodną: Ustawę patentową — niezawodną, pod warunkiem, że się ją dobrze stosuje. Recepta to dość stara, bo jej treść istotna była w użyciu w Anglii już za czasów królowej Elżbiety i króla Jakóba I, a we Francji za czasów Ludwika XIV. Udoskonalona i uzupełniona w czasie rewolucji francuskiej, a potem w wieku XIX, należy dzisiaj do tych, bez których żadne państwo nowożytne obejść się nie może.

I Polska zaraz po swem odrodzeniu zaprowadziła u siebie w lutym 1919 r. ustawę patentową i pokrewną jej ustawę o wzorach rysunkowych i modelach, a dla wykonywania ich utworzono osobny Urząd patentowy. Są więc ustawy i jest urząd od lat przeszło trzech, ale ustaw dotąd nie wprowadzono w życie — nie mogę uważać za wprowadzenie w życie ustaw rejestracji pewnej liczby zgłoszonych wzorów — a Urząd dotąd jest organem prawie martwym, który dużo kosztuje, a niczego państwu ani społeczeństwu dotąd nie przynosi. A przecież mamy już zgłoszeń wynalazków kilkanaście tysięcy a wzorów i modeli jeszcze więcej — podpisaliśmy traktaty wersalski i o mniejszościach narodowych i tem samem zobowiązaliśmy się do ochrony twórczości w prze-

¹ P. moje artykuły w »Tygodniu Polskim« z września 1921 r.

myśle, — w Europie coraz nam więcej urągają, że nic się pod tym względem u nas nie dzieje — czas więc największy, by działać na serjo!

Toteż rząd postanowił jeszcze w roku zeszłym zaradzić złemu, a upatrując przyczynę przedewszystkiem w nieodpowiednich ustawach, wniósł do Sejmu projekt ustaw zmienionych i ma przystąpić do należytej organizacji Urzędu.

Piszę więc o sprawie bardzo aktualnej, bardzo pilnej, w tem przeświadczeniu, że, jeżeli akcja, przez Rząd zamierzona, ma mieć powodzenie, musi znaleźć oddźwięk w społeczeństwie. Ale społeczeństwo nasze trzeba nią zająć. Niema bowiem, zdaje się, innej gałęzi administracji państwowej w Polsce, tak mało cenionej, jak ochrona twórczości w przemyśle!

Myśl przewodnia każdej ustawy patentowej i pokrewnej jej ustawy o wzorach i modelach jest podobna, jak prawa autorskiego: Jak autor, literat, artysta ma prawo wyłączne wyzyskania siły ekonomicznej, tkwiącej w jego utworze, on więc rozstrzyga, czy dzieło może być publikowane, na scenach wystawiane, on w zasadzie ma pobierać korzyści gospodarcze, jakie tego rodzaju publikacje przynoszą i t. d. — tak twórca nowych myśli w przemyśle, a zwłaszcza wynalazca, ma wyłączne prawo wyzyskania tych korzyści, jakie jego myśli nowe przynoszą, stosowane w przemyśle, a w handlu wyzyskane. Autor i wynalazca mają zatem monopole; jednak monopol autora, t. zw. własność autorska, trwa dłużej, bo przez całe jego życie i przez 30 lub 50 lat po jego śmierci — monopol wynalazcy, zwany patentem, trwa tylko lat 15, a jeśli nowość objawia się jedynie w postaci zewnętrznej wytworu, t. j. w t. zw. wzorze lub modelu — jeszcze krócej (lat 10 lub 12). Monopol wynalazcy trwa dlatego znacznie krócej, bo patent na dobry wynalazek przynosi korzyści tak olbrzymie, nieraz niesłychane, że dłuższy monopol byłby wprost niebezpieczny z punktu widzenia gospodarstwa społecznego.

W ustawach patentowych objawia się zatem nietylko czynnik sprawiedliwości, polegający na uznaniu praw twórcy do tych korzyści, które płyną z plodów jego umysłowej twórczości — ale i ważny czynnik polityki gospodarstwa społecznego: Państwo bowiem przez udzielanie monopolów wynalazcom zachęca ludzi

zdolnych do wyęźania swych sił w kierunku twórczości przemysłowej i udoskonalania produkcji; a gdy po wynagrodzeniu odpowiedniemi wynalazców kasuje ich patenty na rzecz dobra ogółu, rozwija i bogaci życie gospodarcze, na wolności przemysłowej oparte.

Zaprowadzenie ustaw patentowych, podobnie jak ustaw autorskich, jest — patrząc na rzecz z punktu widzenia socjologicznego — jednym krokiem naprzód w rozszerzaniu zakresu praw prywatnych, jednostce przyznanych. Z dóbr, które stanowiły niegdyś wspólnotę wszystkich, wydzielają się przedmioty jedne za drugimi, aby służyły bezpośrednio pewnym jednostkom. Praca indywidualna doskonali je i kształci na własną korzyść pracujących i daje w ten sposób przykład i podstawę dla coraz to nowszej i lepszej eksploatacji. Z nią bogaci się ogólna kultura. Powstawanie i pomnażanie wyłącznych praw jednostki rozpoczyna się jeszcze w czasach przedhistorycznych, gdy nasi praojcowie w skóry odziewać się poczęli, aby chronić się od zimna, i tem się żywili, co upolowali. Skóra zabitego zwierzęcia i mięso z niego, a potem narzędzie, jakim zaczęto polować, to początki własności. Za niemi grupują się inne sprzęty, zrobione ręką ludzką, jako własność tego, co je zrobił, dalej dom i trzoda, znacznie później grunt, a po upływie wieków i las. Liczba owych praw indywidualnych rośnie i rośnie tak, iż dziś obejmuje już prawa do światła (służebność światła), do powietrza (prawo do słupa powietrza nad własną ziemią), do wody (służebność prawa prywatnego i prawa wodne, polegające na ustawie wodnej), do zwierzyny w lesie (prawo rybołóstwa), a nawet do myśli oryginalnej, w pewnej formie objawionej (własność literacka, prawo patentowe, prawo do wzoru i modelu), nawet do klienteli, związanej z firmą i znakiem towarowym, i t. p. Im większy postęp, tem więcej dziedzin, nad którymi jednostka zapanowywać może. Zwłaszcza prawo patentowe rozszerzyło ich zakres niezmiernie i, tworząc monopole eksploatacji wynalazku, otwarło nowe olbrzymie źródła bogactw: Jak dziewicze lasy i tłuste ziemie za morzami dla kolonisty, tak wynalazki są dla ich twórców przedmiotem zawłaszczenia, tylko że pierwsze kończą się znowu morzami, gdy tymczasem drugie

nie mają granic, bo ich źródłem jest — bezgraniczna praca ludzka i pęd fantazji. W ten sposób spełniła się choć w części maksyma Lamartine'a: *Le progrès le plus urgent à faire consiste à rendre l'accessibilité de la propriété plus facile à tous.*

Z faktem powyższym mnożenia praw indywidualnych przez prawo patentowe łączy się inny fakt, t. j. zwrócenie się licznych rzesz ludzi do szukania owych skarbów patentowych. Podczas gdy dawniej wynalazek stał jak bóg na piedestale, do którego poważyl się przystąpić tylko genjusz, lub potrafił nim przypadek, to teraz wynalazek spopularyzował się, wmieszał się w tłumy, siłę zaś swoją widzi w pracy zbiorowej mas, a nie w dziełach, tylko genialnych jednostek, którymi od czasu do czasu Opatrzność ludzkość obdarza. Wynalazek uległ więc demokratyzacji.

Przed zaprowadzeniem ustaw patentowych nie myślał przeciętny człowiek o wynalazkach. Ciasne wychowanie robotników w granicach regulaminów cechowych zabijało myśl samodzielnieszą w zarodku. Nauki przyrodnicze były, jak każda nauka, przywilejem niewielu. Zrobić wynalazek, znaczyło więc rzucić rękawicę światu i dotychczasowym jego tradycjom i stanąć ponad poziomem swej epoki. Wynalazek mógł zatem albo zrobić genjusz, albo nasunąć go przypadek.

I w jednym i w drugim przypadku czekały wynalazcę walki z dotychczasową tradycją, śmiech, szyderstwa a nieraz niebezpieczeństwa. Są to rzeczy, tak każdemu jeszcze z lat dziecińczych znane (odkąd zaczął czytać owe rozpowszechniane wszędzie książki o wielkich wynalazcach), że przykładów, stwierdzających powyższe zdanie, nie potrzebuję przytaczać.

Co było powodem, że genialni wynalazcy, mimo przeszkód, walkę dla ludzkości i postępu podejmowali? Zapewne nie miłość ludzkości, zwłaszcza gdy ta ludzkość stawiała areszty cechowe, pręgierze, stopy i t. p. na niszczenie w zarodku wielkich myśli — zapewne i nie wyłącznie nadzieja przyszłej sławy, błogosławieństw potomności, lub nadzieja wielkich dzieł, które na pierwszym dziele się oprą, bo to nadzieja zbyt odległa, a tem samem i pobudka za słaba, aby mogła być ciężkich zapasów zrównoważyć. Powodem, dla którego genjusz walki owe podejmował i przytem zapominał o najbliższem szczęściu, jest i było zawsze to,

że jest genjuszem, że pała w nim święty ogień tworzenia, że woła mu w głębi duszy nieustannie głos: pędź, pędź naprzód! Genjusz więc tworzy, bo tworzenie jest jego powołaniem, zaspokojeniem wewnętrznej potrzeby i, co za tem idzie, prawdziwą rozkoszą.

Zarówno wynalazki genialne, jak i wynalazki przypadkowe były czemś niezwyčajnym, nader rzadkiem, pojawiały się w różnych czasach i w różnych miejscach bez ciągłości, bez ścisłego uzupełniania. Wprawdzie to, co odkryli jedni, było podniętą dla innych do szukania dalej w raz oznaczonym kierunku i skutkiem tego wynalazki jedne stawały się z czasem źródłem wynalazków drugich — ale pomiędzy nimi miały wielkie nieraz czasu przestrzenie. Wynalazki z czasów przedpatentowych robią — perspektywicznie — wrażenie błędnych ogników, pojawiających się tu i ówdzie w ciemności.

Ten obraz zmienia się zupełnie z chwilą wprowadzenia ustaw patentowych. Ustawy patentowe roztwierają — jak wyżej wspomniano — naoścież drogę do nowej obiecanej ziemi wynalazków i zapewniają kolonistom tej ziemi ochronę prawną i korzyści wielkie. Prześladowania nowych myśli ustają, a ustawa sama zachęca do robienia wynalazków i wynagradza je monopolami. Toteż podróż do tej nowej ziemi obiecanej nie jest już przedsięwzięciem wyjątkowym śmiałych i pełnych boskiej fantazji podróżników, lecz staje się objawem codziennym, praktykowanym przez całe szeregi kolonistów, którym gleba oj-cowska za ciasną. Podróżują, bo słyszą, że w ziemi obiecanej zdobyć można miliony. Ci z nich, co posiadają zdolności odpowiednie, wytrwałość i spryt, nie zawodzą się w nadziejach. Ci jednak, którzy się przeliczą ze swemi siłami, zasobami i wytrwałością, wrócą czasem z połowy drogi znękani, czasem w nowo-ziemi zmarnieją wśród głodu i chłodu, a czasem, przedarłszy się przez dziewicze lasy trudności, zginą, zostawiając tylko po sobie ślad dla innych.

Wynalazek stał się zatem od czasu zaprowadzenia patentów zdobyczą pracy w całym tego słowa znaczeniu, pracy, która jest zbiorową i ciągłą. Skutkiem tego postępuje przemysł ruchem spokojnym, stałym, wszechstronnym i niezmiernie szybkim, podczas gdy dawniej postępował skokami gwałtownymi.

ale rzadkimi, których rezultat w porównaniu z dzisiejszym był bardzo skromny. Na wynalazek, stanowiący pewną skończoną w sobie całość, np. prasę hydrauliczną, maszynę drukarską, młocarnię parową, motor gazowy i t. d., składają się setki pomysłów, z których każdy zostawał przez pewien czas pod ochroną patentu. Każdy z nich miał za przedmiot jakąś nową konstrukcję lub ulepszenie, a suma ich utworzyła maszynę, która zadziwia nas pomysłowością, dokładnością w wykonaniu i t. p., co znowu nie wyklucza możliwości, że ta sama maszyna po kilkudziesięciu latach będzie jeszcze nierównie doskonalszą i praktyczniejszą.

Aby przebieg ten wyjaśnić, wskażę na kilka dość znanych przykładów. Zaczynam od najgłośniejszego może wynalazku, t. j. od maszyny parowej. Początki jej sięgają kociołka *Papina* i podobnych odkryć margrabiego *Worcester* i *Salomona de Caus*. Odkrycia te odnoszą się jednak tylko do stwierdzenia prężności pary, były więc nie wynalazkami, ale odkryciami naukowymi, które i dziś nie mogłyby podlegać patentom. Zastosował je *Savery*, Anglik, który skonstruował pierwszy maszynę parową. Para, zgęszczona w rurach, wywoływała ciągły ruch, a przytem były rury oddzielone od kotła parowego. Para poruszała i podnosiła wodę. Wynalazek ten został opatentowany około roku 1700. *Newcomen* wprowadził w rury tłoki i połączył je zapomocą sztaby z przyrządem poruszonym i wziął również na to ulepszenie patent. Skutkiem tego wniósł *Savery* skargę o unieważnienie patentu *Newcomena*, poczem obaj wynalazcy złączyli się w spółkę, mającą na celu eksploatację tak zwanej ulepszonej, atmosferycznej maszyny. Cały szereg ulepszeń tej maszyny, które doprowadziły do jej najrozleglejszego zastosowania w fabrykach, kolejach żelaznych i t. d., wynalazł dopiero *James Watt*, którego prawie całe życie wyteżone było w kierunku doskonalenia maszyny parowej. Jednakże nie on sam pracował w tym kierunku. Równocześnie z nim przyczyniali się do doskonalenia maszyny parowej *Wassbrough*, który umieścił dźwignię obok osi koła i połączył ją z tłokiem w celu przemienienia ruchu linowego na kołowy, *Fitzgerald* i *Murray*, z których pierwszy wynalazł koło rozprędowe, drugi wentyl z zasuwką i t. d. — Szereg wynalazców, którzy wynaleźli statek parowy, roz-

poczyna się Baskiem de Garay i dochodzi do punktu kulminacyjnego w Fultonie, który pierwszy na wielką skalę skutkiem swych wynalazków mógł rozpocząć przemysłowy wyrób statków. — Maszyna parowa przeszła od czasów Wattowskich zmiany olbrzymie, zanim otrzymała dzisiejszy kształt. Od śmierci Watta udzielono na różne jej ulepszenia, jak obliczają niektórzy, około 2.000 patentów.

Podobnych przykładów wynalazków, coraz więcej udoskonalanych, dostarczają nam wszystkie większe wynalazki nowsze. Zamglone w swych początkach lub połączone z imionami wielkich Galileuszów, Torricellich, Newtonów, Voltów, Galvanich i t. d., nabierają coraz lepszych i doskonalszych, czasem od początkowych całkiem odmiennych i nowych kształtów, aż wreszcie stają wobec nas jako skończone arcydzieła, w postaci lamp elektrycznych, telegrafów, telefonów, dynamo-elektrycznych motorów, lunet, teleskopów, przyrządów fotograficznych, nowych ciał chemicznych, maszyn do robienia lodu, skomplikowanych mechanizmów z tysiącem dźwigni, bloków, równi pochyłych i t. d.

A jeżeli zajrzemy do biur patentowych, to się dowiemy, że wszystkie te arcydzieła są znowu przedmiotem nowych prac twórczych, nowych ulepszeń i udoskonaień. Tam się dowiemy, że niema prawie dziedziny przemysłu, w którejby fabrykant nie musiał ciągle poprawiać swej fabrykacji i swych przyrządów. Żadna śrubka, żadne kółko maszynowe nie może liczyć na czas dłuższy istnienia. Dziś jeszcze uważane za najlepsze, musi jutro ustąpić miejsca lepszemu od siebie i zadowolnić się schowkiem w magazynie starego żelaza.

Rzadko się też zdarza, żeby patent, choćby najlepszy, trwał niezmiennie przez lat 15. Często już w drugim, trzecim roku, lub później, inne go patenty zastępują lub uzupełniają. Większe przedsiębiorstwa fabryczne mają osobne biura techniczne, w których stale pracują nad ulepszeniami produkcji najęci w tym celu technicy. Wynalazki ich uważa się za własność właścicieli przedsiębiorstw i dla nich bywają patentowane.

W Ameryce obliczono stosunek używanych w przemyśle i patentowanych maszyn i produktów do kapitału zakładowego, umieszczonego w przemyśle w przedmiotach, które nie zostają

wcale pod ochroną patentu i okazało się, że z kapitału, zajętego w przemyśle, przypada 90%, na patenty, a tylko 10% na przedmioty, które zostają pod ochroną patentów.

Ciekawy to i charakterystyczny objaw, chociaż wygląda na paradoks, że z powstaniem praw indywidualnych, patentowych, spotężniał skojarzony i zbiorowy duch wynalazczy. Gdy prawa patentowego nie było, jaśniały na kartach historii wynalazków wielkie imiona; dziś jaśnieją wielkie dzieła.

Dawnych wynalazców wynagradzała sława i błogostawieństwa potomności — dzisiejsi wynalazcy przyjmują nagrodę za życia w pieniądzech, ale pamięć po nich mija, jak sen.

Istnieją dwa systemy udzielania patentów: jeden francuski, czyli system zgłoszenia, drugi angielsko-amerykański, szczególnie wydoskonalony w Niemczech, system badania. System francuski zasada się na tem, że ustawa oznacza wprawdzie warunki, pod którymi o patent starać się można, ale władza udzielająca patent nie bada, czy wszystkie warunki ustawowe, a przede wszystkim warunek nowości wynalazku w danym przypadku istnieje. Kto poda o patent i określi w podaniu w sposób jasny przedmiot, będący albo wyrobem przemysłowym, albo jego ulepszeniem, albo wreszcie samą produkcją, ten otrzymuje bez dalszego badania patent. Patent udziela się więc na odpowiedzialność proszącego, *sans garantie du gouvernement*, a kontrolę nad warunkami ustawowemi oddaje się całemu społeczeństwu. Każdemu bowiem służy prawo wniesienia skargi o nieważność patentu (*actio popularis*). Jeżeli powód w procesie ulegnie, musi koszta procesu zapłacić pozwanemu. Jeżeli zaś pozwanemu, t. j. właścicielowi patentu, udowodni, że jego patent nie ma podstawy prawnej, wówczas pozwany nie tylko musi zwrócić koszty procesu lub raczej procesów, bo bardzo często kilku od razu procesy prowadzi, ale nadto wynagrodzić szkodę tym, których w wykonywaniu wolnego przemysłu niepokoił; a szkoda taka wynosi nieraz sumy olbrzymie.

Aby drogi procesu kosztownego o ile możności uniknąć, wprowadziły niektóre ustawy t. zw. postępowanie wywoławcze. Zasada się ono na tem, że urząd patentowy ogłasza przedmiot, do patentowania zgłoszony, w osobnem na ten cel utrzymy-

waniem piśmie patentowem i wzywa wszystkich, komu na tem zależy, do wniesienia t. zw. zarzutów oczywiście uzasadnionych. Podstawę zarzutów bada następnie i udziela lub nie udziela patentu.

Na podstawie systemu amerykańsko-niemieckiego, urząd patentowy bada każde zgłoszenie w sposób nader skrupulatny, posługując się w tym celu szperaniem w wielkich technicznych bibliotekach i udziela patentu dopiero wtedy, gdy może wynalazek uznać za nowy. System ten wymaga olbrzymiego aparatu urzędniczego, a mimo to, jak doświadczenie okazało, nie daje gwarancji należytej, że patent chroni wynalazek prawdziwy. Dobrą stroną tego systemu jest, że patent, jako taki, ma zwyczajnie większą wartość i nie bywa używany, jak to przy systemie francuskim niejednokrotnie się zdarza, w celach reklamy lub chwilowego zaniepokojenia konkurencyjnych przedsiębiorstw.

Polska obrała system amerykański, ukształtowany w takich przepisach, jakie wyrobiły się w Niemczech. Piękną była pobudka tego wyboru: »Przyjmujemy, co najlepsze«. W wielkim świecie przemysłowym patenty niemieckie miały najlepszą sławę, a Urząd patentowy w Berlinie uchodził za wzór godny naśladowania — co nawet uznano we Francji. Ale ci, co pod takim hasłem za gabinetu Moraczewskiego narzucili Polsce wzory niemieckie, byli idealistami, doktrynerami — nazwijmy ich marzycielami, gdyż jak Filareci chcieli mierzyć »siłę na zamiary« a nie »zamiar podług sił«. Zapomnieli, a może nie wiedzieli, że w Polsce jest znawców praw i spraw patentowych tylu, iż ich na palcach jednej ręki policzyć można, a mimo to postanowili stworzyć aparat, jak w Berlinie, ze stu przeszło pierwszorzędnymi technikami, z kilkudziesięciu w prawie patentowem wyszkolonymi prawnikami, z biblioteką obejmującą miliony technicznych i prawniczych dzieł, i podyktowali Polsce ustawy, na taki olbrzymi obliczone aparat. I cóż się stało? Stało się to, co się stać musiało: Urząd patentowy liczy wprawdzie kilkudziesięciu funkcjonariuszów, ale właściwie nie ruszył jeszcze z miejsca — nie udzielił nawet żadnego patentu, ledwie zarejestrował nieco wzorów i modeli. Jest, jak wspomniałem wyżej, organem martwym a kosztownym. Zupełna dysproporcja między przepisami ustawy a środkami na ich urzeczywistnienie przypomina tego chłopczyka, na którego wdziano żelazną zbroję teutońskiego siłacza: Chłopiec nie mógł postąpić

nawet o krok naprzód. Gdy mu jednak wdziano lekkie ubranie, biegał szybciej, niż olbrzym, a kto wie, czy więcej od niego nie dokonał.

Cóż stąd za wniosek: Trzeba w administracji patentowej nie dążyć do programu maksymalnego, nie naśladować Niemców, a zadowolić się systemem francuskim, choćby nieco na podstawie doświadczeń amerykańsko-niemieckich ulepszonym, a wtedy przy sprawnej organizacji tych sił urzędniczych, na jakie nas stać, Urząd patentowy podoła zadaniu.

I tu znowu pokazuje się, że *le meilleur* bywa często *l'ennemi du bon*, iż nasi politycy i budowniczy Państwa Polskiego nie powinni gonić za ideałami niedoścignionymi, a liczyć się więcej z warunkami realnymi i odpowiednio do nich układać ustawy i myśleć o ich wykonaniu. Nie zaszkodzi im przypomnieć tej nauki, jaką wielki *Corneille* wypowiedział w swym *Cinnie*:

*J'ose dire, seigneur, que par tous les climats
Ne sont pas bien reçus toutes sortes d'Etats.
Chaque peuple a le sien conforme à nature,
Qu'on ne saurait changer sans lui faire une iniure:
Telle est la loi du ciel, dont la sage équité
Sème dans l'univers cette diversité.*

Oto jedno hasło, które przyświecać winno naszemu ustawodawcy przy zamierzonej reformie prawa patentowego. Drugie, na które pragnę zwrócić uwagę, wynika także z liczenia się realnego z naszymi stosunkami.

My, Polacy, jesteśmy w dziedzinie twórczości przemysłowej społeczeństwem naogół biernem. Któż więc będzie przeważnie uzyskiwał patenty wartościowe? Oczywiście cudzoziemcy: Francuzi, Anglicy, Amerykanie, Niemcy i t. d. Oni będą pobierali wielkie premje wynalazców. Nie bez powodu zatem państwa sprzymierzone nałożyły na nas w traktatach wersalskim i o mniejszościach narodowych obowiązek, że musimy wprowadzić u siebie ochronę patentów, wzorów i modeli i przystąpić do roku do międzynarodowych traktatów paryskiego i waszyngtońskiego, zapewniających ochronę międzynarodową obcym twórcom (cośmy już formalnie uczynili, p. Nr. 8 i 15 Dziennika Ustaw R. P. z r. 1922). Monopole obcym udzielane mogłyby nasz rodzimy

przemysł uczynić niezdolnym do współzawodnictwa, a budzące się jego pędy dusić w zarodku. Z niebezpieczeństwem takim powinien liczyć się przezorny ustawodawca polski i ustawę tak ułożyć, żeby ona nie tylko nie groziła naszemu przemysłowi rodzimemu, lecz i owszem, by stała się źródłem jego budzenia się i rozwoju. A rzecz to stosunkowo łatwa. Historia polityki patentowej może tu być dobrą nauczycielką, zaś nauka płynie tym razem z Niemiec, a raczej z Prus — z historii ustawodawstwa pruskiego wieku XIX.

Prusacy mianowicie z zazdrością patrzyli na wielki przemysł francuski i angielski, z którym nie mogli nawet mierzyć się w pierwszej połowie wieku XIX-go. I użyli właśnie patentów, aby przeszczepić wielką industrię zagraniczną do siebie — przez następujący środek: Z nadzwyczajnem ułatwieniem, bez trudności i szykan biurokratycznych, udzielali każdemu cudzoziemcowi patenty na wynalazki, ale potem z bezwzględnością właściwą sobie kasowali na podstawie ustawy każdy zagraniczny patent, jeżeli obcy wynalazca nie wykonywał wynalazku w Prusiech, jeżeli nie zakładał w kraju fabryk, lub nie wprowadzał w istniejących fabrykach swego wynalazku, a wytwory opatentowane sprowadzał z zagranicy. Myślą ich polityki handlowej było: Dajemy ci, cudzoziemcze, patent, a z nim wielkie korzyści, ale musisz za to wynalazek twój u nas wykonywać, w fabrykach tutejszych, żeby przez to rozwijał się nasz przemysł; twój kapitał i twój pomysł może u nas zarabiać, ale z pomocą naszej pracy — a nie przez import zagraniczny.

Taką politykę przemysłową i handlową powinniśmy także wprowadzić z całą stanowczością i energią do naszych ustaw; powinniśmy zawarować bezwzględny przymus wykonywania w Polsce każdego patentu i każdego wzoru i modelu zarejestrowanego, przymus wykonywania w rozciągłości, odpowiadającej zapotrzebowaniu wewnętrznemu — pod grozą natychmiastowego umorzenia (a w granicach zastrzeżonych traktatami międzynarodowymi). Oczywiście nie wystarczą najsilniej zredagowane przepisy ustawowe, jeżeli nie będzie zapewnione należyte i bezwzględne ich zastosowanie. Nad wykonaniem takich dobrze zredagowanych przepisów czuwać musi sprawny, dobrze zorganizowany aparat Urzędu patentowego — urzędnicy nie ulega-

jący szkodliwej dla dobra publicznego pobłażliwości lub pozornie dobrotliwej a właściwie safandulskiej miękkości słowiańskiej.

Jeżeli na taką drogę, jedynie właściwą, wstąpimy, obce monopole przemysłowe nie tylko nie będą przeszkadzać rodzimemu przemysłowi, a raczej staną się tym obornikiem, tym nawozem sztucznym, z pomocą którego przemysł rodzimy bujnie rozwinie się, jak się rozwinęła w wieku XIX w Niemczech, względnie w Prusiech, industria, zapłodniona obok własnych popędów, bardzo poważnych, przez kapitały i myśli Francuzów, Anglików, Amerykanów i innych przodowników w zakresie twórczości przemysłowej.

Taka droga prowadziaby także szlakami genialnych myśli naszego Kazimierza Wielkiego, który w XIV wieku, widząc, że Polacy nie mają zdolności zakładania miast i rozwijania w nich przemysłu i handlu, zachęcał cudzoziemców do osiedlania się w Polsce, dając im bardzo daleko idące przywileje, średniowieczne immunitety. Cudzoziemcy przybywali, zakładali miasta, wnosili swe kapitały, doświadczenie i spryt, z obcego żywiołu stawali się z czasem dobrymi obywatelami Polski, a Ojczyzna rosła i potężniała w bogactwie.

DR. TADEUSZ BRZESKI
PROFESOR UNIWERSYTETU POZNAŃSKIEGO

REFORMA ROLNA A PRAWO WŁASNOŚCI

Ruch, którego wyrazem jest reforma rolna w Polsce, jest dalszym ciągiem ruchu parcelacyjnego, rozgrywającego się na wszystkich ziemiach polskich w ostatnich dziesięcioleciach przed wojną. Wszędzie w Polsce rozpadała się lub kurczyła własność większa, a na jej miejscu rozrastała własność mała czy drobna. Warunki tego procesu były niewątpliwie różne w poszczególnych dzielnicach, na co się naogół zbyt mało zwracało uwagi, mając przed oczyma ogólne zarysy tego potężnego zjawiska — nie wszędzie była taką samą sytuacja wielkiej własności, nie wszędzie występował z równą siłą głód ziemi, z różnych źródeł czerpała środki na zakupno ziemi własność mała — mimo to za wspólną cechę owej minionej już epoki uważać można, że momenty polityczno-państwowe, popierające ruch parcelacyjny, nie odgrywały tak wybitnej roli, jak momenty gospodarczo-społeczne. Nie mamy zamiaru negować znaczenia akcji państwa pruskiego dla procesu rozpadania się większej własności, a także takiej samej akcji państwa rosyjskiego (Bank włościański), co-prawda nie w tych rozmiarach, o ile chodzi o Królestwo; w tych samych dzielnicach jednak rozwijała się obok tego parcelacja samorzutna, w b. dzielnicy austriackiej zaś niezależna od jakiegokolwiek wpływu państwa, a rozwijała się na tle gospodarczo-społecznego stosunku między własnością folwarczną a chłopską

Reforma rolna, ucieleśniona w ustawie z 15 lipca 1920 r., nadaje procesowi przemian w naszym ustroju rolnym zasadniczo odmienny charakter. Przemiany te dokonywać się mają w przyszłości nie, jak dotychczas, w drodze dobrowolnego porozumienia się stron zainteresowanych, lecz pod przymusem prawa, wykonywanym przez władze państwowe. Państwo upoważnione zostało przez ustawę do wywłaszczania większej własności i do podziału jej według pewnych zasad między ludność, potrzebującą ziemi. Poddawać się temu musi każdy większy właściciel, bez względu na to, jakie motywy mogłyby go skłaniać lub powstrzymać od parcelacji, a korzystać z podziału ziemi folwarcznej będzie mógł przeciwnie nie każdy, lecz ten, kogo wybierze władza państwowa z pośród kandydatów, odpowiadających ustalonym przez ustawę warunkom. To ostatnie ma o tyle praktyczne znaczenie, że, jak wiadomo, wobec niedostatecznej dla celów reformy rolnej ilości ziemi folwarcznej nie cała małorolna i bezrolna ludność może zostać obdzielona ziemią. Wystarczy to do stwierdzenia faktu ogromnej doniosłości, że w procesie parcelacyjnym na ziemiach polskich w myśl wydanej ustawy o reformie rolnej momenty gospodarcze usunięte być mają na rzecz czynnika prawno-państwowego.

Reforma rolna jest dziełem tak olbrzymiem, a jej przeprowadzenie pociągnie za sobą takie zmiany w stosunkach gospodarczych i społecznych naszej wsi, że trudno przypuścić, żeby nie odbiło się to na całokształcie życia naszego społeczeństwa, a w szczególności, żeby nie pchnęło rozwoju form prawnych na nowe tory. Dotychczas państwo nie zajmowało się tem, kto ziemię posiada, w jaki sposób jednostki dzielą ją między siebie; działalność państw zaborczych, a raczej państwa pruskiego, była wyjątkiem, który nie mógł jeszcze naruszyć powszechnie panujących pojęć prawnych. Według ustawy o reformie rolnej państwo przedewszystkiem przyznaje sobie pewne, niezmiernie daleko idące, prawa w stosunku do większych skupień własności. Są to coprawda uprawnienia, z których państwo nie musi korzystać, nie ulega jednak wątpliwości, że w miarę postępu wykonywania reformy korzystać z nich będzie i da je odczuć wszystkim właścicielom większych obszarów. Jesteśmy zatem świadkami faktu, że państwo stwarza dla siebie tytuł prawny do

dysponowania określonymi obszarami ziemi, że na mocy tego tytułu jeszcze przed wykonaniem definitywnem swych uprawnień krępuje swobodną decyzję odnośnych właścicieli, a wreszcie, że każdej chwili może nabyć pełną własność, usuwając dotychczasowych posiadaczy. Konsekwencją tych uprawnień państwa wobec większych właścicieli mogą być pewne prawa wobec tych, których państwo ziemią obdzieli, co zresztą znalazło już wyraz w ustawie o reformie rolnej, jak o tem mówić będziemy później. Stoimy tedy wobec narodzin nowych, nieznanych dotąd w tej formie, prób określenia stosunku prawnego do ziemi, a chociaż jest to na razie *ius singulare*, odnoszące się tylko do pewnych kategorii wypadków, tkwić w tem może zaród do przekształcenia całej wogóle instytucji prawa własności do ziemi. Dać to powinno okazję do zastanowienia się nad podstawami i celowością takiego czy innego ukształtowania prawa własności, należy się bowiem liczyć, i to nietylko u nas, z możliwością rozwoju, przekreślającego pojęcia prawne, jakie ustaliły się w krajach cywilizowanych w drugiej połowie XIX wieku.

Jeżeli reforma rolna w zupełności przeprowadzoną zostanie wówczas ujednostajniony będzie typ przedsiębiorstw rolnych na rzecz ogromnej przewagi małych gospodarstw chłopskich. Tego typu będą bowiem gospodarstwa, tworzone na rozparcelowanych gruntach, przyłączają się one do już istniejących, wiadomo, jak najczęściej rozdrobnionych gospodarstw, a wobec tej masy resztki własności folwarcznej, zacieśnionej do granic 60, względnie 180 ha ogólnego obszaru (łącznie z lasami, nieużytkami i t. p.), nie będą mogły odgrywać poważniejszej roli. Taka przemiana ustroju rolnego nie byłaby ostatecznie niczem nadzwyczajnem, gdyż ustrój ten w przeszłości przez długi okres składał się przecież wyłącznie z małych gospodarstw; byłoby to więc tylko cofnięcie się do stosunków z czasów przed rozwojem gospodarstw folwarcznych. Nie należy jednak zapominać o jednej zasadniczej różnicy; dzisiejszym gospodarstwom folwarcznym odpowiada typ wielkich przedsiębiorstw rolniczych, o których w tem znaczeniu nie mogło być mowy dawniej. Gospodarstwa

folwarczne epoki pańszczyźnianej nie wyróżniały się od chłopskich ani innym poziomem technicznym w uprawie roli, ani większym wyposażeniem w kapitał stały, czy obrotowy, lecz tylko tem, że ich właściciel dysponował znacznymi obszarami ziemi i mając pewne uprawnienia w stosunku do gospodarstw chłopskich, mógł z nich czerpać siły robocze. Był to więc naogół typ gospodarstwa, polegający niejako na resumowaniu większej ilości gospodarstw małych, przy pewnych korzyściach technicznych, wynikających z jednolitego przeprowadzania robót na większych obszarach. Dzisiejsze wielkie przedsiębiorstwo rolne jest czemś innem pod względem techniczno-gospodarczym, aniżeli gospodarstwa małe. Nie da się ono pomyśleć bez znacznie-szego kapitału stałego i obrotowego, kapitał łączy się więc w niem, jako wybitny czynnik produkcji, z większym obszarem ziemi. Prócz tego występuje w niem trzeci czynnik, jakim jest praca nietylko czysto kierownicza, lecz również polegająca na specjalnych kwalifikacjach umysłowych, nabywanych przez fachowe, wyższe wykształcenie. Toteż zanik wielkich przedsiębiorstw rolniczych połączony byłby zubożeniem tego typu pracy kierowniczej i tej kombinacji kapitału z siłami przyrody, jedno i drugie niewątpliwie w rozmiarach bardzo znacznych. Nasuwa się pytanie, czy nie podcięta byłaby przez to jedna z podstaw dotychczasowego prawa własności ziemi, występującego, jak wiadomo, pod postacią nieograniczonej swobody uprawnionego, i czy ustrój agrarny, składający się z gospodarstw małych, nie dałby się pogodzić, a nawet, czy nie wymagałby w interesie ogółu innego ukształtowania prawa własności.

Wielkie przedsiębiorstwo rolne, którego granice określić można w ten sposób, że musi być ono dość wielkie, aby dało pole działania dla człowieka o wyższym fachowym wykształceniu, a nie może być zbyt wielkie, aby uniemożliwiało bezpośrednią osobistą ingerencję takiego kierownika, jest typem przedsiębiorstwa, w którym maximum wysokiej jakościowo pracy skupia się z odpowiednią ilością innych czynników produkcji, jak ziemia i kapitał. Mogą istnieć przedsiębiorstwa dysponujące znacznie-szymi zasobami kapitału, jeżeli jednak czyto ze względu na swoją wielkość, czy też ze względu na swój ustrój (spółki akcyjne w rolnictwie) nie opierają się na bezpośredniej, pełnej

pracy fachowego kierownika, przedstawiają zdaniem naszym typ gospodarczo i społecznie niższy. W produkcji rolniczej bowiem ogromne przypada znaczenie przystosowywaniu ogólnych reguł, zdobytych przez naukę, czy doświadczenie, do indywidualnych warunków; tem się przedewszystkiem różni produkcja rolnicza od innych gałęzi wytwórczości i stąd konieczność harmonijnego uwzględniania teorii i praktyki. Wielkie przedsiębiorstwo tego typu jest rezultatem niedawnego rozwoju i sądzić można, że utrzyma się w tej postaci bez względu na przemiany techniki, opiera się bowiem na zasobach i kwalifikacjach duchowych wykształconej jednostki, mających z natury rzeczy pewne nieprzekraczalne granice. Jest też ono typem najdoskonalszym nie tylko z tego względu, że zapewniać winno najlepsze wyzyskanie sił przyrody, lecz również z punktu widzenia ogólnokulturalnego, jako warsztat dla twórczej działalności jednostki, kojarzącej postęp naukowy z doświadczeniem praktycznym, przedsiębiorczość z odpowiedzialnością i zapobiegliwością.

Kierownik przedsiębiorstwa rolnego ma swobodę ruchów w tych rozmiarach, w jakich mu na to pozwala państwo i prawo. Państwo może się wtrącać do jego czynności techniczno-rolnych i to byłby pierwszy rodzaj ograniczeń; drugi dotyczyć może dysponowania prawnego jego majątkiem nieruchomym przez transakcje wśród żyjących i na wypadek śmierci. Ograniczenia swobody w zakresie czynności techniczno-rolnych nie mogą z natury rzeczy sięgać zbyt daleko, chyba w warunkach wyjątkowych (n. p. przymus uprawy, stosowany w niektórych państwach w czasie wojny); we współczesnem ustawodawstwie ustaliły się pewne typy tej ingerencji państwowej, jak np. w sprawach leśnych, wodnych, hodowlanych. Ograniczenia drugiego rodzaju dotyczyć mogą nabywania własności i jej przenoszenia, dzielenia, obdłużenia, dysponowania na wypadek śmierci. Negacją tych ograniczeń byłaby zupełna wolność jednostki tak co do faktycznych, jak prawnych czynności, pozostających w związku z gospodarstwem rolnem. Zdaniem naszym, nieograniczona swoboda jednostki nie jest kwestją zasady, lecz celowości w danych warunkach. Toteż decydującą musi tu być okoliczność, komu i w jakich celach może być potrzebną ta swoboda, a więc czy ograniczenia jej przyniosłyby więcej pożytku niż szkody. Otóż

nie ulega wątpliwości, że zasługuje na nią w pierwszym rzędzie ów kierownik wielkiego przedsiębiorstwa, o którym mówiliśmy powyżej, tak, że sądzić możnaby, że współczesny ustrój prawny, wychodzący z nieograniczoności prawa własności, jako zasady, jest odpowiednikiem prawnym tego właśnie typu przedsiębiorstw rolniczych. Ograniczać fachowego kierownika większego przedsiębiorstwa w jego czynnościach techniczno-gospodarczych byłoby oczywiście nonsensem, a tak samo, o ile chodzi o swobodę prawną. Najlepszą podstawę bowiem dla jego działalności daje prawo własności (a nie np. dzierżawa lub administracja), a dalej możliwość odpowiedniego kształtowania rozmiarów gospodarstwa, możliwość zaciągania długów, wreszcie wolność testowania, jako rekompensata jego wysiłków. Jeżeli uznawać można potrzebę pewnych ograniczeń w zakresie obrotu ziemią, to właśnie ich racją bytu jest to, aby uchronić ziemię przed spekulacją, a zapewnić jej posiadanie tym, którym ona służy jako warsztat rzetelnej pracy. Kiedy jednak wszystkie te argumenty przemawiają za nieograniczaniem swobody przedsiębiorcy rolnego, to w innych wypadkach rzecz ta może przedstawiać się w sposób mniej określony.

Weźmy najpierw pod uwagę wypadek, w którym właściciel nie jest bezpośrednim kierownikiem przedsiębiorstwa rolnego, bądź dlatego, że własność obejmuje obszar zbyt wielki (latyfundja), bądź też dlatego, że właściciel jest osobą prawną (spółki akcyjne). To ostatnie nie znalazło dotychczas w Europie szerszego rozpowszechnienia, spotkać się można jednak z opinią, że w tym kierunku pójść może, czy nawet powinien, przyszły rozwój, a to ze względu na ułatwienie pozyskania znacznie większych kapitałów zapomocą spółek akcyjnych. Zarówno własność latyfundjarna, jak spółki akcyjne posługiwać się muszą przy eksploataowaniu swoich posiadłości administracją zależną, co stanowi zasadniczą różnicę w porównaniu z kierownikiem przedsiębiorstwa, będącym równocześnie właścicielem; funkcjonariusz zależny, nawet mający fachowe wykształcenie, nie posiada pełnej swobody decyzji. Dla własności tego typu wolność zawierania transakcyj prawnych nie przedstawia z reguły praktycznego znaczenia, jest ona bowiem najczęściej faktycznie unieruchomioną; przy spółkach akcyjnych w szczególności możliwość zaciągania

długów, jako środek uzyskania kapitałów, nie odgrywa roli, gdyż spółka jako taka dostarcza kapitału w odpowiedniej ilości i może mieć wolność kredytową większą od indywidualnego przedsiębiorcy. Jeżeli jednak nie ograniczenia własności, to kwestja pozostawienia własności prywatnej wogóle w stosunku do tych przedsiębiorstw rolnych może się stać aktualną. I w rzeczywistości co mogłoby przemawiać na korzyść utrzymania własności prywatnej tego typu? Własność latyfundiarna najczęściej nie odznacza się przedsiębiorczością, ani nakładami kapitałów; przy własności spółek akcyjnych przynajmniej te nakłady mogłyby być objawem dodatnim. Znanym jest jednak faktem, że niejednokrotnie i dzierżawa nie wyklucza intensywnej gospodarki, a niektórzy widzą w tem jej wyższość, że dzierżawca oszczędza na kapitale nabywczym. W każdym razie, gdyby rozwój dalszy stosunków miał się zwracać przeciw własności prywatnej na środkach produkcji, to prawdopodobnie pierwej byłyby zagrożone przedsiębiorstwa rolne omawianego typu, aniżeli przedsiębiorstwa przemysłowe, gdyż pierwsze nie wymagają takiej przedsiębiorczości, jak drugie.

Drugim wypadkiem, na który chcemy zwrócić uwagę, jest przedsiębiorstwo rolnicze o typie małego, chłopskiego gospodarstwa. O wykwalifikowanej, fachowej pracy w znaczeniu takim, jak przy wielkich przedsiębiorstwach, nie może być mowy, gdyż małe gospodarstwo nie dałoby takiemu fachowcowi ani zatrudnienia, ani utrzymania. Również i pod względem nakładu kapitałów małe gospodarstwa ustępować muszą wielkim, chociażby z tego powodu, że wiele rodzajów tego nakładu nie opłaciłoby się w takim gospodarstwie. Pozostaje jako najważniejsza dodatnia strona bezpośrednia praca wykonawcza właściciela, która też jest nieoddzielnie złączona z tym typem gospodarstwa. Można sądzić, że braki pod względem nakładu kapitałów i w konsekwencji intensywności uprawy wyrównać może kooperatywa małych właścicieli, jednak nie zaprzeczając ogromnych korzyści tej organizacji, trzeba sobie zdawać sprawę z tego, że będzie to do pewnego stopnia raczej surogat. W naszej literaturze podniesiono niedawno myśl, że uzupełniać małe gospodarstwa pod względem fachowej wiedzy i udostępniać im zdobycze nauki może specjalna organizacja, w pierwszym rzędzie państwowa,

zastępując niejako wielkiego przedsiębiorcę o wyższym wykształceniu rolniczym. Myśl tę należy uważać za złudzenie; sam taki podział pracy między mózgiem myślącym, i to biurokratycznym, a chlopską ręką wykonawczą wydawać się musi czemś nieprawdopodobnym. Gdyby jednak ktoś sądził, że przepaść między wartością produkcyjną małych a wielkich gospodarstw nie jest tak wielką i że w przybliżeniu równoważyć się mogą dodatnie i ujemne strony obydwu tych typów, to przecież małe gospodarstwa narażone być mogą w pewnych warunkach na niebezpieczeństwa, które nie grożą wielkim. Niebezpieczeństwem tem jest łatwość podziału i jego konieczność tam, gdzie niema odpływu przyrostu ludności ze wsi na zewnątrz. Jest to właśnie wypadek, który zachodzi na znacznym obszarze ziem polskich. Wynika stąd nadmierna mobilizacja ziemi i rozdrobnienie, uniemożliwiający racjonalną uprawę. Wtedy zaś swoboda prawna właścicieli tych gospodarstw może zostać zakwestjonowana. Jeżeli bowiem ludności wiejskiej jest zbyt wiele w stosunku do ziemi i jeżeli następstwem tego jest nadmierne rozdrobnianie, wówczas państwo może przyjść do przekonania, że w interesie ogółu leży, aby część tej ludności wykluczyć od posiadania ziemi, i to przez ograniczenie prawnej swobody w dysponowaniu ziemią, które to ograniczenie mogłoby dojść w razie zwycięstwa pewnych poglądów aż do zniesienia tej kategorii własności prywatnej. Miałoby to oczywiście tę ujemną stronę, że sparaliżowałoby motywy psychiczne, które u chłopów polskiego działają z taką siłą w postaci dążenia do posiadania własnego kawałka ziemi, czy jednak nie możnaby przypuszczać, że ta psychologia dostosowałaby się do posiadania ograniczonego w miejsce dotychczasowej własności nieograniczonej? Niewątpliwie ewolucja pojęć musiałaby przejść daleką drogę, aby dojść do rozważania podobnej alternatywy, a stosunki gospodarcze tak się ukształtowały, aby interesy produkcji rolniczej zyskały w opinii ogółu pierwszeństwo przed interesami ludności rolniczej, na wszelki sposób jednak można sądzić, że pozycja nieograniczonej własności prywatnej nie jest niezdobytą, gdy ta własność opiera się wyłącznie na małych gospodarstwach w znaczeniu przyjętem powyżej.

Nieograniczonej własności prywatnej grozi dwojakie nie-

bezpieczeństwo, gdy przedmiotem tej własności przestaje być wielkie przedsiębiorstwo rolnicze. Z jednej strony własność prywatna jako taka może być zakwestjonowaną, jeżeli jest eksploatowaną nie bezpośrednio przez właściciela, jak przy latyfundiach i osobach prawniczych, z drugiej strony może się okazać koniecznym jej ograniczenie, gdy w ustroju agrarnym przeważają małe, niustalone, idące ku rozdrobnieniu gospodarstwa. Pierwszy wypadek jest aktualnym w krajach o nadmiernie skoncentrowanej własności; idzie stamtąd już od dość dawna hasło nacjonalizacji ziemi. Drugi może przyjść na porządek dzienny w stosunku do ustrojów agrarnych takich, jak niestety na przeważnym obszarze ziem polskich. Wydaje nam się, że o tem niebezpieczeństwie, grożącym własności prywatnej, należy pamiętać przy reformie ustroju agrarnego, zwracającej się przeciw większym przedsiębiorstwom rolnym.

Na tem ogólnem tle zagadnień prawa własności naszkicujmy obraz dotychczasowego rozwoju i współczesnego stanu naszej reformy rolnej. Była ona zjawiskiem rewolucyjnym, mimo że w Polsce rewolucji ani społecznej, ani politycznej w epoce europejskiego wrzenia rewolucyjnego nie było; republikę lubelską i kilka innych można uważać tylko za nieudaną próbę. Realnym podkładem był ruch parcelacyjny, a nie można mówić o tem, żeby antagonizm klasowy, poza pewnemi sporadycznymi wypadkami, istniał w szerszych rozmiarach. Na tym gruncie sformułowaną została ideologia reformy rolnej, nietyle jako wyraz istotnie działających prądów społecznych, ile jako sztuczny twór programowo-agitacyjny partyj politycznych. Liczyły się one z koniecznością rewolucji i brały wzory ze Wschodu, skąd zresztą mogły przenikać wpływy i do szerszych warstw; nawiązując tradycje chłopsko-demokratyczne, które taką rolę odgrywały w naszej literaturze i sztuce ostatniej doby, do współczesnych postulatów, wytworzyły koncepcję Polski ludowej, której fundamentem miał być lud, i to lud wiejski przedewszystkiem. Prócz tego były rachuby zupełnie realne; chłop polskiego, czy też nie-polskiego na kresach należało, zdaniem wielu, pozyskać dla

polskiej idei państwowej, aby móc od niego żądać rekruta i podatków.

Agitacja robiła postępy, wybory do Sejmu odbywały się pod hasłem reformy rolnej; sytuacja w pierwszych miesiącach państwa polskiego mogła się stać groźną. Nie było wprawdzie poważniejszych ruchów rewolucyjnych, ale była rzecz równie niebezpieczna, a mianowicie pustka państwowo-administracyjna, z czem łączyły się jeszcze zawikłania wojenne. W tych warunkach, wobec zdemoralizowania wywołanego długoletnią wojną, można się było obawiać samopomocy ze strony ludności wiejskiej, jeżeli tak nazwiemy samowładne zagarnianie ziemi, należącej do folwarków. Był do tego współczesny przykład w Rosji i na Ukrainie. Debaty sejmowe, prowadzone od pierwszych dni Sejmu o sprawę rolną w atmosferze niesłuchanego roznamiętnienia, przy biernej i niezdecydowanej postawie rządu, oddziaływać musiały na kraj, zwiększając niebezpieczeństwo ruchu chłopskiego. Toteż znane uchwały z 10 lipca 1919 mają zapewne tę zasługę, że przyczyniły się do uspokojenia namiętności. Charakterystycznym w nich jest, że zwracają się do rządu z nakazem zajęcia określonego stanowiska, co świadczy, że reprezentanci chłopskich interesów nie mieli jeszcze pełnego poczucia swojej siły. Zresztą wynik głosowania, raczej przypadkowy, nie przydawał autorytetu tym uchwałom.

Program rolny z 10 lipca 1919 niekoniecznie odpowiadał interesom tej warstwy chłopskiej, która w dotychczasowym ruchu parcelacyjnym odegrała przodowniczą rolę. Jest on najpierw wyrazem zasady, nie wypowiedzianej wprawdzie wyraźnie, ale sformułowanej we wniosku p. Witosa, co jest dostateczną legitymacją, że ziemia powinna należeć tylko do tych, którzy na niej pracują. Na takie uzasadnienie prawa własności mogli się zgodzić i zamożniejsi włościanie — wiadomo, że »wielkich chłopów« poza kresami zachodnimi w Polsce prawie że niema — ułatwiało im to bowiem rolę wobec własności większej. Ale już zasada maximum posiadania i to zwłaszcza w stosunku do nowo utworzonych gospodarstw stawiała prawo do ziemi na innym gruncie. Wynikało z niej bowiem, że ziemia powinna się dostać, jeżeli nie wszystkim, którzy jej potrzebują, to przynajmniej jak największej liczbie, a wtedy wśród tej masy kandydatów ginąć

będą te jednostki, które dotychczas najbliższej nabycia ziemi folwarcznej stały. Wogóle dzięki temu ta reforma rolna wykazuje jedną, niezmiernie charakterystyczną cechę: włącza całą ludność wiejską w jeden szablon, stwarza z tej ludności jedną klasę. Tem samem daje przewagę masie nad jednostkami, uboższym nad zamożniejszymi. Może być czynnikiem nader doniosłym dla ewolucji ludności wiejskiej w tym kierunku, ale też może się o nią rozbić, jeżeli padnie na grunt, dla siebie jeszcze nie-dojrzały.

Jeżeli w tem pierwszym stadium reforma rolna miała jeszcze charakter niezupełnie zdecydowany, to dalszy rozwój przyniósł jej zwycięstwo, conajmniej zewnętrzne. W chwili najazdu bolszewickiego przychodzi do skutku ustawa z 15 lipca 1920 za ogólną zgodą. Wszystkie wyżej przytoczone motywy miały w tej chwili realne znaczenie, a więc i chęć pozyskania ludności wiejskiej dla dzieła obrony niepodległości i konieczność liczenia się z wpływami rewolucyjnymi i troska o zachowanie ładu wewnętrznego. Za to wszystko cytowana ustawa daje najpierw ujęcie definitywne zasad reformy rolnej, dalej określenie maximum posiadania większej własności dość nieznaczne, aby zadowolnić aspiracje kandydatów na ziemię, wreszcie niepomierne zredukowanie wysokości odszkodowania. Potwierdzoną zostaje zasada etatyzmu państwowego przy przeprowadzeniu reformy rolnej; było to logicznem wobec tego, że państwo dawało ustawę wywłaszczającą, a nie wydawało się niebezpiecznem stronnictwom, reprezentującym interesy chłopskie, gdyż spodziewały się ująć władzę państwową w swoje ręce. Rzeczywiście też stronnictwa te przychodzą do rządów, a wpływy ich, zwłaszcza w niektórych dzielnicach, przenikają całą administrację. W myśl przeświadczenia, że naród — to przedewszystkiem warstwa chłopska, podkreśla się w agitacji antagonizm do inteligencji, szczególnie urzędniczej; w tych rządach chłopskich widać gotowość do narzucenia swej dyktatury reszcie społeczeństwa, a nieśmiałe i nieudolne teorie zielonej międzynarodówki mają nadać tym aspiracjom głębszy sens i większą siłę.

Klasowy pod względem społecznym charakter reformy rolnej, dążenie do uchwycenia władzy państwowej przez warstwę chłopską, to cechy charakterystyczne pierwszego stadium ruchu

rolnego w niepodległej Polsce. Wiele objawów zdaje się wskazywać na to, że te fundamenty nie są zbyt silne. Najpierw uwydatniło się to w zakresie stosunków politycznych. Stronnictwa chłopskie nie odniosły sukcesów politycznych, ani też nie dysponują przewagą liczby i kwalifikacyj. Co gorsza, byt ich nie wydaje się utrwalałym, lecz grożą przesunięcia w zapatrywaniach politycznych wśród szerokich sfer ludności wiejskiej. Nowych wyborów sejmowych jedne z nich oczekują z obawą, inne z wielkimi nadziejami. Także i pod względem społecznym zarysowywać się zaczynają objawy, świadczące, że reforma rolna w sposób zbyt uproszczony potraktowała ludność wiejską, jako jedną klasę. Jeżeli sądzić z informacji, nadchodzących z różnych stron kraju, zamożniejsza ludność wiejska odnosi się obojętnie do reformy rolnej, czego dowodem może być chociażby prywatny ruch parcelacyjny; są więc kandydaci na ziemię, którzy nie chcą czekać na ogólny podział. Obok zamożniejszej warstwy chłopskiej wyodrębniła się coraz silniej z ogólnej masy ludności wiejskiej klasa robotników rolnych. Jest ona dziś zorganizowana i wywołuje ruchy strajkowe, częściowo dla celów politycznych, ale również — i to zapewne częściej — dla celów czysto ekonomicznych. Uświadomienie robotnika rolnego prowadzić może do utrwalenia poczucia zawodowego tej klasy, a konsekwencją tego byłoby zupełnie odmienne stanowisko wobec reformy rolnej; zawodowemu robotnikowi rolnemu może często parcelacja folwarku przynieść więcej szkody, niż pożytku, zmuszać go do zmiany przyzwyczajzeń, czy nawet zawodu, gdyż trudno, aby folwarki dzielono wyłącznie między robotników.

Równocześnie z politycznymi niepowodzeniami i klasowym rozłamem warstwy chłopskiej występują i objawy inne, przeważnie natury ogólnej, które osłabiają jej szanse w walce o reformę rolną. Na pierwszym miejscu wymienić należy konsolidację państwową i gospodarczą Polski, zbliżającą nasz kraj, chociaż powoli, do poziomu stosunków zachodnio-europejskich. Trudno sobie wyobrazić, żeby państwo, które mieć musi tyle życiowych interesów, uważało za główny cel swego istnienia zadowolenie aspiracyj pewnych tylko warstw ludności. Również przypuszczać można, że ustalenie stosunków wpływać będzie łagodząco na nadmierne nadzieje ludności wiejskiej, podszy-

cane przez agitację. Stosunki gospodarcze z zagranicą oddziaływać muszą w tym samym kierunku powrotu do normalnych i europejskich warunków życia. W konsolidującym się państwie konsoliduje się również opinia publiczna; coraz mniej w niej zamiłowania do rewolucyjnych idei, a coraz więcej pragnienia spokoju i ładu. Polepszenie się położenia ludności wiejskiej, rzucające się w oczy zewnętrznymi objawami — inna rzecz, o ile jest ono istotne i ogólne — osłabia też sympatje dla tej ludności ze strony opinii, tworzącej się przedewszystkiem w środowiskach miejskich. Także i momenty czysto gospodarcze przemawiają przeciw przewrotowi w stosunkach rolnych, gdyż życie gospodarcze, zbliżające się do stanu równowagi, musi być tem wrażliwsze na wszelkie zaburzenia. Coprawda wśród tych zmian w ogólnej sytuacji są objawy, zwracające się w pewnej mierze na niekorzyść własności wielkiej. Za jeden z nich uważać należy niewątpliwe polepszenie się stanu aprowizacji kraju; mniej odłogów, lepsza uprawa, pomyślniejsze zbiory sprawiają, że wyżywienie kraju nie stanowi już najważniejszej troski państwa. Jeżeli jednym z ważnych argumentów przeciw reformie rolnej była obawa podcięcia produkcji, to argument ten, przynajmniej przejściowo, mógł stracić na swem znaczeniu. Dalej osłabia moralnie, wzmacniając równocześnie gospodarczo, większą własność zwolnienie w praktyce z długów dawniejszych wskutek chaosu walutowego, gdyż dokonywujące się z dniem każdym wywłaszczenie dawniejszych wierzycieli w miarę deprecjacji pieniądza wychodzi na niezaskuszoną korzyść właścicieli ziemi.

Tak przedstawiałyby się w ogólnych rysach warunki realizacji reformy rolnej w obecnej chwili. Trudno opierać na samych faktach, gdyż fakty te mogą być dopiero zarodkami przyszłego rozwoju; trzeba zatem zaryzykować przewidywanie przyszłości. Wydaje nam się, że, biorąc rzecz w sposób trzeźwy, nie popelnimy przesady, jeżeli oceniać będziemy pesymistycznie widoki pełnej realizacji reformy rolnej. Nie sądzimy, żeby mogła ona być wprost zniesiona, czy nawet zmodyfikowana w zasadniczych punktach w drodze ustawodawczej. Unicestwienie reform tego typu, powstających w epokach przewrotów, mogłoby wywołać wstrząśnienia, z których społeczeństwa nigdy nie wychodzą zupełnie bez szkody. Pozostaje więc, zdaniem naszym, droga kom-

promisu, nie zasad, lecz wykonania. Nasza reforma rolna odrazu sięgnęła do środków ostatecznych, zamykając sobie w ten sposób drogę do stopniowego rozwoju. Czy jest rzeczą konieczną, nawet z punktu widzenia interesowanych sfer, aby już dzisiaj wyciągać wszystkie konsekwencje z upoważnień, udzielonych przez ustawę? Pozostanie ta ustawa zdobyczą warstwy chłopskiej, sankcjonującą jej dążenia do zawładnięcia jak największym obszarem ziemi i wzmacniającą niesłychanie jej stanowisko w społeczeństwie i państwie. Jest ona jednak tak nierealną i przedstawia takie trudności w praktycznym przeprowadzeniu, że stosowaną być winna w sposób oględny i umiarkowany, chociażby dlatego, aby nie kompromitować samej idei.

Zdawałoby się, że wywłaszczenie na podstawie maximum posiadania stosowane być winno jako ostateczny środek, kiedy ruchowi parcelacyjnemu i akcji osadniczej państwa zagrażałoby wstrzymanie wskutek braku ziemi. Tymczasem według ustawy maximum posiadania może odrazu wejść w życie, jeżeli w danym powiecie niema lub zostały wyczerpane inne kategorie majątków, podlegających wywłaszczeniu, nie mówiąc już o własności publicznej. Równocześnie zatem w poszczególnych powiatach rozwijać się może reforma rolna na różnych podstawach; w jednych, gdzie jest własność publiczna, może się obchodzić bez wywłaszczenia, w innych wywłaszczane będą majątki źle zagospodarowane, nabyte z zysków wojennych itp., w innych wreszcie redukowaną będzie własność folwarczna do ustawowego maximum. Przypuszczać zaś można, że o akcji parcelacyjnej państwa decydować będzie nie istotne zapotrzebowanie gruntów ze strony ludności wiejskiej, stojące w związku z rozdrobnieniem i brakiem innych zarobków, lecz chęć jak najrychlejszego rozpoczęcia realizowania reformy rolnej. Wogóle ustawa zdaje się stać na stanowisku, że reforma rolna winna być przeprowadzoną odrazu, a przynajmniej jak najprędzej, otwiera zatem zgóry maksymalne perspektywy dla ruchu parcelacyjnego. Wśród kandydatów na nabywców wywoływać to może przeświadczenie, że jest to ostatnia sposobność nabycia gruntów, a wskutek tego pociągnąć za sobą wystąpienie maksymalnego popytu parcelacyjnego. Powstaje kwestja, jak wykonawcy reformy rolnej wyobrażają sobie ustosunkowanie między podażą ziemi a popytem? Wiadomo, że

popyt na parcelację przejawia się w pewnych odstępach, nie wszyscy bowiem kandydaci na nabywców mogą każdej chwili nabyć rzeczywiście grunty. Chodzi tutaj o momenty takie, jak dorabianie się, dorastanie młodszego pokolenia i zakładanie nowych rodzin, działy spadkowe, możność zarobków w przemyśle i na emigracji, żeby wymienić najważniejsze. Tam zaś, gdzie w myśl zasad reformy rolnej będzie przeprowadzona parcelacja całkowita, cały ten popyt musiałby wystąpić naraz ze strony wszystkich kandydatów na nabywców. Dalsza trudność nasunąć się może niejednokrotnie wówczas, gdy ziemi folwarcznej nie wystarczy dla wszystkich reflektantów. Ustawa zapewnia wprawdzie pierwszeństwo niektórym ich kategorjom, jak inwalidom i żołnierzom, pracownikom rolnym i innym robotnikom rolnym oraz właścicielom karłowatych gospodarstw, jednak to pierwszeństwo może nie mieć praktycznego znaczenia, gdyby ci ludzie nie dysponowali odpowiednimi środkami na kupno i zagospodarowanie. Danie zaś pierwszeństwa zamożniejszym sprzeciwiałoby się duchowi ustawy i wywoływałoby ferment wśród ludności wiejskiej. Nie mówimy już o trudnościach, połączonych z tem, że przecież reforma rolna nie może być wszędzie rozpoczęta odrazu i wykonywana równomiernie z powodów chociażby czysto technicznych. Jakiemi więc motywami kierować się będą władze, dając pierwszeństwo odnośnym powiatom czy gminom wobec tego, że ustawa o tem milczy, i czy takie postępowanie nie będzie wywoływać wrażenia dowolności i niesprawiedliwości?

Nie twierdzimy, żeby uniknięcie tych trudności było rzeczą łatwą; każda próba ścisłego określenia, w jaki sposób reforma ma być stopniowo wykonywana, cierpiałaby na podobne braki. Możliwość myśleć np. o procentowym wywłaszczeniu większej własności w ciągu jakiegoś okresu czasu, ale i wówczas nie dałoby się w zupełności zrównoważyć podaży ziemi i popytu, a z natury rzeczy wybór nabywców, gdyż ilość ich musiałaby być ograniczoną, byłby jeszcze trudniejszym. Dlatego też wydaje nam się, że regulowanie tempa reformy rolnej winno mieć charakter bardziej elastyczny, poprostu we formie zasad, ustalanych przez władze od wypadku do wypadku. Państwo powinno przeprowadzać parcelację porządnie pod względem technicznym, nie

może więc zaczynać jej odrazu na wielką skalę; wystarczy na to własność publiczna, na majątki prywatne może przyjść kolej w przyszłości, tem bardziej, że ustawa rolna przez sam fakt swego istnienia przyspieszać będzie ich parcelację. Do zacieśnienia nadmiernego popytu na ziemię przyczynić się mogłoby faworyzowanie parcelacji osadniczej, wymagającej posiadania pewnych środków przez nabywców, a równoczesne ograniczanie parcelacji sąsiedzkiej, której popyt z reguły występowałby w rozmiarach nadmiernych.

Warunkiem tej oględności przy wykonywaniu reformy rolnej musiałyby być odpowiednie stanowisko stronnictw ludowych. Stronnictwa te winny zrozumieć, że, nie chodzi o naruszanie zasad reformy, lecz o uzgodnienie jej z potrzebami życia i państwa. Musiałyby krępować się w agitacji, roznamiętniającej masy wiejskie i ukazującej im złudne nadzieje przyjścia w posiadanie ziemi z pomocą państwa a bez wielkiego własnego wysiłku. Trudno ocenić, czy stronnictwa ludowe zechcą i czy będą mogły to zrobić; w przeciwnym razie należałoby się zapatrywać pesymistycznie na dalszy rozwój stosunków. Nie mówiąc już o szkodach gospodarczych, reforma rolna byłaby na długie lata źródłem nieustannych wstrząśnień i utrzymywałaby naszą wieś w stanie podniecenia i rozdzwojenia.

Trzeba być przygotowanym i na tę gorszą ewentualność. Państwo, chcąc nie chcąc, będzie musiało w takim razie wkroczyć na drogi nowego ukształtowania prawa własności, aby ratować przynajmniej to, co się przy fatalnym układzie naszych stosunków społecznych i ludnościowych da uratować. Jeżeli zniknąć ma w zupełności własność folwarczna drogą przymusowej parcelacji, to wówczas przedsięwzięte winny być środki, aby zabezpieczony był byt gospodarstw małych, powstałych na jej gruzach.

Dla produkcji rolnej nie są pożądane zbyt szybkie i częste zmiany w ustroju agrarnym, a więc w wielkości poszczególnych gospodarstw i w stosunku różnych kategorii tych gospodarstw. W zdrowych i normalnych warunkach ustrój agrarny utrzymuje się bez większych zmian; dokonywa się to bez ustawowego

przymusu, siłą działania momentów czysto gospodarczych. Jeżeli w niektórych krajach istnieją przepisy, ograniczające wolność obrotu (zwłaszcza w prawie spadkowym), to mają one charakter raczej norm, zapobiegających indywidualnym odchyleniom, a nie są przymusem, ciężącym z zewnątrz nad życiem danego ustroju agrarnego. Przymus taki może się jednak okazać koniecznym w razie mobilizacji ziemi, zagrażającej produkcji rolniczej. W szczególności w ten sposób przeciwdziałać można nadmiernemu rozdrobnieniu, które prędzej czy później prowadzić musi do katastrofy gospodarczej i społecznej.

Rozdrobnienie jest jedną z największych bolączek ustroju agrarnego b. zaboru austriackiego i znacznej części b. zaboru rosyjskiego. Parcelacja w pewnej mierze to rozdrobnienie powstrzymuje, jednak nie na stałe i nie na długo. Byłoby zatem rzeczą zrozumiałą, żeby skorzystać z parcelacji dla częściowej przynajmniej poprawy naszego ustroju agrarnego i przez ograniczenia ustawowe zapewnić byt nowopowstałych gospodarstw. Tem bardziej, jeżeli państwo tę parcelację ma ułatwiać i przyspieszać przez przymusowe wywłaszczenie; państwo nabywa wówczas niezaprzeczony tytuł moralny do przedsięwzięcia odnośnych zarządzeń. Nabywcy, którzy korzystają z pomocy państwa, nie mogą żądać, aby państwo oddawało im ziemię bezwarunkowo i w nieograniczoną swobodę dyspozycji. Nie potrzeba do zrealizowania tego postulatu żadnej reformy prawnej, ustawa rolna bowiem, jeżeli będzie odpowiednio wykonywana, daje w ręce państwu zupełnie wystarczające środki prawne. Artykuł 33 ustawy z 15 lipca 1920 zawiera postanowienie, że gospodarstwa, utworzone na mocy tej ustawy, nie mogą być bezwzględnie dzielone aktami prawnymi między żyjącymi, czyto na wypadek śmierci, a nie mogą być sprzedawane, obciążane ani wydzierżawiane bez zezwolenia urzędów ziemskich, jedno i drugie co najmniej przed upływem okresu 25-letniego, względnie tak długo, jak długo są obciążone hipotecznie resztą ceny kupna. Wynika stąd, że nabywca parcelacyjny nie nabywa pełnej własności, lecz własność ograniczoną, coprawda tylko czasowo, na rzecz państwa, któremu nadto służy »prawo odkupu« odnośnego gospodarstwa w razie zawarcia umowy, sprzeciwiającej się tym

przepisom. W ten sposób na okres 25-letni zagwarantowany jest byt gospodarstw, powstałych w drodze reformy rolnej.

W reformie rolnej znalazło w pewnej mierze wyraz hasło powszechnego prawa do ziemi dla tych, którzy jej potrzebują. Przez maximum ziemi folwarcznej i przez ograniczenie wielkości nowopowstających gospodarstw reforma rolna stara się zapewnić posiadanie ziemi największej liczbie ludności. Są to dążenia klasy ludności wiejskiej jako takiej, uprawnionej przed jednostkami do posiadania ziemi. Przepis art. 33 ma tendencje odmienne, zamyka bowiem na czas jakiś dostęp do ziemi rozparcelowanej dla tych, którzy jej nie posiadają. Tem samem uświęca zasadę, że ziemia, jako podstawa produkcji rolniczej, ma służyć interesom tej produkcji, a nie interesom wzrastającej ludności. Nie jest to oczywiście jakieś uspołecznienie własności ziemi, ale jest zwrot w porównaniu z dotychczasowymi wyobrażeniami prawnymi, polegający na zacieśnieniu własności indywidualnej przez uprawnienia państwa. Gdyby nasze stosunki rolne nie miały się uzdrawiać przez samoczynną ewolucję, gdyby lekkomyślnie wykonywana reforma rolna miała niszczyć warsztaty produkcji rolniczej, wówczas utrwalenie tych norm prawnych mogłoby być jedynym środkiem, powstrzymującym dalszą dekadencję. I dlatego też do owego art. 33 ustawy rolnej przywiązywać należy zasadnicze znaczenie, od niego bowiem zacząć się może punkt zwrotny w ewolucji prawa własności do ziemi.

SPIS RZECZY

	Strona
Przedmowa	5
Pierwsza Księga: Życie moralne	
<i>Prof. Dr. K. W. Kumaniecki</i> : W przełomowej chwili	9
<i>Prof. Dr. M. Zdziechowski</i> : Kościół a inteligencja	19
Druga Księga: Ustrój państwowy	
<i>Prof. Dr. M. Rostworowski</i> : Wykładnia naszej Konstytucji	39
<i>Prof. Dr. K. W. Kumaniecki</i> : O stanowisko rządu	45
<i>Prof. Dr. S. Estreicher</i> : Udoskonalenie ustawodawstwa	51
<i>Prof. Dr. K. W. Kumaniecki</i> : Na drodze do zespolenia	63
Trzecia Księga: Nauka i szkoła	
<i>Prof. Dr. J. M. Rozwadowski</i> : Społeczne znaczenie nauki	77
<i>Prof. Dr. K. Morawski</i> : Nowa epoka ludzkości i szkoła klasyczna	84
<i>Prof. Dr. M. Siedlecki</i> : Kilka uwag o nauczaniu nauk przyrodniczych	92
<i>Prof. Dr. Jan Łoś</i> : Słów parę o wyższym wykształceniu kobiet	106
<i>Prof. Dr. R. Dyboski</i> : Uniwersytety a wychowanie obywatelskie	116
Czwarta Księga: Zagadnienia gospodarcze	
<i>Prof. Dr. T. Brzeski</i> : Zagadnienie realizmu w programie gospo- darczym	131
<i>Prof. Dr. A. Krzyżanowski</i> : Waluta	149
<i>Prof. Dr. W. L. Jaworski</i> : Samorząd gospodarczy	164
<i>Prof. Dr. F. Zoll</i> : Rozwój przemysłu a ochrona twórczości prze- mysłowej	170
<i>Prof. Dr. T. Brzeski</i> : Reforma rolna a prawo własności	182



KRAKOWSKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

W KRAKOWIE, UL. ŚW. FILIPA 25.

poleca następujące wydawnictwa:

Z ZAGADNIEŃ KONSTYTUCYJNYCH

- I. *Rostworowski Michał*: Wytyczne konstytucji polskiej.
- II. *Bobrzyński Michał*: O zespoleniu dzielnic Rzeczypospolitej.
- III. *Rostworowski Michał*: Budowa władzy rządowej i wykonawczej.
- IV. *Rostworowski Michał*: Liga Narodów.
- V. *Kumaniecki Kazimierz*: Ustrój gminy wiejskiej w Polsce.
- VI. *Michalski Jerzy*: Traktat pokojowy w St-Germain a obciążenie Polski.
- VII. *Jaworski Wład. L.*: Uwagi prawnicze o projekcie Konstytucji.
- VIII. *Starzyński Stanisław*: Obywatelstwo Państwa Polskiego.
- IX. *Kannenberg Marjan*: Naczelna Izba Gospodarcza.

D' English Karol: Aktualne zagadnienia potraktatowe.

Jaworski Wład. L.: Państwo praworządne a reforma rolna.

» » » Z zagadnień polityki światowej.

Lulek Tomasz: Główne zagadnienia polityki handlowej w Polsce.

Szerer Mieczysław: Idea narodowa w socjologii i polityce.

Zweig Ferdynand: Problem wartości.

BIBLIOTEKA HISTORYCZNA KRAKOWSKIEJ SPÓŁKI WYDAWNICZEJ

1. *Tretiak Józef*: Historia wojny chocimskiej (z ilustr.).
2. *Morawski Zdzisław*: Sacco di Roma (z ilustr.).
3. *Morawski Kazimierz*: Rzym. Portrety i szkice.
4. *Bobrzyński Michał*: Szkice i studia historyczne (2 tomy).
5. *Morawski Zdzisław*: Z Rawenny (z ilustr.).

Chmaj Ludwik: Andrzej Wiszowaty jako działacz i myśliciel religijny.

Janik Michał: Hugo Kołłątaj, monografia (z ilustracjami).

Kot Stanisław: Pierwsza szkoła protestancka w Polsce.

» » Rzeczpospolita Polska w literaturze politycznej Zachodu.

» » U źródle polskiej myśli krytycznej XVI wieku (Polacy w Bazylei za czasów Zygmunta Augusta).

Najstarsze synody arjan polskich. Z rękopisu kołozwarskiego ogłosił *St. Zachorowski*.

Tokarz Władaw: Armja Królestwa Polskiego (1815—1830).

Wskreszenie Państwa Polskiego. Szkic historyczny (1914—1918).

Do nabycia w Krakowskiej Spółce Wydawniczej (Kraków, Św. Filipa 25) i w księgarniach.

Nie pożyczaj się do domu

BIBLIOTEKA
UNIwersytecka
GDAŃSK

5-1006407